ISSN 0446-7035

Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

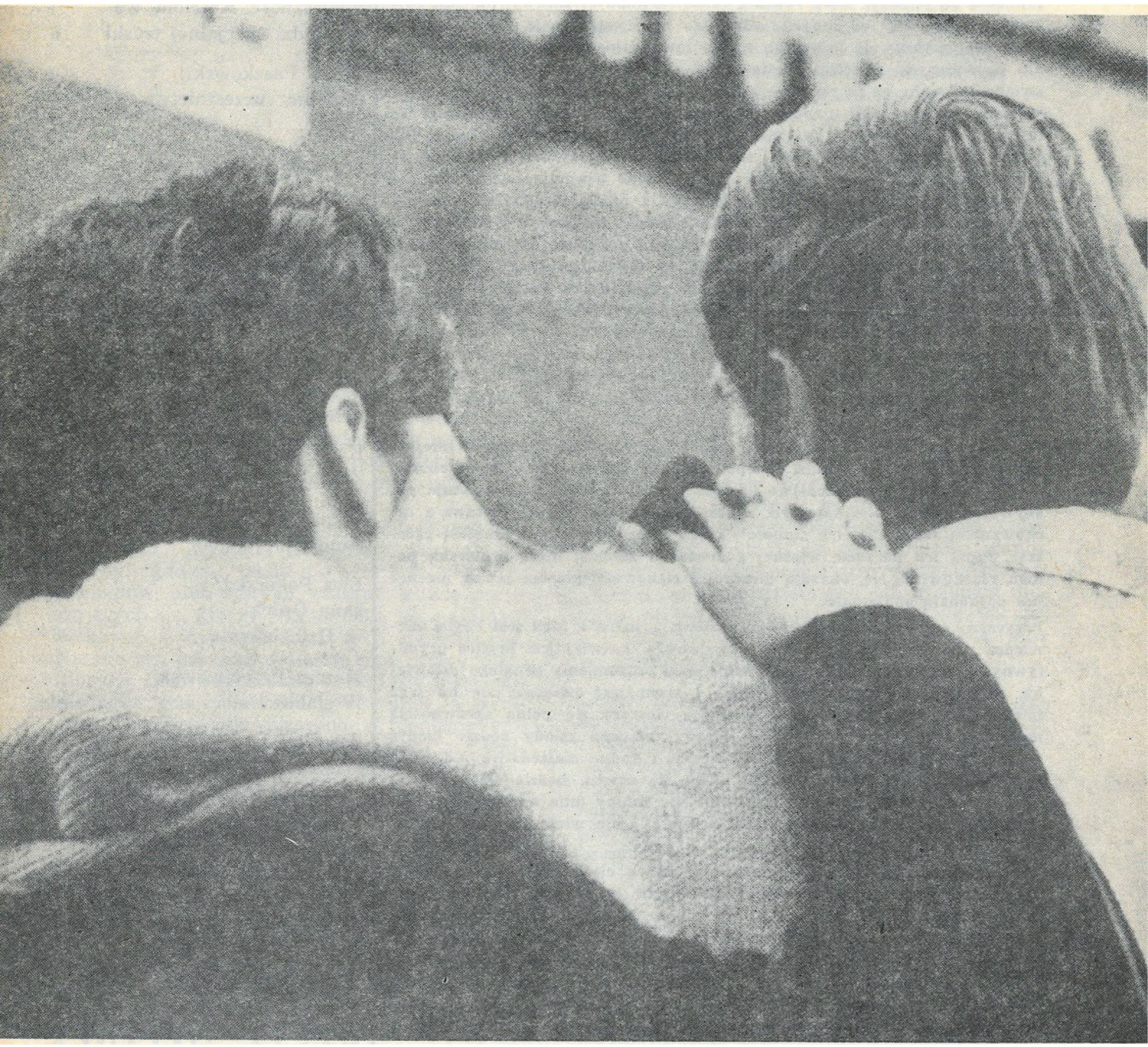

7-8
84
Rocznik XXVIII (XLIII)

Słowo wstępne

Temat, któremu poświęciliśmy podwójny numer, nie jest popularny. Rzadko pojawia się w tzw. środkach masowego przekazu, a i my sami uprawiamy wobec niego coś w rodzaju strusiej polityki — chowamy głowy w piasek. Zdawać by się mogło, że problemy ludzi niepełnosprawnych, bo o nich tu będzie mowa, nie istnieją, że nasze społeczeństwo składa się wyłącznie z jednostek zdrowych, w sile wieku i tzw. normalnych.

Inna jest sytuacja ludzi niepełnosprawnych z uszkodzeniami narządu ruchu, inna ludzi starych o ograniczonej sprawności, jeszcze inna dzieci upośledzonych umysłowo, które — bez względu na wiek metrykalny — pozostają dziećmi na zawsze. A jednak ich los ma wspólny mianownik — zależność od bliźnich. Nikt, również człowiek młody i zdrowy, nie jest całkowicie niezależny od innych ludzi. Ale różne są stopnie tej zależności. Człowiek przykuty do łóżka lub wózka inwalidzkiego odczuwa ją w stopniu najwyższym. A bliźni często robią wszystko — świadomie lub nieświadomie — by go to poczucie zależności nie opuszczało.

Warunki bytowe ludzi niepełnosprawnych są bardzo ciężkie. Niskie renty lub zasiłki (a wydatki zwiększone), brak sprzętu rehabilitacyjnego lub sprzęt niewygodny, złej jakości, tzw. bariery architektoniczne utrudniające lub wręcz uniemożliwiające poruszanie się po własnym mieszkaniu czy po ulicy, słabo rozwinięty system pomocy i opieki, trudności dnia codziennego, związane choćby z załatwieniem jakiejkolwiek sprawy w urzędzie, wizytą u lekarza czy dokonywaniem zakupów, które przy ograniczonych możliwościach poruszania się są zwielokrotnione — wszystko to i wiele innych czynników sprawia, że choroba lub kalectwo stają się bardziej dotkliwe. Joni Eareckson, młoda Amerykanka, o której pisze ks. Bogdan Tranda (s. 28), kiedy była w Polsce i spotykała się tu z ludźmi niepełnosprawnymi, budziła w niektórych uczucia mieszane. Jej było w pewnym sensie łatwiej, ponieważ nie musiała pokonywać tych barier, które musieli i muszą pokonywać oni, i nie musiała borykać się z tymi kłopotami, które są ich udziałem.

Warunki materialne nie są chyba jednak najważniejsze. Dużo ważniejszy jest nasz stosunek do ludzi niepełnosprawnych — jako społeczeństwa i jako jednostek. Społeczeństwo odtrąca ich, nie potrzebuje i traktuje jak obywateli którejś tam kategorii, a poszczególni bliźni swoją postawą i zachowaniem zaznaczają ich „inność", która w podtekście jest innością „gorszą", ranią ich poczucie własnej godności, a zamiast nieść braterską pomoc, roztkliwiają się, okazują niezdrową ciekawość, czasem jawną niechęć lub doskonałą obojętność.

Przyczyny takiego stanu rzeczy są złożone, a jedną z nich jest chyba niewiedza i pewien rodzaj lenistwa umysłowego. Łatwiej jest myśleć prymitywnymi stereotypami niż zadać sobie trud zrozumienia drugiego człowieka, wysilić trochę swoją wyobraźnię i spróbować postawić się na jego miejscu. Każdy człowiek dziś zdrowy i cieszący się pełną sprawnością może jutro tę sprawność utracić. Każdy człowiek młody będzie kiedyś stary — taka jest naturalna kolej rzeczy. I żadne małżeństwo nie może być absolutnie pewne, że dziecko, które się urodzi, będzie się rozwijało normalnie. Wszyscy jesteśmy zagrożeni. Nie znamy dnia ani godziny, kiedy Bóg zechce objawić na nas swoje dzieło, i nie wiemy, w jaki sposób zechce to zrobić.

To jest chyba sprawa najtrudniejsza, z którą ciężko się uporać przede wszystkim tym, których to spotkało. Dlaczego? Po co? — te pytania wracają i drążą, czasem całe życie — jak kobietę, która się kryje pod pseudonimem „Współczesny Hiob". Czasem zaś znajduje się na nie odpowiedź, godzi się z tajemniczą wolą Bożą, zawierza Mu się tak dalece, że dostrzega się sens i cel tego, co się stało. Tego właśnie doświadczyła wspomniana już Joni Eareckson.

Swój udział w tym, czy życie człowieka niepełnosprawnego — zewnętrzne i wewnętrzne — stanie się piekłem, czy też uzyska on spokój, wiarę i odnajdzie jego sens — mają ci „pełnosprawni"...

Przygotowaliśmy ten numer w nadziei, że skłoni naszych Czytelników — tych pełno- i tych niepełnosprawnych do refleksji. A za refleksją może przyjdzie coś więcej.

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne 2

Ks. bp Zdzisław Tranda:
Niepełnosprawni są wśród nas 3

Pomóż im i mnie (modlitwa) 4

Barbara Stahlowa:
Społeczność Kościoła wobec ludzi specjalnej troski 6

Adam Paszkowski:
O pełne uczestnictwo 11

[P. A.]:
Życie na kółkach . 14

Teresa Głowacka:
Przede wszystkim człowiek . 16

Janina Ochojska:
Próba człowieczeństwa 19

[Współczesny Hiob]:
Czy starczy mi sił, aby przetrwać? . 23

Ks. Bogdan Tranda:
Zaufała Bogu . 28

Wanda Mlicka:
Ameba 32

Ewa Pokorska:
Dom Opieki w Dzięgielowie 36

Marcin Przeciszewski:
W słabości siła 40

[Barbara-kucharka]:
Widziane od kuchni 43

Grzegorz Polak:
Terapia przez miłość . 45

Halina Bortnowską:
Chrześcijański sens cierpienia 47

NASZA OKŁADKA

Jedni drugich brzemiona noście, albowiem tak wypełnicie prawo Chrystusowe (Gal. 6:2—3)

KS. BP ZDZISŁAW TRANDA

Niepełnosprawni są wśród nas

Potem było święto żydowskie i udał się Jezus do Jerozolimy. A jest w Jerozolimie przy Owczej Bramie sadzawka, zwana po hebrajsku Betezda, mająca pięć krużganków. W nich leżało mnóstwo chorych, ślepych, chromych i wycieńczonych, którzy czekali na poruszenie wody. Od czasu do czasu zstępował bowiem anioł Pana do sadzawki i poruszał wodę. Kto więc po poruszeniu wody pierwszy do niej wstąpił, odzyskiwał zdrowie, jakąkolwiek chorobą był dotknięty. A był tam pewien człowiek, który chorował od trzydziestu ośmiu lat. I gdy Jezus ujrzał go leżącego, i poznał, że już od dłuższego czasu choruje, zapytał go: Chcesz być zdrowy? Odpowiedział mu chory: Panie, nie mam człowieka, który by mnie wrzucił do sadzawki, gdy woda się poruszy; zanim zaś ja sam dojdę, inny przede mną wchodzi. Rzecze mu Jezus: Wstań, weź swoje łoże i chodź. I zaraz ten człowiek odzyskał zdrowie, wziął swoje łoże i chodził.

Jn 5:1—9a

Oglądałem kiedyś afisz anonsujący jakąś akcję na rzecz osób niepełnosprawnych. Był na nim napis wydrukowany dużymi literami: „Niepełnosprawni są wśród nas, a nie obok nas". Wyrażał on bardzo ważną treść. Zwracał uwagę na to, że jest różnica między byciem w ś r ó d innych a byciem o b o k nich. Uświadamiał, że ludzie niepełnosprawni należą do naszej człowieczej wspólnoty, żyją między nami i nie wolno nam zamykać na to oczu; nie wolno nam traktować ich jakby byli gdzieś obok nas, a nie z nami, jakby znajdowali się poza sferą naszego działania i naszych zainteresowań albo jakby w ogóle nie istnieli.

A w naszym otoczeniu wszystko zdaje się temu zaprzeczać i wygląda tak, jakby wszyscy ludzie byli sprawni, jakby nie było ludzi chorych, inwalidów, osób starych, czasami ledwie poruszających się, którzy jednak chcą jak najdłużej zachować swoją samodzielność i niezależność. Nic nie jest przystosowane do możliwości ludzi, których sprawność została w taki czy inny sposób ograniczona. Ani domy, ani ulice, a zwłaszcza przejścia dla pieszych z niedogodnymi krawężnikami, ani windy, ani łazienki, ani wejścia do sklepów, ani nawet wejścia do kościołów. Brak podjazdów, brak odpowiednich poręczy, uchwytów, brak elementarnych ułatwień umożliwiających samodzielne poruszanie się człowiekowi niepełnosprawnemu. Ciekawe, że pomyślano o potrzebach zmotoryzowanych użytkowników dróg i dla samochodów czy motocykli zbudowano odpowiednie, łagodne wjazdy z jezdni na chodnik, ale tam, gdzie są przejścia dla pieszych, ani inwalida poruszający się na wózku, ani człowiek stary lub chory, który chodzi z trudem, powoli, powłócząc nogami, nie może samodzielnie dostać się z jezdni na chodnik. Nikt o tym nie pomyślał. Owszem, tu i ówdzie za granicą widziałem, jak się ułatwia poruszanie niepełnosprawnym. A u nas, jak dotąd, nic.

Im bardziej uciążliwe są warunki życia, tym więcej niepełnosprawni potrzebują naszego ludzkiego zrozumienia i współdziałania. Człowiek niepełnosprawny chce zachować jak najwięcej samodzielności i niezależności. Dlatego nie potrzebuje, i na ogół nie chce, by go wyręczać w działaniu, lecz by mu je ułatwiać i by z nim współdziałać. Obserwowałem kiedyś kobietę, która z powodu skomplikowanego złamania nogi i jego skutków przestała chodzić i od lat jest przykuta do łóżka. A mimo to wiele czynności domowych wykonuje sama, m.in. gotuje. Ma tak usytuowane łóżko, że może to robić. Mąż przygotowuje to, co potrzebne do ugotowania posiłku i podaje jej, by wszystko miała w zasięgu swoich rąk. Oboje są rolnikami. Gdyby ta kobieta poddała się swemu losowi, gdyby popadła w bezczynność i zrezygnowała choćby z częściowej samodzielności, jak ci ludzie mogliby prowadzić swoje gospodarstwo, jak jej mąż mógłby uprawiać pole i wykonywać inne konieczne prace?

Ludzie niepełnosprawni potrzebują nie tylko naszego zrozumienia, ale i miłości. Miłości wyzwalającej wyobraźnię, fantazję, pomysłowość, odkrywającej drzemiące w nich zdolności i talenty, pomagającej uzyskiwać coraz to lepsze rozwiązania ułatwiające im życie. Joni Eareckson, młoda kobieta, która wskutek uszkodzenia kręgosłupa ma ręce i nogi bezwładne, nauczyła się pięknie rysować i malować, trzymając pędzle, mazaki lub ołówki w ustach. Helena Keller, głucha i niewidoma od 19 miesiąca życia, nie tylko nauczyła się czytać, ale ukończyła wyższe studia, uzyskując doktorat z filozofii, a nawet „słuchała" koncertów dzięki ponadnormalnej wrażliwości skóry dłoni i twarzy na ruchy powietrza. Napisała kilka książek, prowadziła bardzo czynne życie w dziedzinie resocjalizacji ludzi nieuleczalnie chorych. Obie te kobiety miały koło siebie mądrych i dobrych, kochających ludzi, którzy pomogli im skutecznie przezwyciężyć następstwa kalectwa.

W tekście, który wybrałem jako podstawę tych rozważań, jest mowa o człowieku, który był chory od 38 lat. Jaka to była choroba, a może następstwa choroby przebytej w dzieciństwie — tego nie wiemy. Wiadomo tylko, że miał on bardzo ograniczone możliwości poruszania się. Przez długi czas szukał ratunku w znanej wówczas ze swych właściwości leczniczych sadzawce noszącej nazwę Betezda, czyli Dom Miłosierdzia. Znajdowała się ona w pobliżu jednej z bram w murach Jerozolimy. Wierzono, że człowiek, który pierwszy znajdzie się w wodzie po jej poruszeniu przez anioła, zostanie uzdrowiony. Ale tylko pierwszy. Ów chory, o którym mowa w Ewangelii Jana, nie był w stanie zdążyć pierwszy do sadzawki w odpowiednim momencie. W jakś sposób dostawał się w jej pobliże, ale gdy nadchodził ów decydujący moment, inni go uprzedzali. On, skazany na siebie samego, na swoje własne, bardzo ograniczone możliwości i siły, nigdy nie mógł zdążyć z wejściem do wody, gdy następowało jej „poruszenie". To był swego rodzaju wyścig — kto pierwszy, ten lepszy; kto pierwszy, ten wygrywał, ten osiągał wymarzony ratunek.

Kiedyś nadszedł tam Jezus. Zapytał chorego: Czy chcesz być zdrowy? Czyż potrzebne było to pytanie? Po to przecież codziennie był przy sadzawce. Widział w niej swoją Betezdę, swój Dom Miłosierdzia. Na pytanie Jezusa odpowiedział: Nie mam człowieka, który wrzuciłby mnie w odpowiednim momencie do wody. Nie mam człowieka, który by mi pomógł. Oto smutne stwierdzenie nieszczęśliwego chorego. Rodzina, być może, nie podzielała jego nadziei, być może, uważała, że to stracony czas, że nie ma żadnych szans ratunku. Ale chory chwytał się każdej, choćby nikłej nadziei. Tak jest do dzisiaj. Jeżeli lekarz nie pomoże, szuka się pomocy u znachora lub innego „uzdrawiacza".

Ale skarga: „nie mam człowieka", ma i nam coś powiedzieć. To ogromnie smutne słowa, to

Pomóż im i mnie

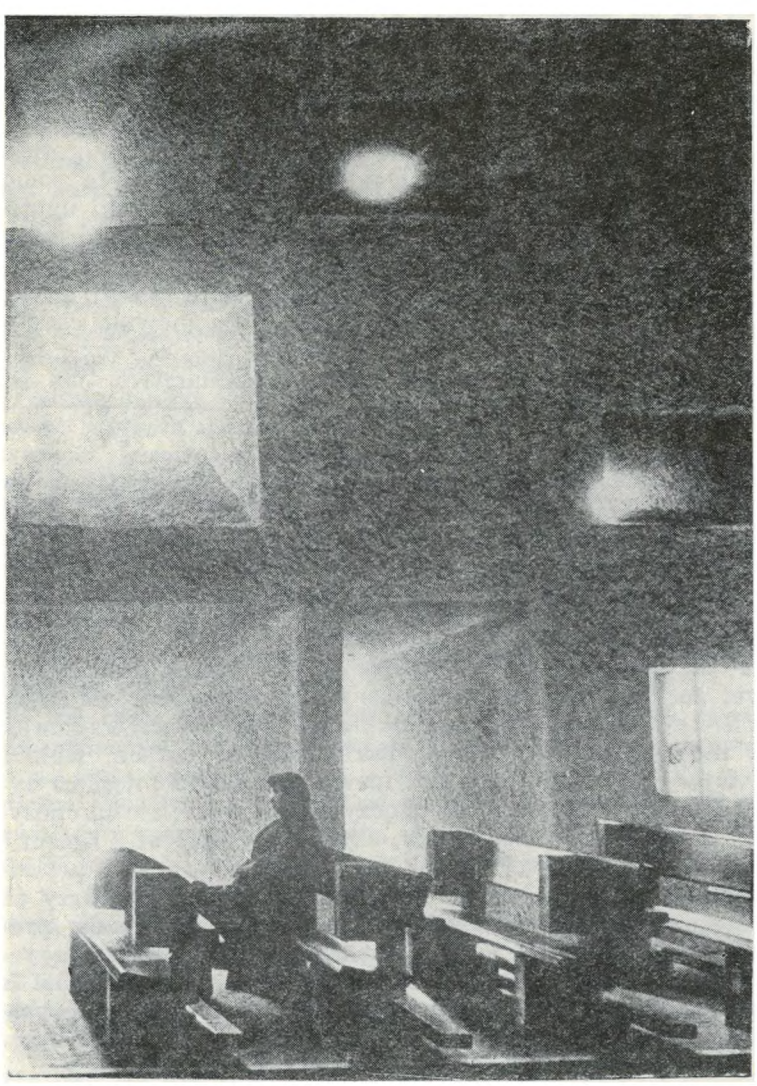

Boże,
tak wiele jest nieszczęść na tym świecie,

tak wiele cierpienia...
Nie uskarżam się na to, ale proszę — pomóż mi i tym, którzy cierpią.

Pomóż mi pojąć do głębi,
co to znaczy,
że niepełnosprawni są wśród nas.

Pomóż mi pamiętać wobec nich
o Twojej miłości
i obudź we mnie miłość ku nim.

Oświecaj mnie i dodawaj mi sił,
bym nie wątpił i mimo wszystko
dostrzegał wszędzie Twoją dobroć i mądrość
i bym umiał innych o tym przekonać.

Pozwól mi być Twoim prawdziwym świadkiem.

Dopomóż wszystkim
ludziom niepełnosprawnym
przezwyciężyć słabość,
zwątpienie i rezygnację.

Pomóż im odkryć
tajemnicę i źródło Twojej mocy.

Dopomóż tym, których bliscy
są niepełnosprawni
i wskutek choroby lub kalectwa
zależni od nich.

Dopomóż im swoją mocą,
by ich wspierali ze zrozumieniem,
cierpliwością i miłością.

A jeśli postawisz na mojej drodze
człowieka niepełnosprawnego,
ukaż mi, jak mogę mu pomóc,
aby go nie urazić
i nie przeszkodzić w jego dążeniu
do usamodzielnienia się.

Pomóż mi, bym umiał
być razem z nim, a nie obok niego.
Amen.

wręcz oskarżenie o nieczułość, o brak zainteresowania człowiekiem potrzebującym pomocy. To skarga człowieka bezradnego, który marzył o odmianie losu, o poprawie stanu zdrowia, o tym, by nie być skazanym na łaskę i niełaskę ludzi. Oby nas, ciebie i mnie, nigdy nie mogło dotyczyć to oskarżenie: „nie mam człowieka".

Między nami także są ludzie, którzy w swojej bezradności i niepełnosprawności potrzebują pomocy. Są ludzie dotknięci kalectwem, są ludzie starzy, schorowani. Czy jesteś skory do świadczenia im pomocy? Czy jesteś gotów poświęcić im swój czas? Ludziom może obcym, dalekim tobie, ale przecież bliźnim. A może masz w swojej rodzinie, wśród najbliższych kogoś, kto utracił swoją sprawność i nie może liczyć tylko na siebie, na swoje siły, a musi liczyć na ciebie, na twoje serce i twoją pomoc?

Pamiętaj, że ty jesteś świadkiem Boga wobec tych ludzi. Oni w tobie chcą widzieć przekaziciela Bożej miłości, Bożego wysłannika, Boże „ręce". To ty właśnie musisz zdobywać się na wiele wysiłku, aby ułatwić im życie. To ty musisz z głęboką serdecznością i największą życzliwością szukać w swojej wyobraźni coraz to nowych pomysłów i inicjatyw, aby uczynić znośnym ich życie, musisz szukać sposobów, aby zapewnić im, na ile to tylko możliwe, pewną, choć ograniczoną, samodzielność.

Pamiętaj, że wśród ludzi niepełnosprawnych możesz spotkać osoby zgorzkniałe, zawiedzione, rozżalone — na Boga i ludzi. To ty właśnie, dzięki swojemu działaniu, dzięki swemu sercu, możesz przywrócić im radość, bardziej optymistycznie spojrzenie, pewną pogodę ducha. Pomyśl o tym, jak trudno jest im żyć...

Wówczas, nad sadzawką Betezda, nieuleczalnie chorego uzdrowił Jezus. On darował mu to, o czym tamten marzył przez długie lata. Usłyszał wtedy chory owe słowa: „Wstań, weź swoje łoże i chodź!" I wstał, i chodził, i cieszył się. Dziś jest wiele sposobów ratowania zdrowia ludzkiego, przywracania sprawności, ale nie w każdym przypadku się to udaje. Są sytuacje, kiedy nie można nic zmienić, nic odwrócić, można tylko, i trzeba, pomagać, wspierać.

Tak, niepełnosprawni są wśród nas, są i będą, i być powinni w ś r ó d, a nie o b o k.

Pamiętaj jeszcze o jednym. Nie wystarczy twoje działanie w sferze materialnej. Nie zapomnij o oddziaływaniu duchowym, o tym, aby mogła rozwijać się wiara tych, z którymi dane ci jest żyć lub spotykać się. Życie Joni Eareckson zmieniło się w sposób istotny mimo nieodwracalnego kalectwa, gdy uwierzyła Bogu, gdy nawróciła się — dosłownie. Jej życie człowieka unieruchomionego na wózku inwalidzkim nabrało nowego sensu i dziś jest ona nie tylko artystką malarką, ale pracuje też dla innych niepełnosprawnych, wyjaśnia im, opierając się na swoich doświadczeniach i na głęboko przeżywanym Słowie Bożym, gdzie spoczywa tajemnica nowego życia, przezwyciężenia skutków kalectwa i cierpienia, i jak tę tajemnicę można posiąść. A jedna z moich znajomych, cierpiąca od lat na straszną chorobę *sclerosis multiplex*, mimo ogromnych cierpień, mimo zupełnej bezwładności dolnej części ciała i skazania na całkowitą zależność od swoich bliskich, jest pełna wewnętrznej pogody, a dzięki swojej żywej, głębokiej wierze może pocieszać tych wszystkich, którzy odwiedzają jej dom i zadziwiać swoim uśmiechem, życzliwością, pełnią wewnętrznego spokoju oraz głębokiego rozumienia Słowa Bożego. To ona właśnie jest architektem niezwykłej atmosfery, jaka panuje w tej rodzinie. To ona właśnie przez radę i modlitwę pomaga swoim dorosłym dzieciom w ich bardzo aktywnym życiu i w ten sposób odwzajemnia im się za służbę, którą one pełnią wobec niej.

Gdy masz do czynienia z człowiekiem niepełnosprawnym, nie zapomnij o tym, co Chrystus może i chce wnieść w jego życie. A ty ułatwij mu znalezienie tego skarbu.

Przypominamy naszym Czytelnikom, że w każdą niedzielę w programie IV Polskiego Radia (fale średnie i ultrakrótkie) o godzinie 18.00 transmitowane są nabożeństwa lub audycje o tematyce religijnej.

R e d a k c j a

BARBARA STAHLOWA

Społeczność Kościoła wobec ludzi specjalnej troski

Kościół pojmowany jako Ciało Chrystusowe oznacza wspólnotę, która z samej swej istoty jest wspólnotą odpowiedzialną za siebie nawzajem i za innych ludzi. Taka wspólnota nie pozostawia nikogo na marginesie ani tym bardziej nie usuwa poza margines swego zainteresowania. Każdego członka traktuje jako użyteczną, niezbędną, niepowtarzalną i sprawującą określone funkcje cząstkę Ciała, które w całości podporządkowane jest swej Głowie. Kierując się nadrzędnym przykazaniem miłości, Kościół specjalną troską otacza słabych, chorych, samotnych i starych, wszystkich ludzi cierpiących i potrzebujących pomocy lub wsparcia tak duchowego, jak materialnego, choćby nie byli oni członkami wspólnoty Kościoła. Postępowanie uczniów jest zatem kontynuacją postaw i zachowań samego Jezusa, wiernym Jego naśladowaniem. Taki idealny obraz Kościoła jako społeczności prawdziwie odpowiedzialnej prześwieca z kart Ewangelii, Dziejów i Listów Apostolskich.

Nie jest celem tego artykułu dostarczyć informacji o biblijnych podstawach służby chrześcijan wobec ludzi — jak ich dziś określamy — niepełnosprawnych, jednakże warto zachęcić Czytelników, aby pod tym kątem zechcieli studiować Nowy Testament. Okazuje się bowiem, że nie znajdujemy tam ani jednego przykładu cierpienia, wobec którego Jezus (a później uczniowie) przeszedłby obojętnie. Liczne są opisy uzdrowień i cudów, jakich On dokonał, a przecież relacje ewangelistów nie obejmują wszystkich Jego poczynań (por. np. Jn 20:30). Obdarowany pełnią mocy przez Boga, zdejmował z ludzi ciężar udręk fizycznych i psychicznych, zawsze widział całego człowieka, karmił, leczył, uzdrawiał dusze i ciała. Gdy powołał Dwunastu, „dał im moc nad duchami nieczystymi, aby je wyganiali, i aby uzdrawiali każdą chorobę i wszelką niemoc" (Mat. 10:1).

Kościół pierwotny zwiastując światu Ewangelię Jezusową poświadczał ją właśnie czynami miłosierdzia: apostołowie uzdrawiają chorych i dręczonych przez duchy nieczyste (Dz. 3:1—8; 5:12—16 i in.), własne zbory organizują tak, aby nikt nie cierpiał niedostatku, ale aby każdy otrzymał według potrzeby (Dz. 4:34 n.), by ludzi starych i samotnych nie spy-

chano na margines życia rodzinnego, lecz otaczano szacunkiem, miłością i troskliwym staraniem (Dz. 6:1—7; I Tym. 5:1—5, 8.16). Bardzo wcześnie ustanowiony zostaje w Kościele urząd diakona, sprawującego i organizującego służebną opiekę nad ludźmi starymi, potrzebującymi, cierpiącymi i samotnymi. Czyniąc to wszystko, apostołowie wzywają w imieniu Jezusa: „Bądźcie naśladowcami moimi" (por. np. I Kor. 11:1) i przypominają wypowiadane wielekroć przez Niego słowa: „Pójdź za mną!"

Przez całe wieki, aż po dziś dzień diakonia Kościoła jest nierozerwalnie sprzęgnięta z owym „Pójdź za mną!", ze służbą głoszenia pełnej Ewangelii o Jezusie Chrystusie, aż po Jego Krzyż, Zmartwychwstanie i Królowanie. Diakonia poświadcza wiarygodność wyznawców Jezusa bądź jej zaprzecza w przypadku, gdy społeczność nazywająca siebie chrześcijańską poprzestaje na słowach, za którymi nie nadążają czyny: „Cóż wart jest Kościół i jego społeczność, pośród której człowiek powalony cierpieniem jest na ostatnim miejscu uwagi, a przeważnie bez żadnego miejsca..." — pyta współczesnych uczniów Jezusa kobieta, której wypowiedź znajduje się w tym numerze „Jedności" (s. 23). Co i jak odpowiemy wszystkim tym Współczesnym Hiobom?

*

W dobrze zorganizowanych i wysoko rozwiniętych społeczeństwach końca XX wieku funkcje opiekuńcze i charytatywne, których sprawowanie było przez całe stulecia wyłączną domeną Kościoła, w dużej mierze przejęło państwo i jego wyspecjalizowane służby. Oczywiście, Kościół nie rezygnuje z szeroko pojętej diakonii, która jest jego powołaniem, ale też nie zastępuje państwa w jego obszarze świadczeń na rzecz chorych, niepełnosprawnych i starych członków społeczeństwa, a raczej uzupełnia jego działalność, gdyż ma do wypełnienia służbę niepowtarzalną i w swoim rodzaju jedyną wobec ludzi specjalnej troski. W krajach, o jakich mowa (myślę konkretnie o Holandii, bo tam przed paru laty specjalnie się z tymi zagadnieniami zapoznawałam), większość instytucji opiekuńczych wcale nie jest prowadzona przez Kościoły, lecz przez państwo (miasto, gminę, wieś), jednakże dzięki właściwemu oddziaływaniu poszczególnych chrześcijan i całych Kościołów w szpitalach tych, domach i zakładach dla nieuleczalnie chorych spełniana jest prawdziwie chrześcijańska posługa. Duchowni i świeccy członkowie Kościoła, uwolnieni przez państwo od troski o godziwe warunki przebywania i życia ludzi niepełnosprawnych, z tym większą energią koncentrują się na oddziaływaniu na sferę duchową chorych i na zaspokajaniu ich potrzeb psychicznych.
Kościół kładzie ogromny nacisk na wychowanie zwłaszcza młodych członków wspólnot w duchu współodczuwania i poczucia odpowiedzialności za los słabszych. Właśnie w Holandii zetknęłam się z dość rozpowszechnioną formą „adopcji" dziadków. Młode małżeństwa z małymi dziećmi przysposabiają przebywających w domach opieki ludzi starych, pozbawionych własnych rodzin. Razem spędzają wszystkie weekendy i święta, wspólnie obchodzą urodziny i inne uroczystości, razem chodzą do kościoła, razem śpiewają w chórze parafialnym. Młodzi podejmują się też załatwiania na mieście czy w urzędach różnych spraw i formalności, których wykonanie przekracza siły człowieka starego. Działania te nie mają charakteru „akcji", lecz są stałym elementem służby Kościoła.

Trzeba także dodać, że miejscowy duchowny z zespołem przeszkolonych współpracowników świeckich regularnie odwiedza domy opieki i zakłady dla nieuleczalnie chorych, nie czekając na wezwanie. W licznych ośrodkach opiekuńczych i szpitalach miejskich specjalny sekretariat zajmuje się wyłącznie prowadzeniem kartotek wyznaniowych i w każdej chwili służy duchownym różnych wyznań informacjami, kto ze współwyznawców tam aktualnie przebywa, kto pragnie rozmowy, Komunii lub innej posługi.

Bardzo rozpowszechniony jest w parafiach system odwiedzin domowych. I znów — duchowni nie czekają na wezwanie rodziny, lecz regularnie, w określone dni składają wizyty chorym, starym i niepełnosprawnym, pozostającym pod opieką najbliższych. W parafiach działa sieć osób, które współpracują z duchownym w tym zakresie i wyręczają go w czynnościach, których nie musi on wykonać osobiście. Dodajmy też, że dzięki dobrym warunkom mieszkaniowym, materialnym i socjalnym znacznie łatwiej jest rodzinom holenderskim niż polskim zapewnić w warunkach domowych prawidłową opiekę starym rodzicom, kalekim lub upośledzonym umysłowo dzieciom. Nie umiem określić, jak wysoki procent rodzin z tych dobroczynnych możliwości korzysta, ale niewątpliwy jest fakt, że w Holandii uderza wprost w oczy sympatyczny stosunek do ludzi starych i niepełnosprawnych, stosunek naturalny, a jednak nacechowany poczuciem odpowiedzialności społeczeństwa za los swych słabszych członków. Jest to niewątpliwy sprawdzian poziomu kultury i dojrzałości humanitarnej tego narodu jako całości i jego różnych środowisk.

*

Przejdźmy jednak do bliższych nam realiów i spróbujmy uświadomić sobie zadania Kościoła w tych warunkach, z jakimi mamy do czynienia w kraju. Nie sposób tego tematu omówić w jednym artykule, więc zasygnalizuję tylko kilka najważniejszych, moim zdaniem, spraw.

Są w Polsce grupy (także w środowiskach kościelnych) skłonne uważać, że instytucje pań-

stwowe i społeczne powinny (jak to zostało wyżej przedstawione) zapewnić skuteczną opiekę nad osobami specjalnej troski. Powstaje jednak pytanie: skoro instytucje te nie są w stanie sprostać swoim obowiązkom, to co należy czynić? Czy w tej sytuacji Kościół — w imię dobra człowieka cierpiącego — nie powinien raczej przejąć na siebie obowiązków państwa? Czy w obecnej chwili jest miejsce i pora na tego rodzaju przetargi? W naszych realiach każdy zbudowany i prowadzony z funduszów kościelnych dom opieki, szpital, zakład dla nieuleczalnie chorych czy dom starców, jakkolwiek wymaga od Kościoła dodatkowych, nieraz na granicy możliwości nakładów — pracy ludzkiej, sił, starań, przełamywania piętrzących się barier, zdobywania personelu i środków finansowych — to jednak powiększa liczbę tych, których życie staje się może odrobinę godniejsze. Nie wiem, czy pobyt w zakładach kościelnych czyni ludzi bardziej „szczęśliwymi" niż w zakładach państwowych, ale dzięki tym instytucjom większy procent ludzi zdobywa przynajmniej poczucie bezpieczeństwa i spokoju o ostatnie chwile życia, a ci bezdomni zyskują chociaż namiastkę domu.

Tak więc w warunkach polskich Kościół nie powinien rezygnować z żadnej okazji, która pozwoliłaby zwiększyć tzw. bazę szpitalną lub opiekuńczą w naszym kraju, i czynić wszystko, co w jego mocy, aby posługa w tych zakładach przepojona była duchem chrześcijańskiej miłości.

Nie ma potrzeby opisywać warunków, w jakich bytują lub jakimi są otoczeni u nas starcy, osoby kalekie bądź niepełnosprawne psychicznie. Uczynili to już inni autorzy tekstów zamieszczonych w tym numerze „Jednoty". Niekiedy będę jednak musiała odwoływać się do pewnych sytuacji, jeżeli mam ukazać wybrane obszary pracy, ciągle otwarte przed Kościołem. Niektóre z nich zostały lekko przeorane, inne wciąż są nie tkniętym ugorem.

Jednym z takich ugorów jest stosunek społeczeństwa (w swej masie) do ludzi starych i niepełnosprawnych. Wielu traktuje nieuleczalną chorobę, upośledzenie, kalectwo a także starość jak zjawiska wstydliwe, gorszące, a niekiedy nawet jakby „zawinione" przez cierpiącego (kara za grzechy). Istnieje bardzo wyraźnie rysująca się tendencja do usuwania tych ludzi poza margines życia społecznego, za szczelnie zamknięte drzwi mieszkań lub zakładów, eliminowania ich sprzed oczu tzw. zdrowych i normalnych, a w najostrzejszych przypadkach — odmawiania prawa godności osoby ludzkiej. Naprawdę szeroko rozpowszechnione jest przekonanie, że starcy, chronicznie chorzy, kalecy i psychicznie niepełnosprawni stanowią o b c i ą ż e n i e dla społeczeństwa.

P i l n e i w a ż n e zadanie Kościoła musi w tej sytuacji polegać na uporczywym przeobrażaniu negatywnych postaw społecznych i takim ich kształtowaniu, aby w efekcie uzyskać prawidłowe reakcje znacznej liczby członków społeczeństwa wobec problemu choroby, starości i ułomności. Jednym z elementów takiego oddziaływania jest szeroko zakrojone informowanie o potrzebach psychicznych i fizycznych osób specjalnej troski. Aby jednak czynić to skutecznie, Kościół (jego duchowni i świeccy) sam musi dołożyć starań, aby te potrzeby poznawać, rozumieć je i próbować zaspokajać. W formach i sposobach dostosowanych do poziomu i swoistych cech środowisk parafialnych należy uświadamiać rzeczy podstawowe: że człowiek stary lub nieuleczalnie chory wcale nie staje się „nieproduktywny" (Boże, co za straszne, haniebne słowo!), że nie przestaje być wartościową o s o b ą ludzką, cząstką wspólnoty człowieczej, której ciągle ma coś do zaofiarowania, że to my — tzw. silni i zdrowi, czyli niby normalni — możemy się od chorych, słabych i „nienormalnych" wiele nauczyć, o wiele wartości dzięki nim wzbogacić. To Kościół musi przede wszystkim w swoich środowiskach przełamać ten niedobry kult dla tężyzny, krzepy i „produktywności", to Kościół musi przywrócić prawdziwy ład w hierarchii wartości moralnych. Jeśli się to nie uda lub jeśli nie nastąpi wcześniej koniec świata, strach pomyśleć o tym zalewie znieczulicy i pogardy w stosunku do wszystkiego, co pozornie słabe i bezbronne.

Ten obszar pracy Kościoła (widzę tu prawdziwe pole do popisu dla ekumenii, dla skoordynowanych wysiłków różnych wyznań chrześcijańskich w Polsce) obejmuje sferę wychowania. Zaiste, polskie społeczeństwo musi przejść głęboki i długotrwały proces przemian, aby osiągnąć taki poziom dojrzałości, kultury i humanitaryzmu, na którym odpowiedzialne myślenie o słabszych i bezbronnych członkach wspólnoty ludzkiej, troska o ich godne życie oraz staranie o to, by nie czuli się odrzuceni, lecz akceptowani i docenieni — stałyby się udziałem, świadomością i postawą nie tylko nielicznych jednostek.

Ta wielka praca wychowawcza Kościoła w Polsce objąć powinna możliwie najszersze grupy ludzi — od dzieci aż po osoby dojrzałe. Wcale nie wymaga ona specjalnych nakładów ani nie spowoduje dodatkowego obciążenia pracą duchownych. Można ją wykonywać w tych strukturach i tymi środkami, które Kościół ma do dyspozycji. Choć nie miejsce tu na przedstawianie metod tej pracy, mam pokusę, by na paru prostych przykładach pokazać, jak w realiach Kościoła Ewangelicko-Reformowanego można do tego typu działań wychowawczych — konkretnie w odniesieniu do dzieci — wykorzystać instytucję Szkoły Niedzielnej.

Już same lekcje stwarzają liczne okazje (tak bogaty jest materiał zawarty na ten temat w Ewangeliach) do przybliżania dzieciom problemów ludzi niepełnosprawnych i kształtowania chrześcijańskiego stosunku do zjawiska choroby, kalectwa i starości. I tak oto historia uzdrowienia człowieka niewidomego od uro-

dzenia (Jn 9:1—7) daje nauczycielowi szansę zaszczepienia w umyśle nawet całkiem małych dzieci informacji, że choroba lub ułomność nie jest karą za grzechy, że „ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, lecz żeby się na nim objawiły wielkie dzieła Boże...". Również na lekcjach można kształtować stosunek i postawy dzieci wobec ludzi specjalnej troski. Jeżeli opowiadając, na przykład, o Bartymeuszu, nauczyciel zaraz potem przeczyta specjalnie wybrane fragmenty „Pamiętników ociemniałych" — dostarczy dzieciom informacji z pierwszej ręki. Będą odtąd wiedziały, jak trzeba, a jak nie wolno zachowywać się wobec niewidomego, jak mają postępować (na ulicy, na przystanku, na skrzyżowaniu itp.), aby go nie zranić, lecz przeciwnie — udzielić takiej pomocy, jakiej on oczekuje.

W dużych miastach lekcje Szkoły Niedzielnej odbywają się równolegle z nabożeństwami. Pociąga to za sobą cały szereg minusów, a wśród nich i ten, że małe dzieci z rzadka tylko spotykają się z ludźmi starszymi lub bardzo starymi. (A tych nie brakuje w naszych zborach, tak jak zresztą w całym społeczeństwie.) Stwarza to niebezpieczną sytuację izolacji. Aby jej przeciwdziałać i wyrabiać w dzieciach poczucie więzi i wspólnoty z ludźmi starymi w zborze, można m.in. organizować jak najczęstsze spotkania obu tych grup. Z okazji Dnia Matki, Opłatka, Święta Rodziny itd., itp. — dzieci ze Szkoły Niedzielnej zapraszają na uroczystość oprócz swych najbliższych także wszystkie stare i samotne osoby w zborze, obdarowują je prezentami, siadają przy wspólnym stole, rozmawiają, uczą „młodzieżowych" pieśni, razem się modlą. W sytuacji, gdy w samym zborze bądź w innym znanym dzieciom środowisku (u sąsiadów, u koleżanki szkolnej) znajdują się osoby ciężko chore lub niesprawne fizycznie, nie opuszczające domów lub zakładów, można zachęcić dzieci do rozpoczęcia i prowadzenia z nimi stałej korespondencji, wysyłania osobiście przygotowanych rysunków, wyklejanek lub innych prezentów. Taki znak pamięci, nadchodzący regularnie, jest dla człowieka cierpiącego lub samotnego źródłem radości, pociechy, świadectwem łączności ze środowiskiem Kościoła i ze światem zewnętrznym. Wobec dzieci zaś spełnia ważne funkcje wychowawcze: uczy rzetelności, odpowiedzialności za los drugiego człowieka, uwrażliwia na jego sytuację i już teraz kształtuje u dziecka jego przyszłe — dorosłe — solidarne postawy.

Bardzo istotną sprawą jest we wszelkich takich działaniach (nie tylko w pracy Kościoła z dziećmi) zachowanie ciągłości i systematyczności. Najgorsze, co się może Kościołowi przydarzyć w jego diakonii, to „akcyjność". Raz akcja pisania listów, potem długo nic, akcja roznoszenia paczek, przerwa, akcja odwiedzin w domach opieki itd., itd. Od akcji do akcji... A co między nimi? Jeszcze głębsza samotność samotnych, cierpienie cierpiących, poczucie opuszczenia u odrzuconych lub zapomnianych. Człowiek stary, chory i samotny nie jest zabawką w ręku chrześcijanina. Nie został stworzony przez Boga po to, abyśmy mogli od czasu do czasu spełniać na nim dobre uczynki i w ten sposób uspokajać nasze chrześcijańskie sumienie.

Drugim ważnym polem pracy Kościoła, który pragnę zasygnalizować ze względu na zaniedbania, jakie dostrzegam we własnej społeczności kościelnej, jest szukanie, mobilizowanie i wyzwalanie naprawdę obfitych, ale często pozostających w ukryciu rezerw ludzi dobrej woli, którzy zechcą podjąć systematyczną pracę pośród starych, chorych i niepełnosprawnych osób, pozbawionych opieki ze strony najbliższego otoczenia — lub też udzielać pomocy rodzinie, która w obecnych warunkach życia nie jest w stanie zapewnić choremu takiej opieki, jakiej on wymaga, a nie chce oddać go do zakładu. Zbyt mała liczba sióstr społecznych PCK powoduje, że wielu takich ludzi jest całkowicie z tej pomocy wyłączonych. I w taką lukę powinien wkraczać Kościół. Jestem przekonana, że najwięcej rezerw kryje się wśród młodego pokolenia (np. studenci, którzy zawsze mają „okienka" w rozkładzie zajęć), ale ich wyzwolenie wymaga specjalnego podejścia do młodzieży, która znużona różną atrakcyjnością i oblegającym z wszech stron pustosłowiem włączy się w takie działania tylko wtedy, kiedy dostrzeże ich sens i pożytek.

Drugą grupą kryjącą wielu potencjalnych kandydatów do takiej służby są w parafiach emeryci, a głównie emerytki — same jeszcze sprawne fizycznie i psychicznie (tyle osób w ostatnim czasie przeszło na wcześniejsze emerytury!), dysponujące rezerwą wolnego czasu i bogatym doświadczeniem życiowym. Z tej grupy mogłyby się wywodzić w każdej parafii jedna lub dwie stałe opiekunki, które nie zajmowałyby się już niczym więcej w Kościele poza opieką (i jej organizowaniem) nad niedołężnymi. W zależności od potrzeb dobierałyby one sobie współpracowników spośród młodzieży parafialnej (np. do wysprzątania mieszkania osoby chorej, przydźwigania węgla, zakupów itp.) lub korzystały z dorywczej pomocy innych parafian — lekarzy, prawników, pielęgniarek — gdy sytuacja będzie tego wymagała.

I znów powstaje ten sam problem: taka służba miłosierdzia musi być wykonywana w sposób ciągły i systematyczny, z sercem, taktem i rozeznaniem potrzeb człowieka, któremu usługujemy. Dlatego osoby do niej przez Kościół powołane powinny albo być przeszkolone, albo odznaczać się specjalnym charyzmatem, rodzajem wrażliwości uzdalniającej do chwytania w lot, czego od nas oczekuje cierpiący bliźni i jak należy się w danych okolicznościach zachować.

Obok wytwarzania wokół niepełnosprawnych członków społeczeństwa klimatu należnej im akceptacji, miłości, starania i współczucia (w s p ó ł c z u c i a, czyli współodczuwania, a nie litości), obok mobilizowania i powoływa-

nia ludzi do wykonywania ważnych czynności pielęgnacyjnych i opiekuńczych, Kościół powinien dążyć do wypracowania i rozpropagowania takich metod kontaktu z człowiekiem starym i niepełnosprawnym, które uwzględniałyby jego specyficzną sytuację psychiczną, stan ducha i umysłu. Wkraczamy zatem w sferę tylko Kościołowi przypisanej posługi — posługi duchowej. Co za paradoks! Tu właśnie kryją się poważne zaniedbania, przynajmniej w tym środowisku kościelnym, z którym mam najwięcej do czynienia. Dostrzec można wiele przyczyn takiego stanu rzeczy. Wymieńmy parę z nich.

Po pierwsze, przyszli kandydaci do służby duszpasterskiej opuszczają uczelnię teologiczną może nie najgorzej przygotowani z greki, filozofii, historii Kościoła i ruchu ekumenicznego, ale wyraźnie nie douczeni w zakresie psychologii i socjologii. Po drugie, tzw. praktyki parafialne, odbywane w czasie studiów, bardziej przypominają szkolenie pracowników administracji kościelnej niż przyszłych duszpasterzy. Po trzecie, z powodu ciągle zbyt małej liczby duchownych młodzi rzucani są od razu na głęboką wodę, do samodzielnej pracy w parafii. Niekiedy przerasta ona ich wiedzę, doświadczenie życiowe i odporność psychiczną. Uczą się właściwego postępowania dopiero na własnych błędach, które niekiedy stają się ich porażką, gdyż błąd popełniony w stosunku do człowieka skrajnie udręczonego cierpieniem i czekającego na jedyne właściwe i trafne w jego sytuacji słowo, na jedyną prawidłową reakcję księdza — być może, nie da się już nigdy naprawić. Po czwarte, przeładowanie różnorodną pracą parafialną powoduje, że duchowny odsuwa nieraz na dalszy plan rozmowy duszpasterskie z ludźmi wprawdzie starymi czy niepełnosprawnymi, ale przecież jeszcze nie umierającymi... Po piąte wreszcie, brak duchownych nie pozwala również na utworzenie duszpasterstwa chorych, w którym pracowaliby wyłącznie księża obdarzeni przez Boga specjalnym charyzmatem posługiwania ludziom cierpiącym i darem nawiązywania z nimi duchowego kontaktu.

Zarówno te wymienione, jak i te nie wspomniane tutaj przyczyny powodują, że w niejednej parafii duszpasterstwo ogranicza się do nabożeństw (kaznodziejstwa), studiów biblijnych i innych, mniej lub bardziej sformalizowanych, zajęć odbywających się na terenie ośrodka parafialnego, a więc skupiających wyłącznie ludzi jeszcze sprawnie się poruszających, samodzielnych, zachowujących kontakt z otoczeniem. Wizyty domowe u przewlekle chorych i stareńkich członków zboru (myślę o odwiedzinach samorzutnych, bez wezwania przez rodzinę czy sąsiadów) mają miejsce za rzadko i odbywane są pośpiesznie, bo czas i inne obowiązki naglą. Coraz rzadziej też słychać o nabożeństwach w domach u chorych, co było dobrą praktyką Kościoła. Podczas ostatniego Synodu padła nawet propozycja, aby świeccy, wyposażeni, w magnetofony i taśmy z nagraniami niektórych nabożeństw, docierali regularnie do takich domów, odciążając w pracy duchownego.

Słusznie, ale są sytuacje i sprawy, w których nawet najlepiej przygotowany do służby świecki nie zastąpi księdza. I to wcale nie dlatego, że brak mu kwalifikacji, serca, wiary czy subtelności, ale po prostu z tej przyczyny, że chory czy stary człowiek pragnie rozmowy i kontaktu w y ł ą c z n i e z księdzem, że jemu chce powierzyć swoje wątpliwości, rozterki, niepokoje, że jemu — słudze Bożemu — chce zawierzyć swoją rozpacz. Od duchownego spodziewa się pomocy w najtrudniejszym problemie: oczekuje mianowicie, że on ukaże mu sens cierpienia, samotności, opuszczenia, sens dalszego życia w takich warunkach, że on wyciągnie go z ciemności rozpaczy, że utwierdzi chwiejącą się wiarę. Bo wcale nie jest prawdą, choć tak powszechnie mniemamy, że człowiek stary lub doświadczony ciężkim cierpieniem ma uładzone swoje sprawy z Bogiem i spokojnie oczekuje śmierci. Oczywiście są i tacy, ale nie wszyscy. Wielu do końca przeżywa wątpliwości, niepokoje i rozterki, które nie zawsze ma komu powierzyć.

Najtrudniejszą i zarazem najważniejszą posługą Kościoła wobec ludzi starych, nieuleczalnie chorych i upośledzonych jest takie głoszenie Ewangelii o Jezusie, które ukazuje sens ich cierpienia, podnosi na duchu, obdarza nadzieją, pozwala ze zła, jakim jest choroba i cierpienie, wyzwolić dobro. To Kościół ma wpoić człowiekowi ciężko doświadczonemu przekonanie, że Bóg nigdy nie był bliżej niego, że najważniejszą formą aktywności staje się modlitwa, że możliwości twórcze i wkład w dobro ogólnoludzkie człowieka nie maleją wraz z cierpieniem i chorobą, lecz rosną, chociaż sposoby uzewnętrzniania tej aktywności i tych możliwości stają się ograniczone lub nie istnieją.

Jakże rzadko rozważane są w naszych zborach słowa apostoła Pawła: „...d o p e ł n i a m na ciele moim n i e d o s t a t k u u d r ę k Chrystusowych za ciało Jego, którym jest Kościół" (Kol. 1:24). A są to słowa tak ważne, odsłaniają bowiem rąbka tajemnicy o roli, jaką Bóg wyznaczył cierpieniu w swoim planie zbawienia, są to słowa, których można się uchwycić i dzięki nim odnaleźć na nowo sens życia, wydźwignąć się z dna rozpaczy na powierzchnię i zło przekształcić w dobro.

Takie głoszenie Ewangelii cierpienia, które niosłoby z sobą nadzieję i dawało siły do dalszej walki, wymaga jednak od chrześcijanina największej pokory wobec ciężko doświadczonego bliźniego, wymaga miłości, która cierpliwie wszystkiego wysłucha, wszystko zrozumie, nie będzie mędrkować, prawić teologicznych morałów, chyłkiem spoglądać na zegarek, ale pochyli się nisko nad bólem, osamotnieniem. Są takie cierpienia, w obliczu których milknie sam Bóg: „Boże mój, czemuś mnie opuścił?". Niechże wtedy i człowiek zamilknie i tylko zapłacze wraz z bliźnim swoim...

ADAM PASZKOWSKI

O pełne uczestnictwo

Kiedy w przeróżnych dyskusjach na tematy społeczne — tak często oglądanych na ekranach TV czy słuchanych przez radio — pada nagle słowo: inwalida, człowiek niepełnosprawny lub — coraz rzadziej, na szczęście, spotykane — kaleka, wśród dyskutantów zapada kłopotliwe milczenie. Dla jednych temat to obcy, zupełnie nie znany, dla innych po prostu niewygodny. Przed rokiem 1980 problem ludzi niepełnosprawnych prawie nie pojawiał się na łamach prasy centralnej, w radiu i telewizji, częściej można było nań natrafić w pismach środowiskowych, regionalnych, specjalistycznych. Nie traktowano go jednak obiektywnie — jak inne problemy społeczne, tak i ten przepuszczany był przez filtr tzw. propagandy sukcesu. Pisano o sytuacji osób upośledzonych przebywających w wybranych, lepszych domach opieki społecznej, szeroko reklamowano konstanciński ośrodek rehabilitacji i unoszono się nad nim w zachwycie, pokazywano przykłady ludzi, którzy swoją osobistą pracą i nauką przełamali izolującą ich od środowiska barierę kalectwa. Dopiero początek lat osiemdziesiątych wraz z całym ruchem odnowy przyniósł inny, mniej już barwny, ale za to prawdziwszy obraz problemu. Na tle ogólnie złej sytuacji ekonomicznej społeczeństwa warunki bytowe ludzi pozbawionych możliwości zarobkowania lub skazanych na wyrobniczą wegetację chałupników zatrudnianych w spółdzielczości inwalidzkiej przedstawiały się tragicznie. Społeczeństwo, do tej pory nieświadome tego problemu, dowiedziało się na przykład, że liczba ludzi niepełnosprawnych wcale nie jest równa liczbie inwalidów (różnicę tę wyjaśnimy dalej), że w Państwowych Domach Opieki Społecznej panuje nieraz głód i ubóstwo, a zdarza się i tak, że zakładowej kotłowni brakuję węgla (co nb. nie zawsze jest uwarunkowane sytuacją obiektywną), itd., itp. Niestety, wiadomości te, jak wiele innych, rozpłynęły się w potężnej fali informacji napływających ze środków masowego przekazu. W okresie, o którym złośliwi mówili, że nie strajkowali tylko pracownicy miejskich toalet, ludzie zamknięci w domach opieki społecznej lub czterech ścianach swoich mieszkań byli jedyną grupą nie mogącą upomnieć się o swoje prawa.

W roku 1978 Komitet Rehabilitacji i Readaptacji Człowieka PAN opracował jedyne w swoim rodzaju do dziś dzieło, ekspertyzę pod tytułem: „Sytuacja ludzi niepełnosprawnych i stan rehabilitacji w PRL". Pra-

ca ta jest swoistym kompendium wiedzy o omawianym problemie, niestety, wiedzy niepełnej, bo mimo szczerych chęci i pełnego zaangażowania jej autorom nie udało się zebrać wszystkich danych liczbowych dotyczących interesujących nas spraw, np. brak w niej danych na temat liczby i sytuacji ludzi niepełnosprawnych żyjących poza ośrodkami miejskimi. Mimo swych niedociągnięć, ekspertyza jest niezwykle cennym i, jak już wspomniano, jedynym do dziś dziełem omawiającym ten temat. Aby uzmysłowić czytelnikowi pełniejsze zrozumienie pionierskiej wagi opracowania, dodamy, że nawet późniejsze spisy powszechne nie uwzględniały niektórych ważniejszych liczb opisujących populację ludzi niepełnosprawnych. W sumie można z czystym sumieniem stwierdzić, że problem do dziś nie został w pełni, w sposób naukowy i kompetentny, opracowany.

Organizacje i instytucje, powołane do koordynacji poczynań władz względem tej potężnej grupy społecznej, w zasadzie nie spełniają stawianych im zadań, z całą pewnością zaś nie są w stanie sprostać oczekiwaniom opinii publicznej, które są nieco większe niż wymagania państwa.

Brak też wyraźnego programu poprawy losu ludzi niepełnosprawnych, jakiegoś ogólnego planu działań, rysu koncepcji mogącej odmienić dotychczasowy stan rzeczy. Organizacje społeczne dysponujące ograniczonymi środkami finansowymi i skromną kadrą osobową nie są zdolne osiągnąć nic więcej ponad wręczenie jednorazowej zapomogi najbardziej potrzebującym lub wywalczenie 50% zniżki kolejowej dla jakiejś, ściśle ograniczonej grupy inwalidów (np. niewidomych). W chaosie, który ogarnął całokształt systemu pomocy ludziom niepełnosprawnym, stworzenie jednej, postawionej co najmniej na szczeblu ministerstwa, organizacji realizującej opracowany przedtem plan działań staje się potrzebą, łagodnie mówiąc, palącą. Bo sytuacja nawet nie staje się, ale już od długiego czasu jest tragiczna.

Pomimo braku dokładnych danych na ten temat, można z całą pewnością stwierdzić, że w roku 1984 żyje w Polsce około 5 mln ludzi niepełnosprawnych. Stanowi to w przybliżeniu około 14% społeczeństwa, czego wcale nie należy się wstydzić — ten sam wskaźnik występowania niepełnosprawności w skali społecznej mają inne kraje rozwinięte. Dla lepszego zobrazowania ilościowej wagi problemu warto dodać, że w świetle tych danych (nb. nie wyssanych z palca, a opartych na istniejących statystykach z lat ubiegłych) co siódmy Polak jest osobą niepełnosprawną.

Jak czytelnik pewnie wie, inwalidów[1] administracja dzieli na trzy grupy. Pierwsza z nich to inwalidzi tzw. ciężko poszkodowani, wymagający stałej opieki i nie nadający się najczęściej do żadnej pracy; druga to inwalidzi w miarę samodzielni, mogący przy pewnych udogodnieniach i ułatwieniach wykonywać normalnie wydajną pracę; trzecia wreszcie grupa to ci, którzy są upośledzeni tylko w nieznacznym stopniu i mogą wykonywać pracę w normalnych warunkach, ale np. w niepełnym wymiarze godzin lub nie na wszystkich stanowiskach (np. wykluczona jest ciężka praca fizyczna). Z danych, jakimi dysponujemy, wynika, że spośród tych trzech grup inwalidów grupa druga i trzecia wykazuje tendencję spadkową, natomiast liczba osób w grupie pierwszej wzrasta. Zjawisko to jest nader niepokojące, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę spadek ogólnej stopy życiowej naszego społeczeństwa.

Poza tym istnieje spora grupa osób niepełnosprawnych, które nie zostały uznane za inwalidów[2]. Ilościowo stanowią one różnicę między ogólną liczbą ludzi niepełnosprawnych a liczbą prawnie zarejestrowanych inwalidów. Są to ludzie, którzy nigdy nie stawali przed Komisją do Spraw Inwalidztwa, i Zatrudnienia (KIZ) wydającą orzeczenia o grupie inwalidztwa, albo zostali przez nią odrzuceni. Jest to jednoznaczne z faktem, że ludzie ci nie są ani pracownikami żadnej instytucji, ani nie pobierają renty inwalidzkiej. Można jedynie domyślać się, że większa ich część jest na utrzymaniu najbliższych; o pewnej też części wiadomo, że są pensjonariuszami domów opieki społecznej. Poza tym nic nie wiadomo o źródłach ich utrzymania, o jakości ich bytowania, nawet o dokładnej liczbie. Ostatni Narodowy Spis Powszechny z 1978 r., którego wyniki opublikowano dopiero w 1981 r., nie podaje szczegółowych ani w pełni wiarygodnych danych na ten temat.

Z dostępnych materiałów można próbować stworzyć sobie obraz życia przeciętnego człowieka obarczonego kalectwem. Nie jest on — jak już powiedzieliśmy — sielankowy, wręcz odwrotnie — chmurny, ciemny i nie pozostawiający wiele nadziei.

Na życie to składa się nie tylko ciągła walka z instytucjami traktującymi inwalidę jak piąte koło u wozu, jako klienta nawet nie drugiej, ale trzeciej lub czwartej kategorii, lecz także — o wiele nieraz cięższa i trudniejsza — walka o godne, równorzędne miejsce w społeczeństwie, o — mówiąc prościej — godną pełnowartościowego człowieka jakość normal-

---

[1] W roku 1978 liczbę inwalidów określano na 1 mln 400 tys., w 1981 roku na 1 mln 667 tys.

[2] Wyjaśnijmy tu, że pojęcie „inwalida" jest u nas określoną kategorią prawną. Zgodnie z obowiązującymi przepisami za inwalidę może być uznana osoba, która spełnia określone warunki zdrowotne i formalne dotyczące zatrudnienia. Tylko takiej osobie przyznawana jest renta inwalidzka i tylko takie osoby figurują w rejestrach inwalidów. Pojęcie „niepełnosprawny" jest zaś znacznie szersze i obejmuje również ludzi o niepełnej sprawności biologicznej, czasem o dużym stopniu jej ograniczenia i de facto niezdolnych do pracy zarobkowej, ale niekoniecznie uznanych formalnie za inwalidów. Potocznie oba te pojęcia używane są często wymiennie.

nej codziennej egzystencji. Bo cóż mówić i żalić się wciąż na władzę, na organizacje, instytucje, skoro wiadomo, że ich stosunek do osoby niepełnosprawnej jest odzwierciedleniem tego, co czuje do człowieka niepełnosprawnego zwykły, szary obywatel PRL. Trudno wchodzić tu w motywacje psychologiczne zachowań człowieka, który raz na pół roku lub rzadziej widzi na ulicy osobę na wózku inwalidzkiem albo mongoidalną twarz upośledzonego umysłowo dziecka. Niemniej jednak warto zatrzymać się przez chwilę nad opisaniem choćby niektórych, najczęściej spotykanych postaw.

Najczęściej obserwowaną postawą wobec człowieka ciężej — bo o takich przypadkach tutaj myślimy — upośledzonego w momencie spotkania jest zdziwienie graniczące nieraz z rodzajem szoku. Osoba taka dostrzegłszy inwalidę, np. na wózku, często zatrzymuje się nawet na środku zatłoczonego chodnika i... podziwia. Kiedy człowiek niepełnosprawny wsiada do tramwaju lub autobusu, obserwują go nieraz dziesiątki par oczu, w których oprócz zaskoczenia można zobaczyć ciekawość, nieme pytanie: jak i czy sobie poradzi. Ten typ reakcji nazwijmy postawą bierną. Innym typem reakcji jest lęk. Odwracamy się w drugą stronę, boimy się zaproponować pomoc, może nawet dotknąć. Najsilniejszym typem reakcji jest wstręt, odraza. To jedna z rzadziej występujących, ale za to najbardziej przykra w odbiorze postawa. Szczególnie często występuje w sytuacjach, kiedy spotkanie osoby niepełnosprawnej z osobą zdrową jest spotkaniem mężczyzny i kobiety. Można przyjąć ogólnie, że w świadomości przeciętnego, zdrowego człowieka osoba niepełnosprawna występuje jako istota aseksualna. Stąd też tak często zdziwienie u obcych i potępienie, a nawet otwarta wrogość u najbliższych w stosunku do osoby decydującej się na związek z osobą niepełnosprawną.

Najczęściej chyba spotykana jest postawa litości. Wywodzące się z zachwiania zdrowo pojętego systemu wartościowania traktowanie osoby upośledzonej jako niepełnowartościowej, gorszej, niejako drugiej jakości powoduje, że patrzymy na inwalidę z góry, z poczuciem swojej wyższości. Łączy się z tym poczucie czyjegoś nieszczęścia: ten biedny, nieporadny, nieszczęśliwy. Ja jestem silny, lepszy, więc stać mnie na to, aby mu pomóc; zresztą współczuję biedakowi, czemu nie miałbym mu tego powiedzieć, okazać, będzie się czuł lepiej. Może nawet nie uświadamiamy sobie mechanizmu powstawania tego typu odczuć, ale ich istnienie i funkcjonowanie w naszej świadomości — naturalnie nie we wszystkich wypadkach — jest oczywiste. Błąd w wyżej przedstawionym rozumowaniu polega na nieuzasadnionej niczym próbie określenia stopnia czyjegoś nieszczęścia. Bo nie sam stopień upośledzenia fizycznego lub umysłowego stanowi o ocenie przez osobę niepełnosprawną swojego własnego losu.

Spotyka się ludzi, którzy przez swoje upośledzenie zasługują — zdawać by się mogło — na największe współczucie: to ci najciężej doświadczeni chorobą czy wypadkiem. Ale jest znamienne, że właśnie u tych ludzi znajdujemy największy ładunek nadziei, największą radość wewnętrzną, miłość i zaufanie do ludzi. Stopień nieszczęścia jest zależny w wyższej mierze od stopnia osamotnienia w cierpieniu, od zatraty poczucia bezpieczeństwa w najbliższym środowisku i od stopnia izolacji społecznej. Izolację tę rozumiemy wielorako. Będzie to zarówno izolacja środowiskowa, jak i społeczna w szerszym znaczeniu — kulturowa, polityczna i religijna. Człowiek pozbawiony naturalnego środowiska rodziny, przyjaciół i znajomych będzie swoją chorobę przeżywał o wiele ciężej niż człowiek zajmujący godne, pełnoprawne i przysługujące każdej ludzkiej osobie miejsce w rzeczywistości. Mało tego — aby zapewnić osobie upośledzonej pełne uczestnictwo we wspólnocie ludzkiej, trzeba dać jej możliwość współtworzenia i decydowania o kształcie swojego życia, na zasadach takich samych, jak innym ludziom danego środowiska czy grupy społecznej, a także społeczeństwa i narodu.

Szczególne miejsce przypada osobie niepełnosprawnej w Kościele. Aby uzmysłowić sobie, jak ma to miejsce wyglądać, warto sięgnąć do Ewangelii i przekonać się, jak dużą wagę przywiązuje Chrystus do cierpienia i do niesienia pomocy potrzebującym.

Czy na pewno tak szczegółowo opisane i liczne uzdrowienia czynione przez Jezusa i Jego uczniów miały być tylko znakiem mocy Bożej? Czy nie naucza Jezus: „wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili" (Mat. 25:40)? Czyż nie biedni, uciśnieni, wyzuci ze wszystkiego są ci, o których mówi Chrystus w pierwszym z ośmiu błogosławieństw Kazania na Górze (Mat. 5:3)? Współczesny Kościół chrześcijański przez pryzmat osoby upośledzonej każe dostrzegać obraz cierpiącego Chrystusa. Co prawda, niezupełnie godzimy się z tą wizją człowieka niepełnosprawnego, ale jest ona drogą do postawienia go w centrum chrzecijańskiej wspólnoty. Bo wspólnota taka nie może istnieć i spełniać stawianych przez Ewangelię zadań, jeśli osoby najsłabsze, wymagające największego poświęcenia a zarazem poszanowania i miłości mają zostać na jej marginesie lub poza nią. Osoby niepełnosprawne, w ogóle upośledzone, jeśli nawet znajdują swoje miejsce na obrzeżu wspólnoty, to wcześniej czy później, przy mniej sprzyjających okolicznościach, muszą wypaść poza jej orbitę.

Osoba niepełnosprawna, tak jak i dziecko, musi istnieć w centrum każdej mniejszej czy większej wspólnoty; musi być otoczona, jak dziecko, szczególną opieką duchową, musi czuć swoją wartość wobec Boga i bliźnich — to dopiero może zaowocować w przyszłości jej pełnym uczestnictwem w tej wspólnocie. Z drugiej zaś strony wspólnota wzbogacona przez

Dokończenie na s. 42

NIEPEŁNOSPRAWNI O SOBIE

Cztery kolejne artykuły, które zamieszczamy niżej, wyszły spod pióra osób, które najlepiej znają problemy ludzi niepełnosprawnych, gdyż same dotknięte są inwalidztwem. Dwa pierwsze pisane były przed blisko czterema laty, jako odpowiedzi na ankietę przeprowadzoną przez autorów raportu o sytuacji ludzi niepełnosprawnych w Polsce, o którym wspomina Adam Paszkowski (s. 11). Do dziś pozostają one aktualne, poza tym, że zmieniła się wysokość rent (dodajmy, że i cen) oraz sytuacja osobista ich Autorów (informujemy o tym w przypisach). Problemy ludzi niepełnosprawnych pozostały, niestety, te same i takie same. Wszystkim Autorom dziękujemy, że zechcieli dla nas o sobie samych napisać.

Redakcja

Życie na kółkach

Urodziłem się w 1953 roku w Warszawie. Mój ojciec jest wykwalifikowanym galwanizerem zatrudnionym w sektorze prywatnym, matka nie pracuje zawodowo. Mam młodszą siostrę i starszego brata. Mieszkam wraz z rodzicami, siostrą, jej dzieckiem i mężem w 3-pokojowym mieszkaniu mieszczącym się na parterze dużego bloku na Żoliborzu. Zajmuję na własny użytek niewielki pokój z telefonem.

Od dwunastego roku życia na skutek choroby neurologicznej jestem inwalidą i poruszam się tylko na wózku. Szkołę podstawową ukończyłem w 1968 roku. Było to możliwe dzięki temu, że Kuratorium Okręgowe przydzieliło mi nauczycieli, którzy przychodzili do mnie przez ostatnie 3 lata nauki. Po otrzymaniu świadectwa ukończenia 8 klasy nie podjąłem dalszej nauki tylko dlatego, że Kuratorium odmówiło mi pomocy w załatwieniu dojazdów na zajęcia lub przyznania nauczycieli. Odmowę umotywowano faktem, że pieniądze zainwestowane w moją naukę nigdy się Polsce nie zwrócą. Nawiasem mówiąc, słowa te wypowiedziane zostały bez ogródek, tak, jak je tu przytoczyłem. Wobec niemożności kontynuowania nauki podjąłem pracę chałupniczą w spółdzielni inwalidzkiej. Była to praca ciężka, czasochłonna i mało płatna. Wkłady do długopisów montowałem przy pomocy całej rodziny, a i tak z trudem „wyrabialiśmy" cały etat. Po upływie 3 lat otrzymałem rentę inwalidzką, która wraz z dodatkiem „na opiekę" obecnie (rok 1980) wynosi 2250 zł.

W 1970 roku wraz z kolegą z bloku zapisałem się do zaocznego liceum ogólnokształcącego. Dzięki jego pomocy i mojemu samozaparciu — udało mi się tę szkołę ukończyć. W roku 1980, mając 26 lat, otrzymałem maturę. Na zajęcia doprowadzał mnie kolega. Najgorzej było zimą, kiedy leżał śnieg. Zdarzało mi się opuszczać zajęcia tylko dlatego, że padał deszcz lub było zbyt ślisko. Mimo wielkiej wdzięczności, jaką czuję w stosunku do mojego kolegi, muszę powiedzieć, że zajęcia opuszczałem też z powodu jego zwykłego, ludzkiego lenistwa. Takie chwile były najcięższe. Niestety, z żadnej innej strony pomocy nie otrzymywałem.

Po złożeniu egzaminu dojrzałości postanowiłem kontynuować naukę. Przystąpiłem do egzaminów wstępnych na wydziale filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Na egzaminy jeździłem taksówką. Kilka razy pomogli mi koledzy, lecz były to sytuacje sporadyczne. Po otrzymaniu pisma zawiadamiającego mnie, że zostałem przyjęty na I rok Studium Zaocznego dla Pracujących, zacząłem myśleć nad sposobem systematycznych dojazdów na uczelnię. W tej chwili (połowa I semestru) załatwiam tę sprawę przez Radio-Taxi. Zamawiam taksówkę pod dom, wsiadam do niej przy pomocy matki, potem korzystając z uprzejmości taksówkarza wysiadam z samochodu pod bramą Uniwersytetu. Tam z reguły jestem już umówiony z którymś z kolegów z grupy akademickiej. Na terenie uczelni korzystam z ich pomocy. Przy ciągłej zmianie sal wykładowych i przy wielkiej ilości schodów i pięter chodzenie na poszczególne wykłady i obowiązkowe ćwiczenia jest bardzo kłopotliwe. Możliwe, że pomoc, jakiej udzielają mi koledzy, będzie wystarczająca, lecz może być też tak, że nie zawsze będę mógł na nią liczyć. Zbliża się okres sesji egzaminacyjnej, kiedy będę zmuszony jeździć na UW kilkanaście razy w miesiącu. Wiąże się to z ogromnymi kosztami. Już dziś, kiedy bywam na uczelni 4 razy w miesiącu, na taksówki wydaję prawie 1/3 mojej miesięcznej renty. Pozostaje jeszcze sprawa korzystania z czytelni akademickich Nie stać mnie (finansowo) na cotygodniową choćby w nich wizytę. Wypożyczać większości książek, niestety, nie można, co ogranicza moje możliwości czerpania — ze źródeł — niezbędnych wiadomości. Poza tym istnieje nie rozwiązany problem lektoratu języka obcego. Zajęcia odbywają się raz w tygodniu o 9 rano, i to w dodatku aż na drugim piętrze (bez windy). Na pomoc kolegów w godzinach rannych nie mogę liczyć. Na zajęcia z języka nie chodzę wobec tego wcale, choć mija już 2 miesiąc nauki. Nie widzę wyjścia z tej sytuacji. Pomimo tych wszystkich trudności i kłopotów nie mam zamiaru ze studiów zrezygnować*. Zdaję sobie sprawę z tego, że jest to moja jedyna szansa na rozpoczęcie aktywnego życia, i to nie tylko społeczne-

* Obecnie, autor kończy studia, jest w trakcie pisania pracy magisterskiej (przyp. red.).

go, ale i towarzyskiego. Wykształcenie da mi możliwość zapoznania się z moimi prawami i środkami ich realizacji. W sytuacji, w jakiej się znajduję, o swoje prawa będę musiał walczyć samodzielnie, nie licząc na żadną pomoc, bo wiem, że pomocy nikt mi nie udzieli. Pragnę być pełnowartościowym i pełnosprawnym członkiem społeczeństwa, pragnę wywalczyć tę pozycję nie tylko dla siebie, lecz i dla innych ludzi będących w takiej samej sytuacji. Jest to ciężkie zadanie, lecz wiem, że rola obrońcy praw ludzi upośledzonych jest teraz bardzo potrzebna, że ci, którzy bronić się sami nie mogą, muszą mieć kogoś, kto w ich imieniu wystąpi twardo i zdecydowanie.

Najsłabsi są zawsze wykorzystywani i ciemiężeni najmocniej. W naszych warunkach są po prostu dyskryminowani. Ludzie zdrowi zbyt jeszcze często wolą usuwać sprzed swoich oczu to, co im się z jakichś powodów nie podoba. Wolą widzieć człowieka upośledzonego zamkniętego w domu opieki, niż zgodzić się na to, aby podjąć z nim współpracę, dać mu jakąkolwiek pomoc w powrocie do normalnego życia. Stąd dość powszechna tendencja do tworzenia różnych zakładów pracy chronionej, szkół specjalnych, internatów, klubów inwalidzkich, domów dla przewlekle chorych i innych tego rodzaju gett. I ja miałem do czynienia z taką postawą. Niedawno, wracając z uczelni, przy pomocy kolegi wsiadłem do taksówki. W czasie drogi poprosiłem taksówkarza, aby przed domem pomógł mi wysiąść. Ten odmówił stwierdziwszy, że tacy jak ja powinni siedzieć w domu, a nie włóczyć się po mieście i przeszkadzać „normalnym" ludziom w pracy, że nie ma zamiaru mi pomagać, bo nie jest to jego żadnym obowiązkiem ani nawet nakazem moralnym. Postawa ta świadczy dobitnie o posuniętym do granic ludzkiego rozumienia wypaczeniu moralności społecznej, a raczej o jej całkowitym braku. Co charakterystyczne, nad przednią szybą taksówki jej właściciel miał misternie zamocowany różaniec. Komentarza nie trzeba, a wniosek stąd płynie jeden: konieczna jest radykalna zmiana postaw społecznych w stosunku do ludzi niepełnosprawnych, a przystąpienie do pracy nad nią jest nakazem chwili. Służyć temu powinna masowa, długofalowa mądra propaganda poparta odpowiednimi zmianami w sytuacji prawnej i administracyjnej ludzi upośledzonych. Sytuacja ta zaś jest bardzo trudna, a nie doinformowane społeczeństwo jest nieświadome potrzeb ludzi niepełnosprawnych.

Postulowałbym utworzenie instytucji, może nawet na stopniu ministerialnym, która zajęłaby się przeprowadzeniem odpowiednich reform. Sądzę też, że jest rzeczą konieczną utworzenie organizacji, która reprezentowałaby samych ludzi niepełnosprawnych. Istnieje już, co prawda, taka organizacja (Polski Związek Emerytów, Rencistów i Inwalidów), lecz jej działalność pozostaje, jak do tej pory, tylko w sferze formalnej. Do dziś — a istnieje już ona wiele lat — nie uczyniła nic, aby chociaż w małym stopniu poprawić tragiczny los ludzi upośledzonych.

Konieczny jest duży nacisk społeczno-administracyjny np. na architektów, na czynniki zatwierdzające plany budowlane i na spółdzielnie mieszkaniowe w sprawie zniesienia barier architektonicznych (schody bez podjazdów, zbyt wąskie drzwi, za małe windy lub ich brak), które w praktyce skutecznie uniemożliwiają ludziom niepełnosprawnym wyjście na ulicę, dojazd na uczelnię, do pracy, szkoły, kina, przychodni lekarskiej czy choćby do przyjaciół. Nie mniej istotne jest rozwiązanie sprawy poruszania się ludzi niepełnosprawnych po mieście (niedostępność do środków komunikacji miejskiej dla ludzi upośledzonych motorycznie).

Sytuacja ludzi niepełnosprawnych w kontekście ich zatrudnienia jest równie ciężka i wymagająca radykalnych zmian. Reforma systemu zatrudnienia inwalidów powinna objąć przede wszystkim etap początkowy, tj. ich szkolenie zawodowe. Szkolnictwo specjalne już istniejące przygotowuje ludzi niepełnosprawnych do wykonywania najprostszych, najbardziej pracochłonnych i najmniej płatnych zawodów. Człowiek upośledzony fizycznie nie może być wysokiej klasy fachowcem w dziedzinie elektroniki czy rzemiosła artystycznego tylko dlatego, że nikt nie chce go w tym kierunku wykształcić, bezpodstawnie sądząc, iż nie podoła on temu zadaniu, nie wywiąże się z obowiązków solidnego pracownika, a przysporzy tylko kłopotów i zbytecznych wydatków. Powstaje w ten sposób błędne koło, w środku którego pozostaje inwalida bez pracy albo produkujący smoczki, pudełka do butów, sprężyny lub, nie przymierzając, prezerwatywy. Zwykłe otwarte zakłady pracy, będąc nastawione na maksymalną produkcję i na wykonanie planu, z wielu przyczyn nie chcą zatrudniać ludzi niepełnosprawnych.

Jedną z najważniejszych przyczyn jest konieczność przystosowania stanowiska pracy do indywidualnych potrzeb takiego pracownika. A to kosztuje. Znam wiele wypadków, kiedy ludzie niepełnosprawni, pomimo solidnego wykształcenia zdobytego dzięki swojej silnej woli, wieloletniej walce i pomocy przyjaciół (ludzie, którzy są teraz historykami, matematykami lub filologami), nie mogą otrzymać odpowiedniej, zgodnej z ich wykształceniem pracy tylko z powodu swojego inwalidztwa. Jest to sytuacja — nie zawaham się użyć tu tego określenia — wymagająca interwencji co najmniej prokuratury.

Kiedy miałem 12 lat, pod wpływem malarskiej twórczości mojego dziadka zacząłem uprawiać grafikę i rysunek. Robiłem to z niezłymi rezultatami przez 6 lat, miałem nawet jedną wystawę swoich prac i brałem udział w konkursie, w którym zająłem pierwsze miejsce. Chciałem spróbować szczęścia w szkole plastycznej, lecz moja prośba o pomoc, skierowana do dyrekcji szkoły, pozostała bez odpowiedzi. Nawiasem mówiąc, prof. Lorentz — znany historyk sztuki, po zapoznaniu się z moimi pracami określił je jako dość obiecujące. Przestałem rysować straciwszy nadzieję, że coś z tego mogłoby w przyszłości wyniknąć.

W wieku lat 18 poznałem człowieka, który stwierdził, że mógłbym spróbować nauki gry na jakimś instrumencie muzycznym. Podchwyciłem tę myśl i zacząłem uczyć się gry na gitarze klasycznej. I na tym polu początkowo odnosiłem sukcesy. Zapisałem się do ogniska muzycznego, gdzie w ciągu roku na własną prośbę przerabiałem materiał dwóch lat. Egzamin zdałem na bdb. Potem mój kolega, z którym chodziłem na zajęcia, zrezygnował z dalszej nauki, tym samym i ja musiałem ją przerwać. Jeszcze przez miesiąc uczyłem się prywatnie w domu, lecz po tym czasie nauczy-

cielka nie pokazała się więcej. W trakcie nauki założyłem i prowadziłem przy mojej parafii zespół młodzieżowy. Egzystował on przez 2 lata. Wobec ciągłych niepowodzeń moja idea poświęcenia się muzyce upadła.
Nie chcę tutaj siebie stawiać za przykład, lecz jest faktem, że upośledzeni obdarzeni są większym poczuciem estetyki i zdolnościami artystycznymi niż przeciętni, zdrowi ludzie. Miałem okazję przekonać się o tym osobiście. Ludzie niewidomi ze wspaniałymi rezultatami uprawiają muzykę, upośledzeni ruchowo i umysłowo świetnie malują. Znam chłopca, który porusza się, tak jak ja, na wózku inwalidzkim. Pisze bardzo dobre wiersze. Jest rzeczą niewybaczalną, że nikt nie zajmuje się pielęgnacją tych, wcale nie częstych, zdolności. Wszyscy moi obdarowani zdolnościami artystycznymi przyjaciele i znajomi piszą, rysują i grają tylko dla siebie. Nikt się nimi nie zainteresował. Mój kolega grający na gitarze i śpiewający własne piosenki (chodzi o kulach) usłyszał kiedyś od dyrektora jednej z placówek kulturalnych, że nikt nie wpuści go na estradę, bo swoim widokiem wypłoszy publiczność. Sytuacja ta nie jest wyjątkiem. I w dziedzinie twórczości artystycznej, i w odbiorze sztuki ludzie niepełnosprawni pozostają w Polsce na marginesie. Słowa, które tu napisałem na temat sztuki, wydają się jednak mało istotne w kontekście problemów bytowych ludzi niepełnosprawnych.
Ich sytuacja mieszkaniowa i finansowa jest nieraz bardzo tragiczna. Znam rodzinę, w której 3 osoby utrzymują się z pół etatu ojca. Ojciec jest inwalidą bez ręki i pracuje jako nocny stróż, ma na utrzymaniu 13-letnią córkę i chorego umysłowo 15-letniego syna. Matka umarła rok temu. Rodzina nie otrzymywała przez cały rok (do tej pory) żadnego zasiłku. I to też nie jest sytuacją wyjątkową.
Bardzo wiele osób upośledzonych fizycznie żyje w osamotnieniu. Wielka ich część nie ma prawie żadnego kontaktu ze światem. Mogą tylko marzyć o tym, aby otrzymać choćby telefon, który umożliwiłby im utrzymywanie jakichś więzi z innymi ludźmi. To okrutne, lecz podania tych ludzi o telefon załatwiane są prawie zawsze odmownie, często też całymi latami leżą w różnych biurach nie załatwiane wcale. A ludzie ci nie są w stanie sami dopilnować swoich spraw i wokół nich chodzić. W razie jakiegoś wypadku lub nagłej choroby skazani są po prostu na śmierć. Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że mam telefon, zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest mi on potrzebny, zwłaszcza że jestem często w domu sam. Wszyscy ludzie upośledzeni powinni mieć w domu telefon, radio, telewizor i prasę przynoszoną do domu. Nie wspominam nawet o tym, że powinni mieć też zapewniony nieodpłatnie środek lokomocji, na swój własny użytek.

Usunięcie barier architektonicznych, dostęp do nauki, pracy, lecznictwa, kultury i rozrywki — to jedyne drogi do wprowadzenia ludzi niepełnosprawnych w życie: w najzwyklejsze, tak przez nich wymarzone, a przez zdrowych nie doceniane, codzienne, pełne pracy i obowiązków życie.

P.A.

TERESA GŁOWACKA

Przede wszystkim człowiek

Każde inwalidztwo wywiera ogromne piętno na życiu człowieka, który został nim dotknięty, i radykalnie zmienia jego sytuację życiową. Od wypadku, w którym straciłem wzrok, dzieli mnie już spory szmat czasu, w ciągu którego zebrałam wiele doświadczeń. Część z nich to doświadczenia czysto osobiste, a więc jednostkowe, są jednak i takie, przez które przeszli wszyscy młodzi niewidomi. Postaram się tu przedstawić problemy osób niewidomych na własnym przykładzie. Nie reprezentuję tu ani Polskiego Związku Niewidomych, ani jakiejś określonej grupy niewidomych. Oczywiście, będę się opierać także na doświadczeniach i opiniach moich koleżanek i kolegów, ponieważ stosunki pomiędzy widzącymi a niewidomymi są częstym tematem naszych rozmów.

Będąc trzyletnim dzieckiem bawiłam się kiedyś pozostawioną na stole żarówką. Biegnąc przewróciłam się tak nieszczęśliwie, że zbiłam żarówkę, która rozpryskując się poraniła mi twarz, a przede wszystkim oczy. Po długim pobycie w szpitalu skierowana zostałam do Zakładu dla Dzieci Niewidomych w Laskach* z orzeczeniem, że prawdopodobnie nigdy nie będę widziała. Jako dziecko nie zdawałam sobie sprawy, że różnię się czymś od innych ludzi. W przedszkolu, a potem w szkole, w której się znalazłam, wszystkie dzieci były w takiej samej sytuacji, a zajęcia i zabawy dostosowane do naszych możliwości. Pamiętam także moje ówczesne wakacyjne zabawy z widzącymi rówieśnikami. Traktowali mnie oni zupełnie naturalnie, a jeżeli coś ich dziwiło, pytali wprost, a ja udzielałam krótkich wyjaśnień. Dzieci są bardziej spontaniczne od dorosłych, nie mają jeszcze zahamowań typu: „wypada", „nie wypada". Łatwo jest więc w nich wykształcić pożądane formy zachowania, także w stosunku do inwalidy. Dlatego wychowanię społeczeństwa i uwrażliwienie na potrzeby innego człowieka powinno zaczynać się jak najwcześniej. Będąc w szkole nie odczuwałam żadnego uzależnienia od osób widzących, które w późniejszych latach sprawiało mi wiele przykrości. Teren zakładu był dobrze znany, wszędzie mogłam sama trafić, a wykonywanie codziennych czynności nie sprawiało mi kłopotów. Metody nauczania i podręczniki dobrze były dostosowane do uczniów pozbawionych wzroku. Świat poznawałam wówczas w sposób, jaki był mi najbardziej dostępny i wygodny. Bez skrępowania „oglądałam" wszystko, co znalazło się w zasięgu moich rąk. Nie przejmowałam się jeszcze tym, że ktoś może mi się przyglądać. Bardzo lubiłam chodzić na spacery z moim przybranym ojcem, który sta-

---

* Zakład ten prowadzony jest przez siostry Franciszkanki Służebnice Krzyża (przyp. red.)

rał się pokazywać mi wszystko, co mogło mnie zainteresować i czego, oczywiście, można było dotknąć. Na przykład w pałacyku łazienkowskim wchodziliśmy razem pod zabytkowy stół, aby zobaczyć, jak oryginalnie zrobione są jego nogi. Kiedyś tata zatrzymał na ulicy wojskowego, aby pokazać mi pełne umundurowanie. Czasem tylko zaczepiały nas jakieś litościwe panie i wciskały „nieszczęśliwemu dziecku" pieniądze albo słodycze. Zdarzało się, że i uczestnicy wycieczek przyjeżdżających do zakładu zachowywali się niewłaściwie, okazując nadmierną litość lub niezdrową ciekawość. My jednak nie czuliśmy się wcale nieszczęśliwi, a nasza sytuacja wydawała się nam zupełnie normalna. Mieliśmy swoje radości i zmartwienia, podobnie jak inne dzieci.

Dopiero w starszych klasach szkoły podstawowej, a szczególnie w pierwszej klasie licealnej, zaczęłam odczuwać swoją „inność". Teraz rozumiałam już zdania wygłaszane na mój temat w środkach komunikacji, w sklepach i na ulicach. Chciałam zwracać na siebie jak najmniej uwagi. Gdy na ulicy niechcący potknęłam się, sztywniałam ze strachu, że wszyscy to zauważyli i patrzą na mnie z politowaniem. Znajdując się w jakimś liczniejszym towarzystwie bałam się ruszyć, żeby przypadkiem czegoś nie potrącić i nie skupić na sobie zainteresowania. Sama już nie wychodziłam na podwórko, a i koledzy przestali mnie odwiedzać, tym bardziej że nasza więź rozluźniła się przez mój długi pobyt w internacie. Zaczęło mnie denerwować to, że nie mogę, tak jak moje koleżanki, pójść sama do kina czy na spacer, ale zawsze muszę chodzić z kimś. Chętnie więc przebywałam w zakładzie, gdzie czułam się przynajmniej swobodnie.

Trzeba tu zaznaczyć, że prawie wszystkie dzieci niewidome wychowują się w internatach, co ma swoje niewątpliwe plusy, ale także i pewne wady. Często bowiem następuje rozluźnienie kontaktów z rodziną i wyobcowanie ze środowiska naturalnego. Z drugiej strony rodzice w większości nie umieją postępować z dziećmi kalekimi i albo je nadmiernie rozpieszczają, albo postępują tak, jakby kalectwo dziecka przynosiło wstyd rodzinie. Starają się więc je ukrywać przed znajomymi i sąsiadami. Natomiast w zakładzie wychowaniem i kształceniem dzieci zajmują się odpowiednio przygotowani wychowawcy i nauczyciele. Powinno się jednak dążyć do maksymalnego skrócenia pobytu dziecka w internacie. Może to być zrealizowane wtedy, gdy zostanie zorganizowana fachowa pomoc dla rodziców posiadających niewidome dzieci. Powinni oni pozostawać w stałym kontakcie z psychologiem i pedagogiem. Dziecko niewidome pozostające w domu miałoby w dzisiejszych warunkach wiele kłopotów z nauką, szczególnie w klasach początkowych, ponieważ nauczyciele pracujący w zwykłych szkołach mało orientują się w zagadnieniach pedagogiki specjalnej. Często nawet nauczyciele szkół średnich i wyższych nie wiedzą, jak postępować z niewidomym dzieckiem. Stosują więc nieraz tzw. taryfę ulgową i stawiają dobre stopnie bez pokrycia, albo przeciwnie — zawyżają wymagania motywując to, na przykład, w następujący sposób: „Od was (niewidomych) należy wymagać więcej. Inne dzieci pomagają rodzicom, chodzą na dyskoteki, korzystają z różnych rozrywek, a wy i tak siedzicie w domu. Możecie cały czas poświęcać na naukę". Tacy nauczyciele także powinni korzystać z pomocy specjalistów, którzy ukierunkowaliby ich pracę.

Wróćmy jednak do chronologii. Po ukończeniu szkoły podstawowej zdecydowałam się na podjęcie nauki w szkole średniej dla widzących. Początki były niezmiernie trudne. Przede wszystkim zaskoczyło mnie to, że tak często korzysta się z tablicy, do czego zupełnie nie byłam przyzwyczajona. Na szczęście trafiłam na mądrego matematyka, który pilnował, aby uczniowie odpowiadający przy tablicy głośno komentowali to, co piszą. Niektóre moje niewidome koleżanki narzekały jednak, że w ich klasie, szczególnie na lekcjach matematyki, mało jest ustnych objaśnień, w konsekwencji gubią się one w rozwiązywaniu zadań i mają coraz większe zaległości.

Od pierwszych dni pobytu w nowej szkole miałam duże kłopoty w nawiązywaniu kontaktów z moimi kolegami. Było w tym sporo mojej winy, gdyż nowe środowisko strasznie mnie onieśmielało i bałam się odezwać, by nie popełnić jakiejś gafy. Koledzy na ogół nie zwracali się do mnie bezpośrednio, ale przez koleżankę, która siedziała ze mną w ławce. Z klasą do końca roku szkolnego nie udało mi się znaleźć wspólnego języka. Uczyłam się dobrze, ale postanowiłam wrócić do szkoły zawodowej w Laskach, gdzie zostały moje najbliższe koleżanki i, tak jak one, kontynuować naukę w liceum wieczorowym. Nie żałuję tego kroku. W liceum dziennym czułam się bardzo osamotniona, a w Laskach znowu znalazłam się wśród ludzi, którzy mnie rozumieli i wobec których ja czułam się pewnie. Po skończeniu zawodówki rozpoczęłam pracę w spółdzielni dziewiarskiej i przygotowywałam się do egzaminów na studia. Zdawałam sobie sprawę, że poziom szkoły wieczorowej jest niższy niż szkoły dziennej i muszę nadrobić braki. Sama praca nie dawała mi większej satysfakcji, ale pozwalała na samodzielne utrzymanie. Zauważyłam, że wielu niewidomych może nawet nadmiernie boi się uzależnienia od osób widzących i stara się minimalnie korzystać z ich pomocy. Oczywiście, są także niewidomi mało zrehabilitowani, czy po prostu leniwi, którzy chcą być obsługiwani.

Egzaminy na studia zdałam bez większych kłopotów. Studiowałam historię, kierunek, który dawno mnie interesował. Okres studencki uważam za najlepszy w moim życiu. Oczywiście, musiałam dużo pracować, aby nie zostać w tyle za innymi, ale udało się to nie najgorzej. Po przykrych doświadczeniach z liceum miło byłam rozczarowana życzliwością moich kolegów. Tym razem ja również wychodziłam z inicjatywą w zawieraniu znajomości. W tym czasie akceptowałam już swoją sytuację i nie czułam się upokorzona moją ułomnością, tak jak to było dawniej. Koledzy pomagali mi w czytaniu obowiązkowej literatury i w przygotowywaniu się do egzaminów. Niestety, studia skończyłam (1979) rok temu i nie mogę odżałować, że trwały tak krótko. Ostatni rok po skończeniu studiów był dla mnie wyjątkowo trudny. Znalazłam się na rozdrożu. Ani się nie uczę, ani nie pracuję. Dowiadywałam się o możliwości pracy przez urząd zatrudnienia, pytałam w redakcjach czasopism brajlowskich i w bibliotece znajdującej się przy Polskim Związku Niewidomych, ale bez skutku. Utrzymuję się głównie

z robienia swetrów na drutach i czasem udaje mi się zamieścić jakiś artykuł. Obecnie zastanawiam się, czy nie skończyć szkoły dla masażystów, po której łatwiej jest o pracę. Ostatecznie mogłabym podjąć pracę w spółdzielni inwalidzkiej, ale przynajmniej na razie nie chcę pogodzić się z tym, że wszyscy niewidomi muszą robić szczotki i kapsle. Jestem zdania, że trzeba walczyć o nowe stanowiska pracy. Należałoby także zmienić przepisy dotyczące przyznawania rent inwalidzkich, by uniknąć przypadków pozostawiania inwalidy bez środków do utrzymania.

Chciałam jeszcze dodać, że choć nie pracuję zawodowo, staram się nie marnować czasu i prowadzę możliwie aktywny tryb życia. Trenuję pływanie, uczę się języków, uczestniczę w kursie maszynopisania i próbuję pisać artykuły publicystyczne. Wspominam o tym dlatego, że poprzednio przedstawiłam swoje życie tylko poprzez pryzmat szkoły. W drugiej części artykułu przedstawię inne, bardziej ogólne, spostrzeżenia dotyczące stosunków pomiędzy widzącymi a niewidzącymi.

*

Ponad siedem lat temu opuściłam Zakład dla Dzieci Niewidomych w Laskach i od tej pory przebywam w tzw. środowisku naturalnym — w środowisku ludzi widzących. Niestety, dla większości z nich problemy związane z codziennym życiem i pracą niewidomego są zupełnie obce. Wywołuje to trudności we wzajemnych kontaktach i często stawia obie strony w kłopotliwych sytuacjach. O ludziach niepełnosprawnych krążą różne, co najmniej dziwne sądy i opinie, nie mające nic wspólnego z rzeczywistością. Na ogół niewidomych traktuje się jako jednolitą grupę, przypisując jej rozmaite cechy na podstawie znajomości jednego przypadku. Prawie zawsze spotykam się z dwoma przeciwnymi poglądami: albo, że wszyscy niewidomi są genialni, albo, że są to ludzie prymitywni. Tymczasem poza tym, że każdy z nas jest inwalidą, jest także, a nawet przede wszystkim, człowiekiem. Oczywiście, że w pewnych sytuacjach możemy reagować podobnie czy nawet identycznie, bo przecież, tak jak inni ludzie, i my różnimy się między sobą. Na ulicy osoby pomagające mi, zwracając się do mnie, często stosują liczbę mnogą, np.: „Wy jesteście tacy zdolni" lub „Wy jesteście tacy nieszczęśliwi". W rzeczywistości każdy niewidomy może reprezentować inny poziom intelektualny, inne zainteresowania i pasje, a często jest człowiekiem aktywnym i nie czuje się wcale nieszczęśliwy.

Mało kto traktuje niewidomych w sposób naturalny Na ogół otacza się ich nadmierną opieką, wyręczając nawet w najprostszych czynnościach, albo przeciwnie — nie dostrzega się niewidomego potrzebującego akurat pomocy lub też uważa się go za kogoś gorszego, kto przynosi wstyd rodzinie. Odnoszę wrażenie, że taki stosunek społeczeństwa do osób niepełnosprawnych wywodzi się z bardzo dawnych czasów, kiedy to ludzi chorych i kalekich uważano za nawiedzonych, proroków i wróżbitów albo za ukaranych przez bogów za własne winy lub winy rodziców. Zresztą główną przyczyną takiego stanu rzeczy jest po prostu brak znajomości naszego środowiska wśród szerokiego ogółu. Należałoby zwrócić się z apelem do środków masowego przekazu, aby więcej miejsca poświęcały problemom inwalidów, którzy stanowią spory odsetek naszego społeczeństwa. Na własnym przykładzie mogłam zaobserwować, jak zmienia się wobec mnie postawa ludzi, z którymi jestem w bliskich kontaktach. Po pewnym czasie trwania naszej znajomości zaczynamy mieć te same prawa, staję się równorzędnym partnerem, którego można się radzić w różnych sprawach, można mu nawymyślać, jeśli zawini, a czasem pochwalić, nie dlatego, że nie widzi, lecz że na to zasłużył. Znajomi wiedzą już, jakie są moje możliwości, a w jakim zakresie potrzebna jest mi pomoc. Przestają traktować mnie jak inwalidę do tego stopnia, że czasami dochodzi do sytuacji wręcz humorystycznych. Kiedyś z moim przyjacielem rozmawialiśmy o znajomym, który z powodu uszkodzenia kręgosłupa ma trudności z chodzeniem. Przyjaciel powiedział: „— Gdybym ja był kaleką, popełniłbym samobójstwo". Oburzyłam się: „— Przecież ja też jestem kaleką, a nieraz zazdrościłeś mi, że prowadzę takie aktywne i ciekawe życie". „— Ty jesteś kaleką?" — zdziwił się. „— Ty jesteś tylko niewidoma, a to żadne kalectwo". W ten sposób może powiedzieć niewiele osób, które rzeczywiście znają niewidomych i niemal na co dzień obracają się w ich środowisku. Na ogół na ulicy słyszę szepty: „...to już najgorsze nieszczęście! Żeby ręki nie mieć, nogi nie mieć... ale nie widzieć..." Niestety, bywa, że tylko na takim „współczuciu" się kończy i przez jezdnię muszę przejść sama.

W społeczeństwie funkcjonuje wypaczony stereotyp człowieka niewidomego, jeśli w ogóle o takim stereotypie można mówić. Powinien więc być to człowiek nieszczęśliwy, brzydki, stary i zniechęcony do całego świata. Taki obraz można zbudować na podstawie opinii, głośno wyrażanych przez przechodniów, w stylu: „Nie widzi, a uśmiecha się, z czego to się tak cieszy..." lub: „... taka młoda i ładna dziewczyna, a niewidoma". W obcowaniu z niewidomymi ludzie powinni uruchomić chociaż trochę wyobraźnię i spróbować wyobrazić sobie, jak sami zachowaliby się w różnych sytuacjach, gdyby nie mieli wzroku. Nie zadawaliby wtedy pytań typu: „...Kto panią karmi? Jak się pani ubiera i myje?" A przecież sami na pewno nieraz wykonywali te czynności przy zgaszonym świetle.

Uważam, że bardzo trafne jest spostrzeżenie stwierdzające, że niewidomy to także taki sam człowiek jak każdy inny, z tym że przez brak wzroku ma utrudniony dostęp do informacji. Rolą widzących, znajdujących się w naszym otoczeniu jest więc dostarczenie tych informacji, z tym, że trzeba to robić we właściwej formie. Podam tu dwa, dość błache, przykłady nieprawidłowego informowania lub w ogóle braku informacji ze strony przewodnika. Znajomy, który był kiedyś ze mną w górach, chcąc opisać mi krajobraz przyrównał go do filmu rysunkowego, zapominając, że ja takiego filmu nigdy nie oglądałam. Inny przykład. Zdarza się, że kiedy idę z kimś ulicą, osoba towarzysząca mi nagle się zatrzymuje. Po kilku minutach stania zniecierpliwiona pytam: „Dlaczego tak długo stoimy?" Koleżanka odpowiada, że ogląda wystawę. Pytam więc znowu: „A co jest na tej wystawie?" Odpowiada: „Właściwie to nic, możemy już iść". Czuję się wtedy co najmniej jak przesuwany mebel, który nie może decydować, gdzie go postawią.

A wystarczyłoby kilka słów objaśnienia i ja również mogłabym zainteresować się tym, co było za szybą w sklepie. Zdenerwowana myślę: „Najgorzej jak ślepy prowadzi niewidomego".

Jestem głęboko przekonana, że ludzie nie ze złej woli postępują niewłaściwie wobec niewidomych, ale z braku podstawowej wiedzy na ich temat. Szczególnie powinny być rozpropagowane broszurki omawiające, w jaki sposób można pomagać niewidomym w poruszaniu się po mieście. Sporo ważnych wskazówek można znaleźć w informatorze Joanny Lewandowskiej. Sama nieraz mam wiele trudności na przystanku, zanim dowiem się, jaki autobus podjechał. Zdarza się, że na pytanie, jaki autobus podjeżdża na przystanek, pada odpowiedź — czerwony, a czasem nie ma wcale odpowiedzi. Aby pozostać w zgodzie z prawdą, przyznaję, że spotyka mnie również wiele życzliwości. Bywa, że na przystanku staje ktoś koło mnie i sam, bez proszenia, mówi numery autobusów czy tramwajów. Zdarza się, że osoba idąca w tę samą stronę co ja podchodzi do mnie i dalej już idziemy razem. Z takich przypadkowych znajomości zawartych na ulicy stworzyło się kilka prawdziwych przyjaźni. W ten sposób poznałam chłopca, który jest już moim narzeczonym**. Zauważyłam, że nie znani ludzie często lubią rozmawiać, a nawet zwierzać się, wynika to stąd, że istnieje znikome prawdopodobieństwo, abym ich kiedyś rozpoznała. Niektórzy czują się jakoś podniesieni na duchu tym, że niewidomy, na którego spadło w ich mniemaniu największe nieszczęście, nie załamuje się, a przez to ich zmartwienia i problemy stają się jakieś mniejsze.

Denerwująca jest natarczywa ciekawość ludzi, którzy pierwszy raz stykają się z niewidomym i od razu wszystko by chcieli o nim wiedzieć. Pierwsze pytanie zazwyczaj brzmi: „... A co to było? Czy to od urodzenia?" Udaję, że nie wiem, o co chodzi. „..No, to nieszczęście, to wypadek czy choroba?" Wyjaśniam: „Wypadek", w nadziei, że to wystarczy, ale gdzie tam! Następują dalsze pytania: „...Jaki wypadek? Czy samochodowy?", itd. Kiedyś wpadłam na pomysł, żeby odpowiadać krótko: „Tak, od urodzenia" myśląc, że to całkowicie zaspokoi ciekawość. Nic z tego! Zaczęły się dociekania: „...A może matka pani brała jakieś pastylki albo ojciec alkoholik?" Kiedyś pewien przechodzień zwrócił się do mnie: „Pani to ma ciężkie życie!" Odpowiedziałam: „Przyzwyczaiłam się, to już tyle lat". „No tak — westchnął — do wszystkiego można się przyzwyczaić, ale zawsze to lepiej tak, jak człowiek..."

Popularny jest pogląd, że jeśli ktoś nie widzi, to ma na pewno inne uszkodzenia, np. nie słyszy, nie mówi. Byłam kiedyś na wycieczce szkolnej dzieci niewidomych w jednym z muzeów regionalnych. Przewodniczka na wstępie opowiedziała historię regionu i potem zwracając się do naszej wychowawczyni poprosiła: „...A teraz niech pani przełoży na ich język to, co ja powiedziałam, żeby oni też coś zrozumieli". Konieczne jest więc pokazanie społeczeństwu prawdziwego obrazu przedstawiającego życie, naukę i pracę ludzi niewidomych. Jest to zadanie, którego jak najszybciej powinna podjąć się prasa, radio i telewizja. Środki masowego przekazu powinny przyczynić się do tego, by ludzie nauczyli się dostrzegać w inwalidzie przede wszystkim człowieka i równorzędnego partnera. Społeczeństwo powinno zrozumieć, że sytuacja inwalidy nie jest gorsza, ale trudniejsza i dlatego wymaga pomocy w pewnym zakresie.

** Obecnie mężem Autorki i mają dziecko (przyp. red.)

JANINA OCHOJSKA

Próba człowieczeństwa

Bo cóż by to było za życie, zawisłe wyłącznie od tego, że można stać na obu nogach.

V. Frankl:
Psychoterapia dla każdego

Choroba, i to taka, której nie sposób ukryć albo zapomnieć, choroba, która jest źródłem cierpienia fizycznego i duchowego, może również wpływać na osobowość człowieka. Może upodlić go i zniszczyć, jeśli przeklina on swój los i z zawiścią spogląda na tych, których ona ominęła, może pogrążyć go w rozpaczy i upokorzeniu, jeśli nie pogodził się z nią i żyje jedynie pragnieniem wyzdrowienia, wiążąc nierozerwalnie swoją przyszłość ze zdrowiem, ale może też ukazać człowiekowi twórczy sens cierpienia i być źródłem pozytywnych postaw wobec życia i społeczeństwa.

M. Schlick pisał: „Raczej cierpieniu niż radości przysługuje moc poruszania psychiki aż do jej warstw najgłębszych"[1]. Cierpienie może spotęgować wrażliwość człowieka, dać mu szansę nowego spojrzenia na świat, na ludzką aktywność i jej wartościowanie. W Hansie Castorpie, bohaterze „Czarodziejskiej góry" T. Manna, typowym mieszczaninie o ciasnych poglądach i celach, dokonuje się wewnętrzna przemiana pod wpływem choroby i cierpienia. Zmuszony stanem zdrowia, wyjeżdża do sanatorium i tam, „na górze", w odosobnieniu, oddalony od ruchliwego, pełnego trosk doczesnych i nastawionego wyłącznie na „zewnętrzność" życia „na nizinach", szuka głębszego celu istnienia, zastanawia się nad jego istotą i sensem.

1 M. Schlick: „Zagadnienia etyki", Warszawa 1960

Sięga do naukowych opracowań z zakresu biologii, anatomii i astronomii. Zauważa piękno otaczającego go świata, staje się wrażliwy na przyrodę. Rozmyślając o zaszłej w nim przemianie, mówi o „uduchowieniu wywołanym przez chorobę".

„Bolesny stan skłania znacznie silniej do zmiany niż stan przyjemny"[2]. Ow bolesny stan staje się źródłem mocy, dzięki której człowiek „na przekór" nieprzekraczalnym zdawałoby się granicom, jakie zakreśla mu choroba i cierpienie, szuka ze zdwojonym wysiłkiem swojego miejsca w życiu. Pragnienie osiągnięcia czegoś w życiu, wyjścia poza ograniczenia narzucone przez chorobę, znalezienia swojej pozycji w społeczeństwie wyzwala niejednokrotnie w człowieku energię, dzięki której zdobywa się on na postawę heroiczną. Cierpienie staje się „próbą człowieczeństwa człowieka, próbą jego wewnętrznej prawdy"[3].

Człowiek cierpiący nie jest sam, żyje wśród ludzi i chce odnaleźć wśród nich właściwe miejsce dla siebie, oczekując zarazem akceptacji. Postawa otoczenia jest więc bardzo ważna. Człowiek chory wykazuje wielką wrażliwość i natychmiast wyczuwa pozorne współczucie i pożałowanie. On oczekuje czegoś więcej. To „coś więcej" trafnie określa M. Scheler, gdy charakteryzuje postawy pielęgniarki chrześcijańskiej. Ten wzór postawy jednostki można przenieść na społeczeństwo. Otóż pielęgniarkę ma cechować „siła, wesołość, rzeskość i zadowolenie przy sprawianiu dobra (...), bynajmniej zaś nie sentymentalne uczestnictwo w stanie chorego", gdyż „»współczucie« tego rodzaju rodzi gesty obliczone na wywołanie współczucia drugiej strony, tak iż ci, co cierpią, i ci, co im współczują, potęgują wzajem swoje nieszczere cierpienie"[4]. Człowiek cierpiący, który czuje się kochany, szanowany i akceptowany, uzyskuje poczucie bezpieczeństwa, a ono z kolei jest warunkiem samoakceptacji i pozytywnej postawy wobec własnego cierpienia. Są to podstawowe zasady bytowania człowieka chorego w społeczeństwie. Bez tej wzajemnej relacji człowiek chory albo sam spycha siebie poza granice człowieczeństwa, albo odsunięty przez otoczenie staje się miarą zdeprawowania społeczeństwa. „Jakość społeczeństwa i cywilizacji mierzy się szacunkiem, jaki okazują one najsłabszym ze swoich członków"[5].

Zdanie to pochodzi z Dokumentu Stolicy Apostolskiej, do którego wrócę jeszcze w zakończeniu, gdy krótko przedstawię sytuację i problemy inwalidów w Polsce. Ponieważ sprawy te — z różnych powodów — nie są w ogóle znane naszemu społeczeństwu, dobrze się stało, że miesięcznik „Jednota" podjął się mówienia o problemach ludzi niepełnosprawnych. Ja zaś, sama zaliczając się do tej grupy, chcę napisać o tym, jak w moim przypadku przebiegał proces samoakceptacji oraz integracji ze społeczeństwem, jaką rolę w tym procesie odgrywały sanatoria, w których się wychowałam, a także ludzie, z którymi stykałam się i których dobroci i ofiarności wiele zawdzięczam.

Na wstępie chcę zaznaczyć, że to, o czym dalej piszę, dotyczy jedynie mojego przypadku. Takie zastrzeżenie jest konieczne, gdyż czytelnik mógłby wyrobić sobie fałszywy obraz powszechnie stworzonych możliwości i ułatwień dla osób niepełnosprawnych. Pragnę podkreślić, że swoje osiągnięcia zawdzięczam jedynie ludziom dobrej woli, których spotkałam na swej drodze, a nie instytucjom, które miałyby mi pomóc przez stworzenie odpowiednich warunków i ułatwień. Takiej pomocy w Polsce nie ma. Na przykład: przez cały okres studiów nie spotkałam się ze strony społeczeństwa z żadną pomocą w formie ustawowo zorganizowanej. To, że mogłam studia ukończyć, mimo uciążliwych dojazdów i dużej liczby zajęć, zawdzięczam jedynie dobrej woli i zrozumieniu wykładowców oraz pomocy przyjaciół, z którymi zetknęłam się w Duszpasterstwie Akademickim. Także w sanatoriach, w jakich się wychowałam, właściwą atmosferę tworzyli ludzie, dla których my, chorzy, nie byliśmy tylko „obowiązkiem lekarskim". Takich sanatoriów mieliśmy bardzo mało, a i w nich zmieniło się na gorsze z chwilą odejścia osób, które je stworzyły. Jeżeli wspominam tutaj o tych wyjątkach, to po to, aby podziękować tym wszystkim ludziom dobrej woli i złożyć im hołd, a także po to, żeby na tych pozytywnych przykładach pokazać, jak mogłaby i jak powinna wyglądać powszechna praktyka.

W dzieciństwie przebyłam chorobę Heinego-Mediny. Pozostałością po niej są niedowłady obu nóg i skrzywienie kręgosłupa; poruszać się mogę tylko przy pomocy kul. Choroba i związane z nią problemy były zawsze obecne w moim życiu, nadawały mu kierunek, decydowały o wyborze drogi, stwarzały trudności, których pokonanie wymagało ogromnego wysiłku a niekiedy napawało poczuciem bezradności.

Po skończeniu studiów na Wydziale Astronomii podjęłam pracę naukową, dzięki której znalazłam swoje miejsce w życiu. Mam wielu przyjaciół, wśród których czuję się potrzebna i lubiana. Dzięki ich pomocy stały się możliwe wyjazdy w góry, które bardzo polubiłam, widząc w nich symbol zwycięskiej potęgi. One dawały mi sposobność osiągania małych zwycięstw nad sobą. W miarę moich możliwości prowadzę pełne i samodzielne życie.

To, co m.in. pomogło mi przekroczyć granice, jakie stawiała moja choroba, i co ułatwiło mi pełną jej akceptację, ma swoje źródła w wychowaniu i wpływie ludzi, wśród których wzrastałam. To oni wzbudzili we mnie wewnętrzną odwagę do pokonywania lęku przed samą sobą i zadaniami, jakie postawiła przede mną choroba. Dzieciństwo i okres dorastania spędziłam głównie w sanatoriach i szpitalach z krótkimi, a w miarę poprawy zdrowia coraz dłuższymi, pobytami w domu. Z leczeniem i rehabilitacją wiązało się, niestety, oddalenie od domu rodzinnego. To przykra konieczność, ale w dalszej perspektywie dobra. Zresztą moja więź z rodzicami, pomimo tego bezspornego oddalenia, była żywa dzięki ich odwiedzinom, korespondencji i paczkom.

Oczywiście różnie można zapatrywać się na ten problem. Można rozważać konsekwencje braku domu rodzinnego, skutki wieloletniego oddalenia od niego, osamotnienie dziecka sanatoryjnego podobne do osa-

---

[2] Tamże
[3] J. Tischner: „Myślenie według wartości", Kraków 1982
[4] M. Scheler: „Resentyment i moralność", Warszawa 1977
[5] Dokument Stolicy Apostolskiej na Międzynarodowy Rok Osób Upośledzonych, w: „L'Osservatore Romano" 1981, nr 3, wyd. polskie

motnienia w domu sierot. Z drugiej jednak strony wychowywanie chorego dziecka wyłącznie w domu nieuchronnie prowadzi do nadmiernego chronienia go przed trudnościami, wyręczania w czynnościach dnia codziennego, osłaniania przed rówieśnikami.

Dobrą stroną życia w sanatorium było między innymi to, że wzrastałam wśród rówieśników mających te same problemy. Kalectwo było tu czymś normalnym, powszednim. Nie odczuwaliśmy naszej inności ani nie doznawaliśmy odrzucenia z powodu niej. Ten komfort psychiczny powodował, że nie wyrastaliśmy wśród kompleksów, a całą dziecięcą energię mogliśmy skierować na zabawy. Byliśmy przede wszystkim dziećmi, pragnęliśmy bawić się piłką, huśtać na huśtawkach, grać w podchody, biegać, jak kto umiał, po parku. Dyrektorem sanatorium w J., gdzie przebywałam do 12 roku życia, był wtedy człowiek, który doskonale rozumiał nasze potrzeby i razem z personelem starał się stworzyć nam jak najlepsze warunki do ich zaspokojenia. Ogromny, piękny park był terenem wspaniałych zabaw, które przy okazji spełniały funkcję ćwiczeń mających usprawnić nasze poruszanie się w ciężkich aparatach, gorsetach, o kulach. Wykorzystując przyrodzoną dzieciom ruchliwość i bardzo silnie odczuwaną potrzebę ruchu, personel stosował odpowiednie metody rehabilitacji i właściwy sprzęt. O wiele łatwiej uczyć się chodzić w ciężkich aparatach i barierkach, znacznie lżej znosić monotonne i żmudne ćwiczenia, jeżeli połączone to jest z zabawą. Wielką frajdą był dla nas basen. Mając 6 lat umiałam już pływać, w wodzie bowiem łatwiej jest poruszać niesprawną kończyną.

W przewidywaniu naszych przyszłych trudności uczono nas samodzielnego mycia się, ubierania, ścielenia łóżek. Sami utrzymywaliśmy czystość w szafkach, w sali, pełniliśmy dyżury w stołówce i świetlicy. Sanatorium było naszym domem, za który czuliśmy się odpowiedzialni. Współżycie w grupie uczyło dostosowania się do ogółu, dyscypliny i wyzbywania się egoizmu. Sala solidarnie dzieliła się paczkami, pomagała sobie wzajemnie. Kto zjadał słodycze pod kołdrą, kto żądał tylko dla siebie pomocy, skazany był na bojkot. Czasami było to może okrutne (dzieci potrafią być bezwzględne), ale w intencjach tego okrucieństwa nie leżała tylko chęć dokuczenia, lecz dziwacznie pojmowana chęć pomocy.

Opiszę jedną z takich historii, która zrozumiała i zaakceptowana może być tylko w społeczności sanatoryjnej. Pamiętam chłopca, który przyjechał po raz pierwszy do sanatorium mając już kilkanaście lat. Poprzednio przebywał w domu, gdzie przyzwyczajono go do obskakiwania i usługiwania. Tego samego oczekiwał od kolegów w sanatorium. Był bardzo mocno poszkodowany, nie potrafił schylać się z powodu sztywnego kręgosłupa. Koledzy długo pomagali mu zakładać buty, aż w końcu zniecierpliwieni jego rozkazującym tonem udowodnili mu, że sam potrafi sięgnąć do stóp. Między palce nóg wsadzili mu gazety i podpalili, a on, wprawdzie z wielkim wysiłkiem, sam wyjął te gazety. Od tego czasu zawziął się i starał się radzić sobie sam. Dziś kończy studia, porusza się własnym samochodem, jest samodzielny.

Jednym z najtrudniejszych i przełomowych momentów w życiu inwalidy jest przejście z warunków sanatoryjno-szkolnych do życia wśród zdrowych i do życia zawodowego. Przebywając na krótkich urlopach w domu, chodziłam do „normalnej" szkoły. O wzajemnym stosunku między mną a klasą zadecydował m.in. fakt, że byłam dobrą uczennicą, co wynikało po trosze z tego, że z konieczności poświęcałam nauce więcej czasu. W klasie miałam ustaloną opinię osoby, od której można „zwalić". Ponadto czułam, że górują nad rówieśnikami doświadczeniem, większą samodzielnością, możnością decydowania o sobie, znajomością różnych ludzi i otrzaskaniem „w świecie". Nie utrzymywałam z nimi kontaktu poza szkołą i zapewne to również było źródłem mojego wyobcowania, choć nie poczucia niższości.

Pobyt w sanatorium w S., gdzie chodziłam do liceum, przypadł na okres dojrzewania. Pojawiły się wtedy zupełnie inne problemy. Bardziej uświadamiałam sobie swoje kalectwo, a wraz z tą świadomością przyszedł bunt i pytanie „dlaczego?", obawy i poczucie bezradności. Z pomocą pośpieszyli mi tamtejsi wychowawcy, nauczyciele i lekarze. Rolę, jaką odegrali oni w moim życiu, dostrzegam dopiero dzisiaj z perspektywy czasu. Wtedy nie rozumiałam ich słów, napomnień i postępowania, które wydawały się godzić we mnie i czynić mi na złość. A jednak w przedziwny sposób przeniknęły one we mnie i pozostały, wydając owoc. W sanatorium tym panowała szczególna, podtrzymująca atmosfera, jaką stwarzano wokół chorego. Była ona wynikiem dobrych tradycji lekarskich i pedagogicznych, łączących leczenie i rehabilitację z wychowaniem, dzięki któremu wspólnie dojrzewaliśmy i dorastali do najbardziej istotnych zagadnień życia, przed jakimi mieliśmy stanąć w przyszłości. Przygotowywano nas do zetknięcia się ze zdrowymi przez działania przywracające nam wiarę w siebie i budzące poczucie własnej mocy i odwagi, tak abyśmy umieli przyjąć odpowiedzialność za swój los i wykorzystać to, co zostało nam dane. Z własnych poszukiwań i odkryć pamiętam słowa Norwida, że „nieszczęście znika w momencie, kiedy człowiek zaczyna się przypatrywać, jak je dla siebie wykorzystać".

Wychodząc z sanatorium „na świat", miałam poczucie własnej mocy i wartości. Nauczyłam się samodzielności, ale i umiejętności brania, tak bardzo ważnej w sytuacji inwalidy, który musi korzystać z fizycznej pomocy innych. Nauczyłam się, że — owszem — należy liczyć się z ograniczeniami, ale nie należy ich absolutyzować. Akceptacja własnego kalectwa była we mnie na tyle dojrzała, że zdecydowałam się podjąć studia i nie bałam się spotkania z nowym środowiskiem. Cały czas utrzymywałam kontakt z sanatorium w S., pisałam o zdanych egzaminach, o pierwszych wakacjach w górach, o znalezieniu przyjaciół, skończeniu studiów, o pracy, mieszkaniu. Wszystko to zawsze cieszyło i interesowało naszego Dyrektora, który jest wielkim Lekarzem i moim sprawdzonym Przyjacielem.

Jak już wcześniej wspomniałam, było to jedno z nielicznych sanatoriów o takim nastawieniu do chorego. Nie mówiono nam, że społeczeństwo czeka na nas z otwartymi ramionami, że przyjmie nas oferując pomoc. Nie oszukiwano nas. Jakże często spotykałam

inwalidów, którzy wychodzili z zakładu z takim właśnie nastawieniem, a potem otrzymywali mieszkanie na czwartym piętrze bez windy, nie znajdowali pracy albo nie dostawali się na studia, ponieważ uczelnia nie miała warunków do stworzenia im specjalnych udogodnień. W zetknięciu ze społeczeństwem zdrowym okazywali się niepotrzebni, a nawet zawadzali. I pomyśleć, ilu z nich, zdolnych, zostało skazanych na ogłupiającą pracę w spółdzielni inwalidzkiej, a czasami na egzystowanie wśród starców w domach opieki społecznej... Czytelnik uświadomi sobie, jak niezwykła — na tle losów innych inwalidów — była moja droga, kiedy dowie się, że tylko 1,6% inwalidów posiada wykształcenie wyższe, a naukowo pracuje 0,2%[6]! A przecież właśnie wykształcenie stwarza inwalidzie największe szanse pełnego uczestnictwa i przydatności w społeczeństwie. Tymczasem żadna uczelnia w Polsce (oprócz eksperymentu zastosowanego na uczelni wrocławskiej) nie posiada odpowiednich warunków socjalnych, dostosowanych do potrzeb studentów niepełnosprawnych. Specjalnych szkół ogólnokształcących jest w Polsce trzy! W kształceniu inwalidów przeważa u nas profil zawodowy, a mimo to spośród dwóch milionów inwalidów aż 77% nie posiada wykształcenia ponadpodstawowego, dającego jakiekolwiek kwalifikacje zawodowe. W takiej sytuacji tylko dzięki niezwykłemu hartowi ducha i dzięki ofiarnym ludziom inwalida może skończyć studia lub uzyskać taki zawód, w wykonywaniu którego nie będzie przeszkadzało mu schorzenie.

Ostatnio otrzymałam prawo jazdy. Instruktor, z którym zetknęłam się na kursie, był zdziwiony a nawet zaszokowany tym, że inwalidka (tzn. ja) skończyła studia i pracuje naukowo. Patrzył na mnie z niedowierzaniem, pewnie dziwił go mój uśmiech, śmiałość, moja... normalność. Nie jest on wyjątkiem. Wśród większości społeczeństwa pokutuje jeszcze przekonanie o niższej wartości inwalidy, stereotypowe wyobrażanie go sobie jako istoty nieszczęśliwej, koniecznie upośledzonej na umyśle, a co najmniej głupiutkiej, niezdatnej do normalnego życia, potrzebującej tylko litościwej pomocy. Przyczyną tego stanu rzeczy jest zmowa milczenia otaczająca inwalide, a zatem i nieznajomość jego problemów; to z kolei powoduje społeczne odtrącenie.

Obecną sytuację ludzi niepełnosprawnych w Polsce określić można jako stan izolacji, osamotnienia oraz dyskryminacji społecznej i zawodowej. Dla zanalizowania tej sytuacji posłużę się tekstem wspomnianego już Dokumentu Stolicy Apostolskiej, zawierającego zasady postępowania wobec osób niepełnosprawnych. Zasady te powinny spełnić rolę wskazań, w jakim duchu i kierunku należy tutaj działać.

Już sama definicja osoby upośledzonej, zawarta w tym dokumencie, wyraża głęboki dla niej szacunek i wskazuje na pełnie jej człowieczeństwa: „Osoba upośledzona (...) jest w pełni ludzkim podmiotem, z odpowiadającymi temu przyrodzonymi, świętymi i nienaruszalnymi prawami (...), posiada własną, jedyną godność i własną autonomiczną wartość (...) niezależnie od jej stanu fizycznego". Obowiązujące natomiast u nas definicje prawne inwalidy określają go poprzez jego przydatność do pracy. Jest to wyraz takich dominujących u nas wartości, jak produktywność i ekonomiczność. Patrzenie na inwalidę pod tym kątem zuboża go jako osobę ludzką i w rezultacie prowadzi do bardzo niskiego poziomu wykształcenia oraz zatrudnienia niezgodnego z kwalifikacjami i stanem zdrowia. Inwalida przedstawia wartość o tyle, o ile da się go wyzyskać. Większość inwalidów pracuje w spółdzielniach inwalidzkich w pracy na akord! Jest to najbardziej uciążliwa i niehumanitarna forma pracy nawet dla ludzi zdrowych, a co dopiero dla inwalidów.

Próbą przeciwstawienia się tej sytuacji jest dalsza część Dokumentu: „Społeczeństwo technokratycznie doskonałe, do którego dopuszczeni byliby wyłącznie członkowie pełnosprawni, a w którym ci, którzy nie odpowiadają temu modelowi (...), byliby odepchnięci (...), wyeliminowani, uważać by należało za społeczeństwo całkowicie niegodne człowieka, nawet gdyby okazywało się ekonomicznie korzystne". I dalej: „Uznając i popierając jej (tzn. osoby niepełnosprawnej — przyp. J. O.) godność i prawa, uznajemy i pogłębiamy naszą godność i prawa nas samych". Myślę, że słowa te nie wymagają komentarza.

Kolejną zasadą omawianą w Dokumencie jest zasada integracji społecznej, która „przeciwstawia się tendencji do izolowania, segregacji i spychania na margines osoby upośledzonej". Przytoczę tu tylko jeden przykład, który w wystarczający sposób określa dążenie do integracji społecznej w Polsce: osoba mająca jakiekolwiek widoczne defekty fizyczne nie może uczyć w szkole. Odsuwa się więc ludzi niepełnosprawnych od zawodu nauczyciela ze względów estetycznych! Czegóż więc żądać od dzieci z ciekawością oglądających się za inwalidami lub wyszydzających ich kalectwo, jeżeli sprzed oczu społeczeństwa usuwa się nieestetyczne i ułomne ciała?

Z zasady integracji wynika kolejna zasada, mówiąca o realizacji programów rehabilitacji przy pomocy wszystkich dostępnych środków i o stworzeniu inwalidzie warunków życia i działania zbliżonych do normalnych. W społeczeństwie polskim dominuje negatywna postawa wobec osób niepełnosprawnych, niezrozumienie ich potrzeb, przeświadczenie o niższej wartości, przemilczanie ich obecności. Ciągle jeszcze pokutuje pewien obyczajowy przesąd: lęk przed spotkaniem z chorymi. Sytuację tę pogłębia dodatkowo obecna sytuacja ekonomiczna, która daje szanse przeżycia tylko jednostkom silnym, oraz fakt istnienia barier architektonicznych. Zarobki inwalidów oraz renty są bardzo niskie (wysokość przeciętnej renty inwalidzkiej wynosiła 35,3% przeciętnej płacy w zakładzie uspołecznionym — dane za rok 1976). Dyskryminację wprowadzono również w kolejkach. Inwalida ma prawo nabywać poza kolejnością jedynie określone artykuły spożywcze. Inwalidów podzielono również na tych mniej i bardziej uprzywilejowanych (inwalidzi wojenni).

Bariery architektoniczne to do dzisiaj nie uwzględniany aspekt sytuacji społecznej inwalidów. W uchwale sejmowej czytamy: „Przy projektowaniu budownictwa mieszkaniowego, jak również budownictwa użytecz-

---

[6] Wszelkie liczby i dane wzięłam z artykułu W. Chudego, jaki ukazał się w „Znaku" 1981, nr 326. Autor oparł się na ekspertyzie Komitetu Rehabilitacji i Readaptacji Człowieka PAN: „Sytuacja ludzi niepełnosprawnych i stan rehabilitacji w PRL", wyd. 1978, 800 egz., nadruk „Do użytku wewnętrznego". Do źródła tego nie udało mi się dotrzeć.

ności publicznej powinny być brane pod uwagę potrzeby inwalidów i osób niepełnosprawnych"[7], a zamiast tego mamy budynki bez podjazdów, ze zbyt wąskimi dla wózków inwalidzkich windami i drzwiami, podziemne przejścia (schody) i wysokie krawężniki. Nadal inwalida na wózku nie ma dostępu do kina, teatru, muzeum, chyba że ktoś się zlituje i wniesie go na rękach. Opiszę tu taką „śmieszną" historyjkę. Swego czasu na międzynarodową konferencję poświęconą sprawom niepełnosprawnych zaproszono kilku inwalidów i zakwaterowano ich w Domu Chłopa. Długo konferowano nad sposobami pomocy inwalidom. Na zakończenie konferencji jeden z nich zabrał głos i powiedział, że przez trzy dni on i jego koledzy nie mogli się nawet umyć, bo ich wózki nie mieściły się w drzwiach łazienki.
Również sytuacja prawna inwalidy w Polsce jest nie określona. Oprócz ogólnych przepisów i uchwał, będących raczej zbiorem pobożnych życzeń, nie ma konkretnych dekretów i rozporządzeń określających prawa inwalidów. Nie ma też żadnej instytucji, która by rzeczywiście reprezentowała interesy tej grupy. Oczywiście nie liczę Towarzystwa Walki z Kalectwem, które jest tylko instytucją fasadową, a jego nazwa kojarzy mi się raczej ze zwalczaniem inwalidów.
Na zakończenie przytoczę jeszcze jeden postulat Dokumentu. „Obchody Międzynarodowego Roku Osób Upośledzonych stwarzają sprzyjającą okazję do dokładniejszego i całościowego przemyślenia sytuacji, problemów i potrzeb milionów istnień, które wchodzą w skład ludzkiej rodziny". Wiosną 1983 roku odbyło się spotkanie zorganizowane przez Polskie Towarzystwo Pedagogiczne i poświęcone ocenie pracy Towarzystwa Walki z Kalectwem w Międzynarodowym Roku Osób Niepełnosprawnych. Prof. A. Hulek mówiąc o osiągnięciach Towarzystwa oświadczył, że z okazji tego Roku odbyło ono szereg zebrań...

---

[7] Uchwała Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej z dn. 16 IX 1982 w sprawie inwalidów i osób niepełnosprawnych.

Czy starczy mi sił, aby przetrwać ?

Hb 6:11

Zachorowałam na początku tych lat, kiedy Bóg i Kościół stawały się przeżytkiem, anachronizmem, który wcześniej czy później powinien odejść w zmierzch i zapomnienie. Takie przekonanie, jak wiadomo, rosło szybko i gwałtownie w świadomości społecznej. Wydawało się, że człowiek osiągnął szczyt możliwości realizowania swoich tęsknot, że całkowite szczęście jednostki i ludzkości jest jedynie kwestią czasu i odpowiedniej taktyki postępowania. To wszystko, co się wokół nas działo, przypominało lawinę, formowaną przez wieki, która ruszyła teraz i osuwała się zgodnie ze swoim prawem.

W poprzek tej lawiny, niby miniaturowe drewienko, krucha zapałka, znalazłam się ja ze swoim całkowitym fizycznym unieruchomieniem przez ciężką chorobę. Lawina szła, ukierunkowana horyzontalnie, nie zauważając owej zapałki. Tymczasem ja — jakkolwiek dostrzegałam wszechstronnie pozytywne, bo sprawiedliwe, jej działanie — w sposób subiektywno-egoistyczny czułam, że mnie, dziecko niezwykle żywe, ruchliwe i zauroczone pięknem świata, obchodzi przede wszystkim to, jakie jest moje miejsce w tej nowej rzeczywistości nastawionej bardzo praktycznie na burzenie wszystkiego, co stare, i budowanie na całkiem nowych fundamentach.

Z którejkolwiek strony się patrzyło — czy od zewnątrz, czy od wewnątrz mojej sytuacji, nie dało się ukryć — również w mojej gorączkowo rozedrganej świadomości — że w tej rzeczywistości nie ma miejsca dla mojego istnienia. Wyglądało na to, że powstał jakiś wybryk natury, tak jak na zdrowym drzewie wyrastają niekiedy dziwne pasożytnicze narośle. Nie tylko, że nigdy nie widziałam, ale nawet nie słyszałam, aby jakiekolwiek stworzenie ludzkie istniało w takiej jak ja postaci — kadłub bez możliwości poruszania nogami i rękami. Opornie powracająca władza w jednej dłoni i możliwość siedzenia, gdy mnie ktoś posadził i mocno o coś oparł, nie mogły zrekompensować mojego nienasyconego głodu ciągłego ruchu i poznawania wszystkiego wokół — szybko, najszybciej. Przedtem jednak musiałam przezwyciężyć kryzys zagrażający życiu. Wtedy to ogarniała mnie groza na myśl, że jeśli umrę, otoczy mnie bezkresna przestrzeń bez śladu tych moich bliskich, którzy, nim zmarli, byli dla mnie z całej rodziny najlepsi. Co gorsza, może nie będzie tam w ogóle śladu jakiegokolwiek człowieka, a ja pozostanę samotna, bez nadziei na jakąkolwiek zmianę sytuacji. Tuż przed zachorowaniem perspektywa dalszego życia napełniała mnie z pewnych powodów głęboką odrazą i lękiem, obecnie zaś przyczyny tej odrazy zbladły. Nie tyle może pragnęłam za wszelką cenę żyć, ile napełniało przerażeniem to wszystko, co mogło mnie spotkać po tamtej stronie życia. A przecież, wychowana w przeciętnej religijności (a może jednak poniżej przeciętnej?), powinnam żywić przekonanie, że po śmierci wszyscy mają się ponownie spotkać. Tymczasem wprost namacalnie widziałam siebie w tej pośmiertnej szaroseledynowej próżni, zawieszoną na zawsze.

Bez względu na to, co miało się ze mną stać, nie opuszczało mnie ani na chwilę straszliwe napięcie, przerażenie i — pewnie wynikające z tego — ogromne zapotrzebowanie na modlitwę. Modliłam się sama, błagałam o modlitwę niektóre mniej bezosobowe osoby wśród personelu, a przede wszystkim osoby z zewnątrz opiekujące się ciężej chorymi. Moi rodzice również czuwali przy mnie na zmianę, ale ich nie miałam odwagi o to prosić. Gdy więc nie było przy mnie żadnego z nich, wciąż zaczepiałam wzbudzające

moje zaufanie osoby, prosząc je i prosząc o modlitwę. W myślach „widziałam" taką gorącą, błagalną, strzelistą modlitwę. Wydawało mi się, więcej — byłam głęboko przekonana, że gdyby te osoby wzięły moje słowa serio i modliły się z całej duszy, z całych sił, to, w co zostałam tak tragicznie wplątana, wyjaśniłoby się i zostałabym wyzwolona. Modlitwa rozstrzygnęłaby o czymś, pomogła przeniknąć coś, przez co nie mogłam się przebić.

Ludzie nie reagowali na moje prośby. Może dlatego, że zbyt byli zaaferowani swoimi trudnymi sprawami, a może i dlatego, że istniejące spustoszenie, wywołane przez dopiero co skończoną wojnę, spowodowało otępienie i brak wiary w jakąkolwiek ingerencję Boga... Waliło się na mnie coś strasznego, unicestwiającego mnie i tylko ja musiałam to udźwignąć, sprostać temu. I byłam w tym zupełnie sama.

Ponieważ ciężar cierpienia, który spadł na mnie, wciąż i wciąż przerastał moje wyobrażenie o możliwości egzystencji z takimi ograniczeniami fizycznymi, wykluczyłam wiarę w Boga, który dopuszcza na człowieka taki, nieludzki przecież, ciężar.

Mama, chcąc pobyć przy mnie w szpitalu, musiała przechodzić piechotą wiele kilometrów. Ojciec pokonywał je na rowerze. Gdy okazałam zdziwienie widząc kiedyś w jej rękach różaniec, odpowiedziała, że idąc do mnie odmawia go, aby się to nieszczęście odwróciło. Chociaż dopiero co prosiłam innych o modlitwy, rosła we mnie już inna świadomość i inna wiedza, nie zdradzana przed nikim. Przyjęłam więc z politowaniem słowa Mamy, choć również i z pewną ulgą, że Mama, nie wiedząc tego, co ja wiem, mniej cierpi. Jeśli Mama sądzi, że w tej sytuacji można się jeszcze czegokolwiek uchwycić, no to niech się tym wspiera. Jeśli naiwnie wierzy (a naiwność obok nieśmiałości była zasadniczą cechą mojej Mamy) w skuteczność modlitwy, a przede wszystkim w to, że jest się do kogo odwołać — to lepiej dla niej.

Niezależnie od tego wszystkiego, domagałam się księdza, aby się wyspowiadać i przyjąć Komunię...

W czasie spowiedzi wymusiłam na księdzu przyrzeczenie, że nie umrę. Wiedziałam, że ksiądz zrobił to dla zrozpaczonego dziecka, aby je pocieszyć; a jednak po jego odejściu uspokoiłam się trochę, choć pozostałam ze świadomością, że jeśli nawet nie umrę, to straszny wyrok nie został cofnięty.

A potem — przez tygodnie, miesiące i lata — kotłowały się we mnie sprzeczne, wykluczające się wzajemnie i nakładające się na siebie myśli i doznania. Były momenty, przebłyski, wytyczające jak gdyby drogę życia; przebijały się do świadomości gdzieś słyszane (w tym czy poprzednim wcieleniu?), a może przeze mnie wymyślone słowa o ofierze z życia. Ale w moim przypadku ofiara ta nie miała być jednorazowa, lecz ponoszona stale — to tak, jak gdybym będąc zmuszona do udźwignięcia przeogromnego kamienia, musiała zbierać siły w ciągu całego życia, dzień po dniu koncentrując je w jedno źródło, które będzie w stanie ten kamień ruszyć.

Wówczas tak jasno nie uświadamiałam sobie swoich myśli i wynikającego z nich zadania; mogę to zrobić dopiero teraz, z perspektywy lat, i to też w przybliżeniu. Ale i teraz moja wiara jest wciąż w zarysach i nadal nie wiem, co mnie trzyma przy życiu. Czy moją siłą napędową jest odczytywanie tego, czego Bóg ode mnie chce, oraz realizacja przedziwnej, wciąż przeze mnie do końca nie zrozumianej drogi życia, czy też biologiczny, podświadomy lęk przed zadaniem sobie śmierci nagłej lub przez zagłodzenie. I nie tylko przed samym aktem takiej śmierci, lecz także przed przykrymi konsekwencjami i komplikacjami w stosunkach z otaczającymi mnie ludźmi w przypadku, gdyby się ten akt nie udał. Ich zachowania i reakcje — niezgodne z wewnętrznym przekonaniem o celowości życia takiego człowieka-kadłuba — byłyby irytujące.

Czas płynął, a we mnie kłębiły się sprzeczności, które powodowały, że dominującym odczuciem stała się świadomość tkwienia w ciemnym betonowym tunelu z zamurowanym wyjciem. Równocześnie — jak to często bywa z człowiekiem unieruchomionym — byłam zmuszona wyzwalać z siebie całą energię, by móc walczyć — niemal jak zwierzę — o biologiczne przetrwanie, a także o uznanie we mnie człowieka i przyznanie mi należnej godności, o możność nauki, samodzielnej niby, ale niemożliwej bez pomocy ludzi, nakłonionych do niej moim uporem. Jednak część mojej osoby wyrzucała mi to zamieszanie, jakie czyniłam koło siebie, i zawstydzała mnie. Druga zaś część mojego „ja" usprawiedliwiała mnie wyższymi racjami: że niby robiąc ten zamęt, wywołuję w otoczeniu jakby pewne drgania, przekazywane coraz dalej, że drgania te są uzupełnieniem czy wypełnieniem czegoś. Czego...? I równocześnie pojawiało się natrętne, obezwładniające mnie stale pytanie — w imię czego ta walka? Drewienko wielkości zapałki, ustawione w poprzek lawiny... Równolegle nie można się było ustawić, bo lawinowo krocząca nowa rzeczywistość, zajęta własnym przetrwaniem i konstrukcją swego ostatecznego kształtu, nie przewidywała i nie miała miejsca dla... zapałki. Powstało masowe lecznictwo, dostępne dla najbiedniejszych, nastąpiły i inne zasadnicze zmiany mające na uwadze powszechną sprawiedliwość i równość. To utrzymywało mnie w przeświadczeniu, że dzieją się rzeczy słuszne i właściwe.

Mając do osób duchownych stosunek raczej obojętny (nigdy nie urzekała mnie ich dobroć i świętość, w każdym razie tych niewielu mi znanych), obojętnie też przyjmowałam powszechnie znane fakty (wiadomości o nich docierały nawet do wsi położonej daleko od kościoła) o karceniu, usuwaniu czy przesuwaniu jak pionki duchownych, którzy sprzeciwiali się radykalnym posunięciom tworzącym nową rzeczywistość. Sądziłam, że ich postawa podyktowana jest tylko obroną interesów prywatnych, a nowa rzeczywistość — wreszcie sprawiedliwa. Równocześnie pulsowały we mnie, niby podskórna woda w ziemi, pytania: jeśli życie moje jest ofiarą za coś, jeśli Bóg potrzebuje mojego cierpienia...? Musiałam na ten temat słyszeć coś na jakimś kazaniu. Słowa kazania — nie rozumiane wtedy — wróciły, być może, teraz jak spotęgowane echo. Jeśli więc słowa te wyszły z ust któregokolwiek z duchownych (a może je sobie wymyśliłam?), to gdzie oni są teraz, aby je potwierdzić

a mnie umocnić na tej najtrudniejszej chyba od początku świata drodze życia, jeśli ma ono być rzeczywiście ofiarą?

Gdzie ja to jednak słyszałam? Czy słowa te rzucone były tylko na wiatr, czy też może miały przygotowywać do sytuacji, gdy trzeba je będzie wprząc w życie, choćby miało to oznaczać jego zniszczenie?

Czas mijał, płynęły lata, a ja nadal nie widziałam i nie słyszałam, żeby ktoś z ludzi znajdował się w podobnym jak ja położeniu. Zresztą nawet później, po wielu niezwykle długich latach, odkryty przeze mnie w Biblii Hiob nie mógł stać się dla mnie właściwym punktem odniesienia, bo on nie był aż tak uzależniony od bliźnich. Mieliśmy tylko wspólną nędzę materialną i samotność. Jeśli mój los, tak okrutny, ma jakiś związek z prawem nadanym przez Boga, to powinien poruszyć tych, którzy Go wyznają. Przeraźliwy krzyk wzywający na ratunek powinien spotkać się z ich odzewem, i oni powinni złagodzić to, co się da złagodzić.

Tymczasem nie było żadnego odzewu ani ze strony budowniczych rzeczywistości materialnej (no bo jak, skoro ja nie należałam i, wiadomo, że nigdy nie będę należeć do budujących cokolwiek, co się da uchwycić w ręce... „Kamień odrzucony przez budowniczych" — przeczytałam po latach, trwających wieki), ani ze strony specjalistów od sfery duchowej. Widocznie tamte słowa były tylko takim ambonowym gadaniem... a bydlęcy, nieludzki los muszę rozegrać sama. A jeśli sama, to Bóg nie ma tu nic do rzeczy, a jeśli Bóg nie, to i życie nie ma sensu nawet w zdrowiu, bo przecież zawsze trwała we mnie tęsknota do czegoś większego, czegoś doskonałego, przerastającego rzeczywistość. Niejednokrotnie przyszło mi jednak poznawać losy innych ludzi, którzy byli przekonani, iż żyją tylko dlatego, że nie mogą umrzeć, nie mieli jednak żadnych istotnych powodów, by chcieć żyć, gdyż życie nie przedstawiało dla nich żadnej wartości.

Zwielokrotniony w porównaniu do innych entuzjazm dla nowych czasów przejawiał mój ojciec. Pewnego razu wrócił do domu podpity, co mu się zdarzało nierzadko, i zaczął się skarżyć, że w jakiejś dyskusji z chłopami, toczącej się gdzieś na belkach przy płocie czy w sklepie przy wódce, jeden z nich, starszy już i żyjący raczej na uboczu, stelmach K., powiedział: — No, dobrze, jeśli to, co się teraz dzieje, jest takie wspaniałe, to niech ta siła... uleczy ci córkę. Ojca zatkało z oburzenia, że niby co ma jedno do drugiego. A ja wiedziałam chyba, o co chodziło staremu K. Był to jedyny człowiek z mojego rodzinnego środowiska, który nazwał mój dramat po imieniu i jakby upomniał się o niego. Inni bowiem, tłumnie mnie odwiedzający, robili to raczej z nudów wiejskiego „nic niedziania się", bo telewizorów nie było. Byłam po jego stronie. Jak można zachwycać się jakimkolwiek ustrojem, systemem, organizacją, religią, które nie zwracają uwagi na dziecko powalone cierpieniem, pod jakim ugiąłby się i dorosły?

Tak trudno zaakceptować Boga, który w swej wszechmocy i... dobroci potrzebuje dla jakichś przerastających nasze rozumienie celów ludzkiego niewinnego cierpienia. Ale Bóg zadając cierpienie ma podobno na celu jakieś ostateczne dobro, potrafi również w niezwykły sposób chronić człowieka zagrożonego. Tymczasem przedmiot zachwytu ojca jak gdyby nie chciał wiedzieć, co ma być z dzieckiem, które nigdy nie wróci do zdrowia. Ojciec zaś był jego cząstką i choć woził mnie na leczenie, podzielał jego postawę.

Po wielu latach coraz częściej spotykam ludzi, którzy podobnie odczuwają ból odsunięcia na margines życia, margines „śmierci społecznej", jak to najtrafniej określił prof. Kępiński. Człowiek dotknięty ciężkim kalectwem wzbudza zainteresowanie tylko wtedy, kiedy jest w stanie zadziwić czymś niezwykłym, czymś z gatunku sztuk cyrkowych. Podziw mu okazywany będzie jednak płytki, uwłaczający osobie kalekiej, bo nikt nie patrzy na niego jak na człowieka wartościowego z całą gamą odczuć, pragnień i możliwości ludzkich. Przeciwnie, osoba niepełnosprawna będzie nieraz odczytywać w czyichś oczach wyrok na siebie: odrzucenie. Ale jak może być inaczej, skoro istnieje ogólna tendencja (także wśród ludzi formalnie mocno wierzących), że człowiek kaleki to tylko balast, którym ktoś tam — nie wiadomo tylko kto? — powinien się zająć. „Ktoś", bo wszyscy inni zajęci są daleko ważniejszymi sprawami intelektualnymi, a sprawy cierpiących uważają za marginesowe. Cała idea uczłowieczenia społecznego ciągle schodzi na manowce, bo wciąż chyba istnieje tendencja do odwracania hierarchii wartości — sprawy ludzi uzależnionych od pomocy innych stawia się na końcu.

Gdybym wiedziała, gdybym przeczuwała, że już na przełomie XIX i XX w. znalazł się CZŁOWIEK, który proroczo przewidział, że ładu społecznego i Królestwa Bożego nie można budować pomijając ludzi nieproduktywnych!* Człowiek ten nie teoretyzował długo, tylko przełamując siebie samego stał się jednym spośród tych z marginesu. Swoim zamysłem i czynem przeskoczył całą epokę. I chociaż to, co on spowodował, wydaje się tak oczywiste, jego naśladowcy zostali początkowo obrzuceni kamieniami, a i dzisiaj, tak jak prawie 100 lat temu, na ogół każdy woli dać na biednych jakąś określoną sumę, żeby tylko nie bratać się z nimi, służyć im lub, broń Boże, pokazywać się z nimi na ulicy. Słowa Chrystusa — „Miłosierdzia chcę, a nie ofiary" — można pominąć lub świadczyć miłosierdzie w takiej formie, że ono upokarza i rani.

Gdybym przeczuwała, że w tych latach, kiedy przez kalectwo zawalił mi się dotychczasowy świat, inny Człowiek odpowiadając jak gdyby na moją rozpacz analizuje postawę tamtego pierwszego — który uniżył się do tych najmniejszych — i w swojej sztuce „Brat naszego Boga" wkłada w usta bohatera słowa będące jak podanie ręki ponad przepaścią:

„...To była gra. Przecież wiedziałem, że nie jestem sam. W każdym pośród was wiedziałem o nędzy i — o Nim. Długo przebywali z dala od siebie. Ze wszystkich sił starałem się ich przybliżyć. Bo przedtem byłeś ty — nędzarz, a nad twoją nędzą wiało pustką.

* Autorka ma na myśli Adama Chmielewskiego — brata Alberta, przed rokiem uznanego przez Kościół Rzymskokatolicki za błogosławionego. Jego uczynił bohaterem swej sztuki „Brat naszego Boga" Karol Wojtyła — Jan Paweł II (przyp. red.).

Odkąd zbliżyłeś się do Niego, upadek twój przemienił się w krzyż, a niewola twa w wolność".

Jeśli nawet trudno do końca zrozumieć tę sprawę w sferze metafizycznej, to wszelka uczciwa próba zgłębienia czyjejś nędzy wydobywa ją, choćby na krótko, na wyżyny, a momentami uskrzydla.

Czy byłam egoistką oczekując od ojca, aby patrzył na świat przez pryzmat mojego życia, takiego, jakie ono nastało? A może głównie chodziło mi o jego głębszą refleksję? Jeśli zanegował istnienie Boga z racji koszmarów wojny i krzywdy własnego dziecka, to czemu nie zdobył się na więcej dystansu wobec tych, którzy co prawda nie zawinili, ale pozostawali wobec takiego cierpienia — cierpienia dziecka — obojętni? Nawet ten zawężony rodzaj przywiązania, jaki ojciec miał do mnie, powinien był skłaniać go do zastanowienia — co ze mną i co z innymi w podobnej do mojej sytuacji? Poznałam ich wreszcie na leczeniu, gdy epidemie tej samej choroby zaczęły się powtarzać. Mimo to — na szczęście — liczba osób w takim jak ja stanie nie przekroczyła liczby palców u jednej ręki. Nikt nie potrafił odpowiedzieć, jakie jest nasze miejsce wśród ludzi i jakie miejsce zajmujemy w ich myślach: dla rodzin był to zbyt wielki ciężar. Czy analogicznie do praw przyrody słabszy powinien zginąć? Przyroda nie wnika w szczegóły ani w rodzaj śmierci. Widocznie pozostawiono nam wolną rękę. Obecnie już bym się nie bała śmierci, ale w jaki sposób ją spowodować? Czy w tak krańcowej sytuacji nie powinno być miejsca na reakcję osób bliskich? Co innego mogli uczynić najbardziej kochający rodzice, jeśli choroba była nieuleczalna?

Prawdę mówiąc, robiono wiele rzeczy, aby wykorzystać każdą szansę mego powrotu do zdrowia, ale bez efektu. Istnienia w tak ciężkim stanie nikt nie był zdolny przyjąć. Ja też nie. W zasadzie robiono wszystko, co leżało w granicach możliwości rodziny, ale nikt nie przenikał do moich myśli i odczuć, i to nie tylko dlatego, że moje sprawy były zbyt trudne — po prostu w naszym domu w ogóle nie było zwyczaju, aby ktoś interesował się tym, co któreś z dzieci czuje i myśli.

Starałam się przeniknąć myśli ludzi na temat takich jak ja, nieproduktywnych kalek, podtykana im pod oczy w najmniej spodziewanych momentach. Reakcje były najróżniejsze, mniej lub bardziej dla mnie przykre. Nie znalazł się jednak wtedy nikt, kto by mi powiedział i mocno w to wierzył, że moje życie w takiej właśnie postaci ma sens. Jeśli później tacy się znaleźli, to nieliczni, — i w przeciwieństwie do innych, rzucających słowa na wiatr — oni właśnie potrafili zaświadczyć swoje słowa czynem.

Kontynuując wewnętrzny monolog (choć wyglądało na to, że przez miesiące, a czasami przez lata trwam nie tylko w bezruchu fizycznym, ale również umysłowym), sprowadzałam go wciąż do tego samego problemu, mianowicie: czemu — generalnie rzecz biorąc — przedstawiciele Kościoła, tak duchowni jak i świeccy, „kształceni" przecież w sprawach ostatecznych, jak śmierć i cierpienie (nie tylko to przeciętne, ale i to ponad ludzką miarę), nie szukali odpowiedzi na coraz to bardziej upokarzające mnie cierpienie i byli co najwyżej pouczającymi kibicami lub całkiem obojętnymi statystami? Cóż wart jest Kościół i jego społeczność, jeśli człowiek powalony cierpieniem jest w nim na ostatnim miejscu, a przeważnie bez żadnego miejsca, bo wszystkie zajęte są przez sprawy praktyczne, jak również kadzidlano-dekoracyjne? Widowiskowa sceneria może zagłuszyć to, o co Bogu chodzi, a czego ja również do końca nie potrafię zrozumieć (a może zaakceptować?): że Bóg dał swego Syna, aby On swoim niewinnie znoszonym cierpieniem odkupił świat, i że my, cierpiący, kontynuujemy to odkupienie... „W moim ciele dopełniam brak udręk Chrystusa dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół" (Kol. 1:24).

Jeśli tak, to czy wraz z cierpieniem musi się przez wieki powtarzać i owa trwoga, i osamotnienie Ogrójca, i zdrada Piotra (którego się przedstawia jako fundament Kościoła utworzonego przez cierpienie), samotne dźwiganie i różne oblicza obojętności i bezosobowości Cyrenejczyków, towarzyszących na ogół tylko na pewnym odcinku drogi, nigdy przez całą, uderzenia i policzki nietaktownych zachowań, obnażanie na wszelkie możliwe sposoby i ostateczne straszliwe wywyższenie przez wejście w sferę na ogół niedostępną dla otoczenia, bo do tej sfery wchodzi się przez cierpienie. Wywyższenie, w którym ziemia nie daje jednak stopom oparcia, a Bóg jakby zatrzasnął bramy i stał się głuchy na kołatanie. Kim więc w tej scenerii są pozostali uczestnicy obecnego Kościoła? Kim? I tak, nie przestając snuć swego wewnętrznego monologu, ulegałam ostatecznej rozpaczy, nie mając żadnego innego wyjścia poza unicestwiającą moje człowieczeństwo biernością. Równocześnie wiedziałam, że bierność to coś gorszego niż moje unieruchomienie, usprawiedliwiające przecież ową bierność. W tym stanie ciała i ducha wciąż musiałam podejmować jakieś decyzje, w ślad za którymi szło jakby ciągłe bolesne zrzucanie dawnej skóry, decyzja życiowej wagi, dająca uczucie, że wciąż muszę walczyć z czymś, co mnie przerasta na wysokość nieba, i rzucać się w sytuacje jakby w kotłującą topiel bez dna.

Po latach znajdę podobny obraz w opisie lęku św. Piotra, który idąc po wodzie do Chrystusa stracił pod nogami grunt. Znam ten lęk, wciąż i wciąż powtarzający się, i znam tę siłę, która tak mocno popycha do czegoś, co jednak słabo jest osadzone w realiach i wciąż tylko ukazuje się w mglistych zarysach... A przecież nie ma już odwrotu do twardego gruntu sprzed zachorowania.

A jednak nie mogę przerzucić pomostu pomiędzy moim i tamtym sprzed wieków chodzeniem po „wodnych głębinach" i uwierzyć, że tamta sprawa wciąż trwa, że wciąż chodzi o to samo — o budowanie Królestwa Bożego w rzeczywistości wciąż nie przygotowanej, wciąż zaskoczonej i lekceważącej to, co wymaga nieraz bezwzględnego wysiłku.

Gdy ukończyłam pewien etap nauki umożliwiającej mi na nowo — choć na krótko — wejście w kontakty, czasem bardzo bliskie, ze zdrową młodzieżą, i dzięki rehabilitacji leczniczej uzyskałam pewien stopień sprawności, wydawało mi się, że dałam z siebie wszystko, że wykorzystałam maksimum swoich możliwości. Ale ludzie, którzy mi pomagali w nauce i dali przedsmak tego, o co mi chyba chodziło, powyjeżdżali i ułożyli sobie życie, może nawet pełne wyrzeczeń, ja natomiast zostałam sama, sama już na stałe w całkowicie izolowanym środowisku ludzi sta-

rych i kalekich, w obcym mieście. Niekoniecznie trzeba być trędowatym, aby miesiącami nie widywać ludzi ze świata, który jest na zewnątrz. W naszym świecie wszystko, co dla mnie i mnie podobnych czyniono, sprowadzało się do zaspokajania potrzeb fizjologicznych.

Nasza bezgłośnie krzycząca samotność współczesnych Hiobów i samozadowolenie ludzi systematycznie chodzących do kościoła, dających datki na tacę... Takie chrześcijaństwo nie urządzało mnie. Pomyślałam wtedy, że jeśli przestrzeń wchłonie nasze krzyki i nie będzie żadnego odzewu, to będę usprawiedliwiona, jeśli raz na zawsze złożę broń...

Nie wiedziałam, że w tym samym czasie zbliżał się do końca swych dni założyciel Apostolstwa Chorych w Polsce, ks. Rękas. Nie wiedziałam, bo człowiek ten i jego postawa miały i mają zbyt mało naśladowców i propagatorów. Nie wiedziałam też, że dużo wcześniej utworzyła się opieka pielęgniarsko-parafialna dla ludzi unieruchomionych i opuszczonych w domach, że zaczęto organizować rekolekcje dla chorych i w tym samym niemal czasie powstało Akademickie Duszpasterstwo Chorych, a w nim znalazła się młodzież, najzdolniejsza do burzenia barier i murów oddzielających zdrowych od chorych.

(Czytający te słowa oczekuje pewnie niecierpliwie zakończenia: ...potem żyli długo i szczęśliwie, w całkowitej symbiozie... Wejście w sferę mojego życia męczy niepomiernie...)

Chętnych do ofiarnych kontaktów z chorymi nie jest znowu tak dużo, a w Ośrodkach Duszpasterskich chorzy też często żyją jak w „epoce kamiennej", bez prawa do godności. Jeśli dotychczasowy opiekun kończy studia i wyjeżdża albo na przykład pielęgniarka umiera — nie często znajduje się ktoś, kto chce przejąć ich rolę. Chory jest więc poddawany ciągłym huśtawkom psychicznym: obdarzy kogoś przywiązaniem i zaufaniem, a potem pozostaje osamotniony i opuszczony. Bywa i tak, że człowiek chory, wręcz zauroczony niezwykłą postawą młodych i ich ofiarnością (planują oni nawet wspólnoty, na wzór wprowadzonych we Francji, polegające na wspólnym zamieszkaniu w grupkach wraz z chorymi; niestety, przy naszym typowo polskim braku konsekwencji w realizowaniu szlachetnych zrywów i trudnościach w przyoblekaniu słów w czyny, plany te pozostają na ogół w fazie marzeń) — widzi, jak w którymś momencie wytwarza się w grupie atmosfera określana potocznie mianem „towarzystwa wzajemnej fascynacji". W takim towarzystwie chory, jak martwa rzecz, staje się tylko pretekstem do spotkań wzajemnie adorujących się osób. Chorzy szybko wychwytują tę fałszywą atmosferę, ale pewna delikatność nie pozwala im upomnieć się o swoje. Mimo że w takich sytuacjach świat dla chorego gwałtownie mrocznieje, młodzi pozostają nadal pełni entuzjazmu i samozadowolenia. Wciąż jest tak dużo potrzeb, a tak trudno o czyste intencje. Obecnie prywatną lekturą młodych często jest Pismo św., ale nasza choroba, zwłaszcza długotrwała, wytwarza specyficzne radary, którymi wychwytujemy wszelkie fałszywie brzmiące nuty w praktycznym realizowaniu zasad biblijnych.

Inna rzecz, że często odnoszę wrażenie, iż większa jest liczba potrzebujących pomocy niż mogących jej udzielić. Mam obsesję, że z czasem pozostaną wyłącznie ludzie potrzebujący pomocy. Wiem też jednak, że wiele jest ludzi mających zdrowe ręce i nogi, względną sprawność umysłową, ale musieliby oni przeżyć ileś tam osobistych wstrząsów, aby odsłoniła się w nich warstwa człowieczeństwa niezbędna do wzniesienia się na wyżyny czy też zniżenia się (co podobno to samo znaczy) w sferę otaczającą cierpiącego.

...Istota ludzka prawie bez rąk i nóg, zwyczajny kadłub ludzki, wywołujący wstrząs u ludzi, wstrząs, po którym jednak przechodzi się do porządku dziennego...

W pewnym seminarium duchownym spotkałam rzeźbę przedstawiającą Chrystusa bez rąk. Jego rękami mają być podobno ofiarni kapłani, zdobywający wiernych. Niektórzy ludzie dopatrują się w mojej niemocy i bezsilności podobieństwa do wizerunku tej rzeźby, a w tych, co mi w jakikolwiek sposób pomagają — widzą uzupełnienie i dopełnienie postaci Chrystusa. Jakkolwiek wielokrotnie spotykam się z prawie doskonałymi reakcjami i niemal doskonałą pomocą, zarówno w sprawach podstawowych, jak i tych pozornie niepraktycznych, bo kulturowo-rekreacyjnych, to jednak każdy ze wspomagających mnie ludzi może, z różnych przyczyn, odbyć ze mną tylko pewien etap drogi. Ja zostaję wciąż z tym samym — niemocą, niewygodą, udręką i znużeniem.

Gdy spotykam kogoś nowego, kto staje na drodze mojego życia, to choć trudno odgadnąć, kim się on okaże w przyszłości i choć wielokrotnie przeżywam niesmak rozczarowania, badam pomimo znużenia życiem tę nową istotę jak nie znany mi, ale zaciekawiający nowy ląd. Muszę być bardzo czujna, aby nie przeoczyć, nie ominąć tych najważniejszych człowieczych pierwiastków, które wielokrotnie wydobywają się dopiero wtedy, gdy ów człowiek prawidłowo odczuje czyjąś bezradność wynikającą z unieruchomienia ciała i cały dramat z tym związany. Ludzie ci pewnie nigdy nie podejrzewają siebie o taki potencjał możliwości. To właśnie tych człowieczych pierwiastków tak straszliwie boleśnie brakowało mi i często brakuje w toczącej się lawinie przemian i przeobrażeń dotyczących podstawowej egzystencji. Szukam ich w ludzkich reakcjach na moją i mnie podobnych sytuację, a to, czy je znajduję, czy nie — dotyka mnie osobiście albo jako największe zwycięstwo, albo największa klęska.

Minęło tyle lat, cała epoka, a ja żyję z ładunkiem przeżyć, który by starczył dla kilku istnień. Nareszcie mówi się i myśli o cierpiących, pisze się na ten temat książki, nie tylko biograficzne, ale również pełne refleksji. Ojciec Święty**, Jan Paweł II, wciąż podkreśla ważną rolę cierpiących, bo oni tworzą fundament Kościoła. W jego Liście Apostolskim „Salvifici Doloris" są m.in. takie słowa: „Kościół, który wyrasta z tajemnicy odkupienia w Krzyżu Chrystusowym, powinien w szczególny sposób szukać spotkania z człowiekiem na drodze jego cierpienia. W spotkaniu takim człowiek staje się drogą Kościoła — a jest to jedna z najważniejszych dróg..."

I o to mi przez te lata chodziło! Ale... czy wtedy naprawdę nie byłoby problemu? Czy naprawdę zaakceptowałabym wtedy swoje życie?

Współczesny Hiob

** Zachowujemy oryginalną terminologię Autorki, która jest — jak można z tekstu wnioskować — wyznania rzymskokatolickiego (przyp. red.).

KS. BOGDAN TRANDA

Zaufała Bogu

Człowiek został tak skonstruowany przez Stwórcę, żeby wszystko w jego organizmie funkcjonowało zgodnie z przeznaczeniem. Cała więc struktura fizyczna i psychiczna jest nastawiona na sprawne funkcjonowanie i przyjmuje je jako coś oczywistego. Zdarzają się jednak sytuacje nadzwyczajne, kiedy coś zaczyna się psuć i nie działa jak należy. Zostaliśmy dlatego wyposażeni w cały system alarmowy, aby ostrzegał przed grożącym niebezpieczeństwem. Pojawiają się rozmaite symptomy, takie jak ból, gorączka, torsje, zawroty głowy, złe samopoczucie, dzięki czemu dowiadujemy się, że trzeba ingerować i usunąć przyczynę cierpienia, aby wszystko wróciło do równowagi, ustąpiły niepokojące objawy, a psychika zyskała spokój.

Zdarzają się jednak na skutek wieku, choroby lub wypadku zmiany nieodwracalne. Tracimy wzrok lub słuch, rękę albo nogę, pojawiają się zniekształcenia, co ogranicza dotychczasową sprawność fizyczną. Zaburzenia w funkcjonowaniu organów odbijają się na sferze psychicznej, wywołują bunt przeciw niezasłużonemu cierpieniu, poczucie mniejszej wartości w porównaniu z innymi, oszczędzonymi przez los ludźmi. Narzuca się wtedy z nieodpartą siłą pytanie: dlaczego? Dlaczego właśnie mnie to spotkało? Dlaczego Bóg dopuścił do takiego nieszczęścia i pozwala mi tak cierpieć? Nagłe, brutalne zderzenie z nieodwracalną rzeczywistością rozbija dotychczasowy świat wartości, zmusza do radykalnego zwrotu w sferze myśli, uczuć, działania, wiary. Człowiek przeżywa głębokie załamanie, bo przecież był nastawiony na sprawne funkcjonowanie swych organów, roztaczały się przed nim pełne nadziei perspektywy, z których nagle trzeba zrezygnować. Można sobie wyobrazić, jaką tragedią dla Ludwika van Beethovena była utrata słuchu! Czym dla twórcy impresjonizmu, Claude Moneta, była utrata wzroku!

Pod wpływem nieoczekiwanego ciosu, w przekonaniu dotkniętych nieszczęściem ludzi niczym nie zawinionego i niesprawiedliwego, wielu z nich popada w stan rezygnacji. Niektórzy przeżywają nawet tak głębokie załamanie, że zamyślają o samobójstwie. Nie znajdują w sobie sił, by walczyć o siebie samego, albo sądzą, że walka taka jest beznadziejna. Nie widzą sensu życia w nowej sytuacji, w jakiej się znaleźli, i nie mogą sobie wyobrazić, komu i na co mieliby być potrzebni. Ale są i tacy, którzy zdobywają się na ogromny, wręcz heroiczny wysiłek i znajdują swoje miejsce w życiu, jego cel i sens, a nawet dochodzą do sukcesów, których — być może — nie osiągnęliby, gdyby nieszczęście ich nie spotkało. Człowiek nie zna w gruncie rzeczy swoich możliwości — często je przecenia albo nie docenia, i dotyczy to tak samo zdrowych jak chorych. Zdarza się, że właśnie w sytuacjach krańcowych dochodzi do ich obiektywnego poznania — ujawniają się te, o które człowiek siebie nawet nie podejrzewał, a inne okazują się iluzoryczne. Bywa, że człowiek zdrowy rozprasza swoje możliwości na różnych polach aktywności fizycznej czy umysłowej, ulega złudzeniu, że są one nieograniczone i nie wykorzystuje należycie tych realnych. Natomiast skoncentrowanie wysiłku na jednym odcinku daje z reguły lepsze rezultaty.

Pole działania ludzi niepełnosprawnych jest z konieczności ograniczone, czasem nawet drastycznie. Może właśnie dlatego niektórzy z nich, dzięki ogromnemu wysiłkowi i koncentracji, osiągają więcej niż zdrowi? Tak było w przypadku Joni Eareckson, ale każdy człowiek jest niepowtarzalną indywidualnością, każdy jest inny. Jeśli zaś chodzi o ludzi dotkniętych ciężkim kalectwem, ta inność to cały inny świat rozpaczy, buntu i nadziei. Na ile zdrowi mogą ten świat przeniknąć? Pomostem porozumienia i solidarności jest chyba cierpienie... O solidarności tej mówi apostoł Paweł: „Jedni drugich brzemiona noście, albowiem tak wypełnicie prawo Chrystusowe. Jeśli bowiem kto mniema, że jest czymś, będąc niczym, ten sam siebie oszukuje" (Gal. 6:2—3). Przez cierpienie zaś — wcześniej czy później — przechodzimy wszyscy. Tylko pozornie wydaje się nam, że jedni są nim naznaczeni, a inni są od niego wolni...

Joni Eareckson mówi: „Kiedy po moim wypadku przez dwa lata leżałam bezwładnie na łóżku szpitalnym, nie miałam pojęcia, że wózek inwalidzki otworzy przede mną nowe perspektywy i że dzięki niemu będę mogła coś ważnego i potrzebnego powiedzieć innym ludziom. Nie tylko tym na wózkach inwalidzkich, ale i tym zdrowym. Swoje przeżycia spisałam w dwóch książkach, które ku mojemu zdziwieniu zostały przetłumaczone na niemal trzydzieści języków. Dało mi to podstawę do przypuszczenia, że cierpienie jest jakby najmniejszym wspólnym mianownikiem, który łączy nas wszystkich. Moja niesprawność jest rzeczą oczywistą, bo każdy ją widzi. Inne rodzaje cierpienia są mniej jawne, ciche. Nie zawsze można ich dotknąć, nie zawsze można je zobaczyć. Czasem będą to codzienne napięcia, czasem samotność albo przeżycia emocjonalne. Cierpienie jest zjawiskiem, które nas wszystkich łączy. Nauczyłam się też, że cierpienie przyprowadziło mnie bliżej do Boga"[1].

Wspólnota cierpienia upoważnia nas, a nawet niejako zmusza, do mówienia o nim i dzielenia się doświadczeniami, które mogą komuś pomóc w znalezieniu swego miejsca w życiu. Rzecz jednak polega na tym, aby wypowiedź była wiarygodna i przekonująca. Jeśli czyjeś doświadczenia nie są oczywiste, widoczne, namacalne, to słuchający może nie bez racji powiedzieć: łatwo ci mówić. To, co mówi człowiek taki, jak Joni Eareckson, nabiera wagi dowodu.
Kim jest Joni Eareckson?

[1] Z przemówienia wygłoszonego w hotelu „Forum" w Warszawie 4 sierpnia 1983 r.

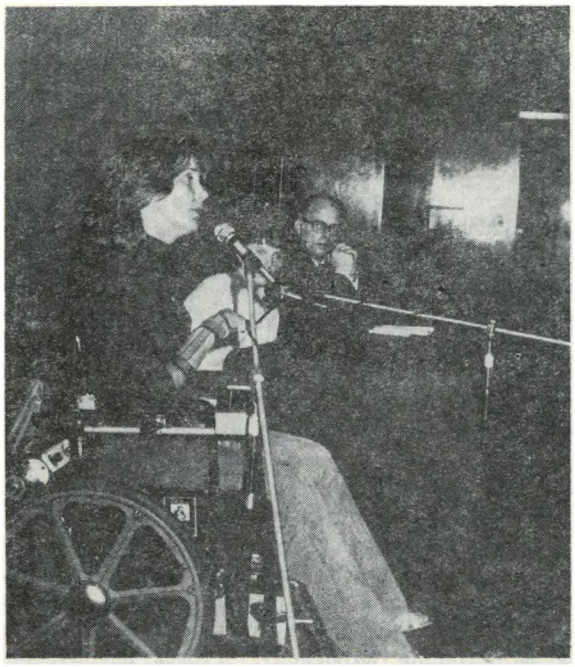

Wózek inwalidzki przestał być dla Joni więzieniem (foto: B. T.)

W zeszłym roku mieliśmy możność spotkania się z nią w Warszawie i w innych miastach. Przemawiała w salach, kościołach, w szpitalach i sanatoriach, do ludzi zdrowych i niesprawnych. Mówiła o swoim wypadku, załamaniu, utracie wszelkiej nadziei, walce, przemyśleniach i o odniesionym zwycięstwie nad sobą.

Latem 1967 roku, jako siedemnastoletnia dziewczyna, znalazła się z grupą młodzieży na amerykańskim wybrzeżu atlantyckim, nad zatoką Chesapeak. Skok do wody okazał się fatalny. Głową uderzyła o coś twardego, co spowodowało pęknięcie kręgosłupa. Paraliż objął całe ciało od szyi do stóp. Można sobie wyobrazić, co to oznaczało dla młodej, silnej, zdrowej, zdolnej i zalotnej dziewczyny, gdy nagle zburzył się cały jej dotychczasowy świat. Na zawsze została przykuta do wózka inwalidzkiego i zdana na pomoc innych ludzi.

Fatalny skok do wody oznaczał dla niej radykalny kres dotychczasowego sposobu życia, myślenia, odczuwania. Nie od razu, oczywiście, zdała sobie z tego sprawę. Musiała dopiero przejść przez długi, niezwykle trudny proces przemiany. Paraliż, który objął wszystkie cztery kończyny, utrata możności odbierania jakichkolwiek wrażeń całym ciałem od stóp aż po szyję, były skutkiem natychmiastowym. Zerwał się naturalny związek między ciałem, pozbawionym możliwości reagowania na impulsy pochodzące od mózgu i realizowania zaplanowanych celów, a psychiką, stworzoną do posługiwania się posłusznymi nakazom organami i przystosowaną przez siedemnaście lat życia do ścisłej zależności między jednym a drugim.

Naturalną reakcją na to zburzenie było załamanie psychiczne. Joni była osobą wierzącą, więc w sposób oczywisty starała się dźwignąć z depresji przez modlitwę. Całą swoją nadzieję skierowała ku Bogu, licząc na cudowne przywrócenie władzy w kończynach. Nie przyjmowała do świadomości, że zmiany są nieodwracalne i że do końca życia będzie pozbawiona zdolności poruszania się, a tym samym zdana na pomoc innych ludzi. Ciągle miała żywo w pamięci lata minione, kiedy obie strony — psychiczna i fizyczna — działały harmonijnie. Nic więc dziwnego, że cały swój wysiłek psychiczny i duchowy kierowała na powrót do dawnej sprawności fizycznej. Oczekiwała — najpierw od lekarzy — radykalnej interwencji, która by drogą operacyjną i rehabilitacyjną przywróciła władzę w członkach. Kiedy medycyna okazała się bezsilna, pozostała jej jedyna, ostatnia nadzieja w Bogu. Z całą siłą wiary modliła się o przywrócenie zdrowia. Modlili się jej przyjaciele, rodzina, zbór, odbywały się całe „kampanie" modlitewne. Tymczasem niebiosa milczały.

Bezmiar cierpienia i brak nadziei na powrót do pełnej lub choćby tylko częściowej sprawności nasunął jej myśl o samobójstwie. Sama jednak nie była w stanie wykonać swego zamiaru, a bliska przyjaciółka nie uległa jej błaganiom. Wtedy znalazła się na samym dnie rozpaczy i beznadziejności. Skoro nigdy już nie wróci do dawnego stanu, to po co żyć? Jaki sens może mieć wegetacja kaleki? Dlaczego Bóg dopuścił do takiego nieszczęścia? Dlaczego modlitwy, pełne wiary i zaufania, nie docierają do Niego?

„Na wieczornym nabożeństwie modlitewnym w Reformowanym Kościele Episkopalnym zebrało się sporo moich przyjaciół szkolnych, nauczycieli, rodziców tych przyjaciół i krewnych. Tego wieczora zasypiałam z nadzieją, że następnego ranka obudzę się zupełnie zdrowa. Jednak tak się nie stało. Wyjaśniłam sobie, że Pan doświadczy naszą wiarę i proces uzdrowienia na pewno będzie dokonywał się powoli, a nie nagle, w sposób nadprzyrodzony. Gdy Diana, Jay, rodzice i przyjaciele (...) odwiedzali mnie, starałam się robić wrażenie, że wszystko przebiega normalnie, umiejętnie ukrywałam rozczarowanie i zniecierpliwienie (...). Uśmiechałam się słodko i modliłam się w ciszy, aby Bóg pośpieszył się i szybciej mnie uzdrowił"[2].

Powoli, bardzo powoli dociera do niej myśl, że w Bożym planie sprawy mają się inaczej, że to właściwie ona sama usiłuje Bogu narzucić swoje własne pragnienia i dlatego mur przed nią wydaje się tak wysoki, nie do pokonania. Wiele razy popada w depresję, aby z wielkim wysiłkiem, przy pomocy przyjaciół, z niej się dźwigać. W Piśmie świętym szuka wskazówek, odpowiedzi na dręczące ją pytania, wyjaśnienia, jaki jest Boży plan wobec niej. Choć przez cały czas jest przy niej ktoś z przyjaciół i próbuje jej wyjaśnić wolę Bożą, Joni porusza się w tej sferze jakby po omacku, ciągle błądzi. Myśli: „Kim lub czym jest Bóg? Na pewno nie istotą osobową, która troszczy się o jednostki... Jaka korzyść z wiary, gdy twoje modlitwy nie są wysłuchiwane? (...). Gdy Diana albo Dick czytali mi z Biblii jakąś obietnicę, nie chciałam ich słuchać. — To tylko ładnie powiedziane, teksty te są piękną poezją, pozbawioną głębszego sensu. Spróbujcie zastosować te obietnice do mnie. Powia-

[2] Ten i następne cytaty pochodzą z książki Joni Eareckson i Ive Musser „Joni". Wyd. „Słowo Prawdy", Warszawa 1983.

dacie mi, że mój ponad roczny pobyt tutaj »współdziała ku dobremu«. Jakie to dobro? Gdzie ono jest? Kiedy nadejdzie? Nie chcę już o tym słyszeć!"

Modliła się: „Boże, mamy tylko dwie możliwości: albo Ty istniejesz, albo nie istniejesz. Jeżeli nie istniejesz, to nie widzę logicznych podstaw do życia. Chcę wiedzieć, czy ludzie wierzący tylko przechodzą z nicości w nicość. Czy musimy się okłamywać? Życie w przeważającej mierze jest absurdem. Wydaje się, że jedynym celem życia człowieka jest rozpacz. Co mam czynić, Panie? Pragnę wierzyć, ale nie mam się na czym oprzeć. Boże, musisz udowodnić mi swoje istnienie! (...). Znużona myśleniem zamknęłam oczy. Wtem skądś pojawił się spokój (...) »Zachowasz w pokoju tych, którzy kierują swe myśli ku Tobie«. I tak zasnęłam".

Niedługo przyszło jej postawić pierwsze kroki na nowej drodze. Zaczęła uczyć się pisać ołówkiem trzymanym w ustach. Gdy poczyniła zadowalające postępy, rehabilitantka spostrzegłszy jej talent artystyczny zaproponowała naukę malowania tym samym sposobem. Malować? Robiła to kiedyś, gdy miała zdrowe ręce. „To nie ma znaczenia — usłyszała w odpowiedzi. — Ręce są tylko narzędziami. To wszystko. Umiejętność, talent jest w mózgu. Jeżeli będziesz ćwiczyć, ustami możesz zrobić to samo, co kiedyś rękami".

Było to coś nowego. Sądziła, że jest już nieużytecznym wrakiem, ciężarem dla innych. Takie przekonanie jest bardzo rozpowszechnione wśród wszystkich dotkniętych przez los — okaleczonych, chorych, starych. Nie zdają sobie sprawy, że właśnie tacy mogą być komuś potrzebni. Dla Joni możliwość malowania była odkryciem, pierwszym krokiem na drodze do zwycięstwa. Nie każdy człowiek ma taki akurat talent, ale każdy ma coś, co jest pożyteczne. Świadomość tego jest ważna nie tylko dla tych ludzi, ale może w jeszcze większym stopniu dla zdrowych, bo my, niestety, swoim postępowaniem umacniamy ich poczucie beznadziejności losu.

Nowe przeżycie tchnęło w nią nadzieję, dzięki czemu poprawiło się jej samopoczucie. Zaczęła dochodzić do ważnych wniosków, które pchnęły jej myślenie na nowe tory. Przyczyną rozpaczy było zredukowanie życia do podstawowych czynności: jedzenia, oddychania i spania. Wtedy odkryła, że wszyscy ludzie znajdują się w tej samej, co ona, sytuacji, a tylko pozory im ten fakt przesłaniają. Praca, szkoła, rodzina, odpoczynek tak bardzo pochłaniają ich uwagę, że nie dostrzegają, jak bardzo pozwolili się wciągnąć w tryby tego młyna i nie są w stanie wejrzeć w swe życie głębiej. W istocie sprowadza się ono do tego samego co u niej: jedzenia, oddychania, snu. Doszła do wniosku, że choć jej życie ogranicza się do podstawowych czynności fizjologicznych, to przecież ciągle jest kimś. Trzeba więc znaleźć sens, cel i kierunek życia.

Nastąpił wtedy powolny proces powracania do równowagi duchowej. Nie obyło się, oczywiście, bez wielu załamań i zawodów. Bardzo ciężką depresję przeżyła po rozczarowaniu, gdy opuścił ją narzeczony, z którym związała się głębokim uczuciem. Mimo drastycznego ograniczenia fizycznego nie była przecież pozbawiona normalnych dla każdego człowieka tęsknot i zdolności do uczuć. Może nawet na skutek swego stanu bardziej niż inni potrzebowała czyjejś miłości. Zdawała sobie sprawę z tego, że nie może być normalną żoną i dlatego właśnie z własnej woli zwolniła z zobowiązań swego poprzedniego chłopca, który okazał jej wiele serca. Była to heroiczna decyzja. Gdy w jej życiu pojawił się Donald, broniła się przed rozwojem uczucia, ale w końcu wydawało się, że jest on właściwą osobą. Sam ją zapewniał, że potrafi dźwigać ciężar jej kalectwa. Okres ten był dla Joni źródłem wielkiej radości i nadziei na przyszłość, choć nieobce jej były wahania i wątpliwości. Ale Donald odszedł, co ponownie wtrąciło ją na dno rozpaczy. Ciągle jeszcze powracały nadzieje na cudowne uzdrowienie i obecność przy niej Donalda umacniała ją. Rozstanie z nim brutalnie przekreśliło jej marzenia. Nie poddała się jednak. Wielkim wysiłkiem duchowym, modląc się i rozmyślając nad tekstami Pisma świętego, nie tylko doszła do równowagi i zyskała wewnętrzne umocnienie, ale zdobyła nowe wartości, które ją ogromnie wzbogaciły. „Proces ten był powolny, ale nie tak trudny, jak przypuszczałam. Teraz patrzyłam na postępek Donalda w nowym świetle, z większą wyrozumiałością (...). Wielu młodych ludzi ignoruje rzeczywistość. Wiedzą, że coś nie jest w porządku, że współżycie nie ułoży się, a mimo to prą do przodu, jak było z nami, polegając wyłącznie na marzeniach. Teraz, patrząc wstecz, dziękuję Bogu za wszystkie doświadczenia. Tak wielu rzeczy nie nauczyłabym się, gdyby Donald nie pojawił się w moim życiu i nie opuścił mnie, i dlatego dziękuję Bogu za te doświadczenia. Szczególnie dziękuję Mu za dopomożenie mi w przezwyciężeniu wówczas uczucia goryczy czy niemal rozpaczy (...). Zaczęłam patrzeć na cierpienia w nowym świetle — nie jako na przykrości, których należy unikać, lecz jako na możliwości skorzystania z Bożej miłości, łaski i dobroci, których Bóg tak wiele okazuje właśnie ludziom cierpiącym. W drugiej połowie 1972 roku w moim życiu nastąpiła większa zmiana niż w którymkolwiek innym okresie mego życia — nawet w poprzednich pięciu latach życia na wózku inwalidzkim. Gdy Donald odszedł z mego życia, nie miałam już komu zaufać — prócz Boga. Skoro Pan zawsze okazywał się wierny, zaufałam Mu i teraz".

Konkluzja, do której doszła, nie była przypadkowa. Choć wiele razy buntowała się i popadała w zwątpienie, to jednak nieustannie powracało zaufanie do Boga. Szukała wyjścia ze swego labiryntu na gruncie wiary i modlitwy. Nie była w tym osamotniona, wspierali ją przyjaciele, którzy razem z nią próbowali znaleźć właściwą odpowiedź na powstające pytania i wątpliwości, ukazywali właściwe znaczenie tekstów biblijnych.

Tak, w wielkim trudzie, przeżywając wzloty i upadki, wydobywając się mozolnie z beznadziejnej sytuacji, dostrzegła wreszcie światło, w blasku którego zaczęło zarysowywać się nowe życie. W jej obiektywnej sytuacji nie zaszła żadna zmiana. Nadal była przykuta do wózka inwalidzkiego, nie wróciło czucie w ciele ani władza w nogach i rękach, nadal była całkowicie zależna od ludzkiej pomocy. Stała się jed-

Joni gościła w ubiegłym roku w Warszawie; obok niej — ks. bp Zdzisław Tranda (foto: B. T.)

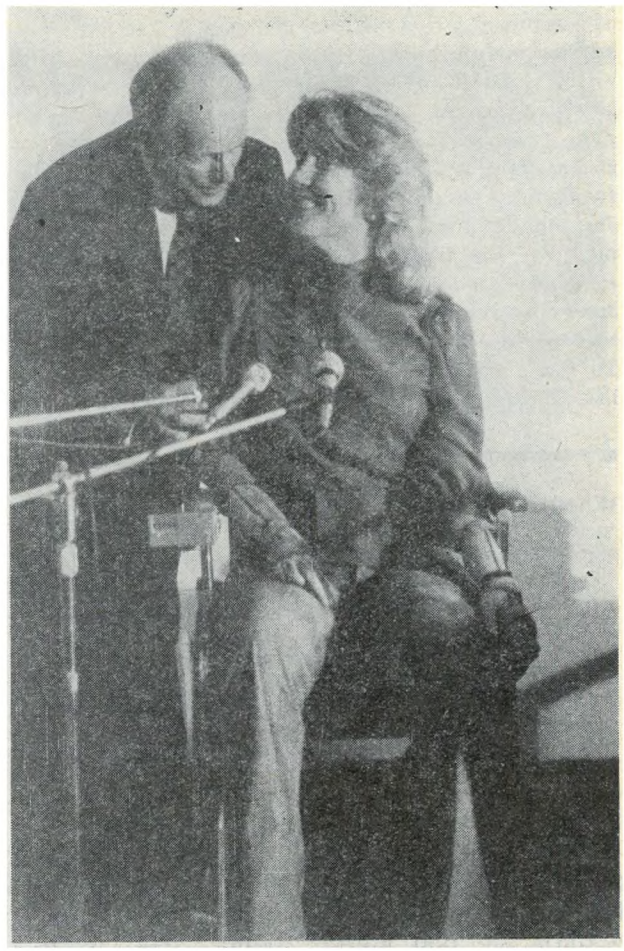

nak innym człowiekiem. Znalazła możliwość wypowiadania się w twórczości artystycznej. Jej obrazy, pełne życia i barwy, wyrażały piękno istnienia, odzwierciedlały pogodę ducha. Rzeczą najważniejszą było jednak to, że zyskała wewnętrzną równowagę. Przestała się buntować, już nie popadała w depresję. Zrozumiała, że mimo zredukowania swej mobilności, może być i jest niczym nie ograniczoną osobowością. Jej psychika dostosowała się do realnego zakresu fizycznych możliwości. Joni zarzuciła wspominanie przeszłości i zwróciła się ku przyszłości. Wózek inwalidzki przestał być jej więzieniem. Dotychczas traktowała go jako przedmiot, od którego nie była w stanie się oderwać, który był nieodłącznym znakiem kalectwa, oddzielającym ją niewidzialną barierą od wszystkich zdrowych. Ludzie, swoi i obcy, gdy znajdowała się na wózku, spoglądali na nią i odnosili się do niej w sposób żenujący. „Typową reakcją człowieka postronnego było spoglądanie z góry na człowieka na wózku inwalidzkim (...), ludzie uważają, że skoro jesteś fizycznie upośledzony, to na pewno i umysłowo nie jesteś zupełnie w porządku (...). Czasem ludzie patrzą na mnie bezmyślnie, szczególnie wtedy, gdy wózek, ich zdaniem, porusza się zbyt szybko. Opinia publiczna najwyraźniej utrzymuje, że osobę na wózku inwalidzkim należy traktować jak bagaż zawierający bezcenny antyk. Nieraz w sklepie czy na ulicy starsze panie podchodziły do mnie, głośno cmokały i powiadały coś w tym rodzaju: »ach, ty biedna, droga i dzielna dziewczyno«. Grzecznie uśmiechałam się do nich, ale w myślach wyrażałam swoje prawdziwe odczucia, które nie zawsze były zachwycające!"

Nastąpił jednak cud, o który tak gorąco się modliła, ale dokonał się on inaczej, na innej płaszczyźnie, niż się spodziewała, bo w sferze psychicznej — stała się duchowo innym człowiekiem. Dzięki przeżyciom, modlitwie, przemyśleniom, dyskusji z przyjaciółmi, studiowaniu Pisma świętego zrozumiała, że „wola Boża jest dobra, miła i doskonała" (Rzym. 12:2). Gdy na początku swej drogi usłyszała od któregoś z przyjaciół, że „Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu" (Rzym. 8:28), nie mogła się z tym pogodzić. Podchodziła do swej sytuacji w sposób negatywny, uważając swe ograniczenia za pozbawienie jej czegoś istotnego, za zamknięcie w ściśle określonych granicach. Teraz dostrzegła, że to, co miała za zamknięcie, było w rzeczywistości otwarciem na inne rejony życia. Pokonała otaczający ją mur, ale inną drogą niż ta, której przedtem uparcie szukała.

Sprawdziły się na niej słowa wypowiedziane podczas jednej z rozmów: „Może będziesz bardziej wiarygodna na swoim wózku aniżeli na własnych nogach". Dosłownie tak się właśnie stało. Joni maluje i wystawia swoje obrazy, ale te jej osobiste sukcesy nie są najważniejsze. O wiele ważniejsze jest to, że właśnie dzięki swej sytuacji mogła innym ludziom otworzyć oczy na nowe, nie dostrzegane perspektywy i pomóc im. Jej świadectwo miało wielkie znaczenie przede wszystkim dla ludzi niepełnosprawnych, ale również dla zdrowych. Przecież, jak twierdzi Joni, wszyscy jedziemy na tym samym wózku, ale nie wszyscy to dostrzegają. Jej było dane odkryć to, co dotychczas było przed nią zasłonięte. Sprawność fizyczna nie stanowi o sensie życia. Jego istota kryje się w sprawności duchowej. Jej życie, ograniczone i zależne od pomocy innych ludzi, jest na to dowodem o sile nieodpartej. Odniosła zwycięstwo nad sobą i mogła dzięki temu przekazać swe przeżycia i doświadczenia innym, stała się pożyteczna dla wszystkich, którzy przeżywają takie jak ona lub inne problemy. Ma możliwości oddziaływania za pośrednictwem telewizji. W kampaniach ewangelizacyjnych może z pełną wiarygodnością mówić o wyzwalającej potędze Boga i prowadzić do Niego tych, którzy się zagubili. Naprawdę „Bóg współdziała we wszystkim ku dobremu". Kiedyś nie mogła tego pojąć. Jak to jest możliwe, aby skutki jej wypadku miały być czymś dobrym? Teraz wie, że Bóg nas prowadzi rozmaitymi drogami i nie ma takiego zła, takiego nieszczęścia, które mogłoby nas odłączyć od miłości Bożej objawionej w Jezusie Chrystusie.

Życie Joni, jej wypadek, paraliż, późniejsza walka o sens istnienia to dowód, że człowieczeństwo zawiera w osobie takie pokłady możliwości, o jakich nam się nie śni. Z jej przykładu czerpać mogą natchnienie nie tylko ludzie ciężko dotknięci przez los, ale wszyscy, którzy chcą głębiej spojrzeć na swoje życie. Joni prowadzi bardzo aktywną działalność, zajmuje się ludźmi niepełnosprawnymi, pomaga im odzyskać wiarę w sens życia, odnaleźć siebie w nowej dla nich

sytuacji. Uczestniczy w obozach młodzieży, prowadzi kampanie ewangelizacyjne. Nadal zajmuje się sztuką, maluje obrazy, które cieszą się dużym uznaniem. Ostatnio nawet osiągnęła rzecz — zdawałoby się, nieosiągalną — zawarła związek małżeński z Kenem Tada.

Dzięki Joni i wielu jej podobnym możemy sobie uświadomić, że otrzymaliśmy od Boga bezcenny dar. Jest nim zdolność przebicia się przez naturalne ograniczenia. Nie trzeba aż takiej katastrofy i tak drastycznego zredukowania mobilności jak w przypadku Joni, aby wyjść na wyższą płaszczyznę życia. Wskazuje na to Jezus, gdy mówi o nowym narodzeniu się. To samo ma na myśli apostoł Paweł pisząc w swym liście: „Zewleczcie z siebie starego człowieka wraz z jego poprzednim postępowaniem, którego gubią zwodnicze żądze i odnówcie się w duchu umysłu waszego, a obleczcie się w nowego człowieka, który jest stworzony według Boga w sprawiedliwości i świętości prawdy" (Ef. 4:22—24). Zdolni jesteśmy do przekształcenia naszej osobowości (starego człowieka) w nową, dzięki czemu możemy wyjść poza ograniczenia, jakie zakreśla przed nami struktura fizyczna. Radość życia, jego sens nie kończą się z chwilą, gdy zostaniemy pozbawieni pewnych cech dotychczasowej struktury fizycznej. Dowodzi tego ponad wszelką wątpliwość zwycięstwo, jakie odniosła nad sobą Joni Eareckson. Wózek inwalidzki przestał być dla niej więzieniem, a stał się narzędziem uwiarygodnienia świadectwa o pokoju Bożym, który przekracza ludzkie zrozumienie.

WANDA MLICKA

Ameba

Syn lekceważy ojca, córka powstaje przeciwko matce, synowa przeciwko teściowej, właśni domownicy są nieprzyjaciółmi człowieka...

Micheasz 7:6

Stary Człowiek patrzy przez okno. Dwie osiedlowe alejki rozwidlają się pod kątem. Jedna odchodzi kręto pomiędzy domami ku sklepom i autobusowym przystankom; druga zmierza prosto ku widniejącym na horyzoncie polom. Pory roku przychodzą i przemijają. Wiatr podnosi drobinki ziemi, skręca je w spirale i unosi wysoko. Deszcz uderza o parapet spryskując szyby. Śnieg wiruje, wiruje, do zawrotu głowy. Świeci wiosenne słońce. Stary człowiek siedzi i patrzy. Dzień po dniu. Dzień po dniu.

— Obiad na stole — mówi synowa.

— Kolacja podana — wołają wnuki.

— Dobranoc — rzuca w przelocie syn.

Słowa — ochłapy.

Za plecami Starego Człowieka rodzina żyje dniem powszednim, dniem świątecznym. Powszedni jest lepszy. Rano, gdy wszyscy wyjdą, Stary Człowiek odchodzi od okna i krąży po domu. Końcami palców muska papiery na biurku syna, rzuca okiem na tytuły książek, pogardliwie wydyma usta przed toaletką synowej, gdzie flakony i puzdereczka, tubki, etui z przyborami do paznokci, grzebyki, szczotki, smugi rozsypanego pudru. W pokoju wnuków, w którym ma swój kąt, patrzy w zadumie na stertę komiksów, rozrzucone zabawki — przeważnie samochody i broń — zagląda do podręczników. W końcu idzie do kuchni, by zrobić sobie herbaty. Z kąta wychodzi mu naprzeciw kot. Stary Człowiek schyla się i bierze go na ręce. Coś, co jest żywe, ciepłe, mruczy i przytula się. „Nie cierpię kotów" — oznajmia mu, głaszcząc szare futerko, i dolewa mleka na spodek. Z gorącą herbatą ostrożnie dociera na swoje miejsce przy oknie. Gdy synowa wraca z miasta, widzi — jak zawsze — przygarbione plecy na tle okna.

Mijają dni i miesiące. Starego Człowieka ogarnia nagle niepokój. Przegląda swoją szafkę przy łóżku, coś wkłada do kieszeni, wyjmuje wytarty portfel i liczy pieniądze. Głębokim namysłem obdarza dwa szaliki, dwukrotnie sprawdzając temperaturę na termometrze za kuchennym oknem. Wreszcie decyduje się na zielony, lżejszy. Czapkę ma jedną, nad płaszczem nie ma się co zastanawiać, zima minęła, więc ten letni. Może wziąć sweter? Noce jeszcze zimne, a kto wie, gdzie spędzi tę noc. Po namyśle wyjmuje z szufladki jeszcze jedną chustkę do nosa. W przedpokoju wsuwa do kieszeni płaszcza Biblię. Trochę sterczy. Stuka parę razy laską o podłogę, jest gumka, w porządku. Zaciekawiony kot wygląda z kuchni. Stary Człowiek posyła mu ponury uśmiech i wychodzi. Drzwi z automatycznym zamkiem zatrzaskują się cicho. Koniec. Nie ma klucza, nie ma odwrotu.

Nad wieczorem dzwonek.

— Gdzie się ojciec podziewał? — mówi syn poirytowanym głosem. — Już myślałem dzwonić na milicję. I nie czekając odpowiedzi wraca przed telewizor. Synowa rzuca sztućce do zlewu, stawia na gazie garnek z zupą: — Niech ojciec sobie sam przypilnuje, bo ja mam zaraz film. Należy uprzedzać, że się nie będzie na obiedzie — dodaje z pretensją. I nie zniżając zbytnio głosu uspokaja sama siebie: — Co tam taka stara ameba wie...

Stary Człowiek siada w kuchni i zjada zupę. Zmarzł i bolą go

nogi. Serce bije nierówno, z trudem oddycha. Na oknie siedzi kot i obserwuje go zmrużonymi ślepiami. Jestem tchórzem — mówi Stary Człowiek do kota — boję się, rozumiesz? Wszystkiego. Nigdy się stąd nie wyrwę.

Leżąc w łóżku Stary Człowiek wzdycha z ulgą. Nareszcie jest mu ciepło i może zastygnąć w bezruchu. Usypiając marzy, że siedzi w pociągu, do którego dziś nie wsiadł, i odjeżdża z tego domu na zawsze. Na dalekiej stacji ktoś nieistniejący wbiega do wagonu i bierze go w objęcia: „Tatusiu! Nareszcie przyjechałeś. Mam ci tyle do opowiedzenia. I ty nam będziesz opowiadał, opowiadał..."

Telewizor zgaszony. Wszyscy śpią. Kot śni coś miłego i ciemna kuchnia wypełnia się mruczeniem.

*

Co pewien czas prasa przynosi wstrząsające reportaże o gehennie Starych Ludzi, którzy, zapomniani i opuszczeni, spędzają ostatni okres życia w niewiarygodnej nędzy i zaniedbaniu. Ta ciemna plama na sumieniu społeczeństwa wciąż zbyt słabo i sporadycznie jest oświetlana, a wysiłki zmierzające do poprawy ich losu przeważnie noszą znamiona akcyjności. Równie zawstydzające i smutne są warunki ich bytowania w większości domów opieki. Składa się na to brak personelu, niedostatki budżetowe i inne tak zwane trudności obiektywne. I zaiste nasuwa się pytanie, dlaczego mielibyśmy poświęcać szczególną uwagę komuś, kto w porównaniu z tamtymi ludźmi żyje w luksusie. Wszystkie podstawowe potrzeby: czysto, ciepło, zupa, herbata, rodzina... Słusznie. I nie zapominajmy o kocie, jedynym rozmówcy.

Problem samotności Ludzi Starych w przeciętnej, w miarę kulturalnej rodzinie, nie jest spektakularny. Dbałość o ich zewnętrzne potrzeby, brak głośnych awantur wystarcza, aby dalsze otoczenie miało dobre samopoczucie. Nikt nie wnika w to, co dzieje się w ciszy. A tym bardziej w to, co się n i e dzieje.

Jak prześledzić nieuchwytne tropy spojrzeń, intonacji głosu, niedomówień, podszytych lekceważeniem gestów i min, które na przestrzeni miesięcy i lat potrafią zepchnąć Starego Człowieka do rzędu przedmiotów? Nie ma tu nic konkretnego, nic, co można by wskazać palcem.

W środowisku rodziny kulturalnej ludzie, którym nieobce są zagadnienia etyki i psychologii, w milczeniu dokonują na najsłabszym i najbliższym człowieku bezkrwawej operacji, której pomyślny wynik nazwać można wtrąceniem w wyrafinowaną izolację. Nie zamierzam tu nikogo demonizować. Nie jest to bynajmniej akcja zaplanowana, nikt nie rozdziela ról, nie ma reżysera. Szczery i spontaniczny byłby odruch oburzenia, gdyby ktoś zechciał dotknąć tych spraw ze stanowiska rzecznika Starego Człowieka. Rodzina jest uczciwie przekonana o prawidłowości układu. Matka nie wychodzi do gości, bo ludzie ją męczą. Ojciec milczy przy stole, bo nie rozumie

obecnych problemów. Nie warto opowiadać im czegokolwiek, bo zaraz się zacznie: „Za moich czasów..." Kto ma czas na wysłuchiwanie tego? I po co?

Dawniej, gdy rodzina wielopokoleniowa żyła razem w mniejszym niż dziś zagęszczeniu, w mniejszym uzależnieniu (szczególnie kobiet) od przymusu pośpiechu, nie tak nękana stresami, wolna od telewizji — Starzy Ludzie zajmowali w niej poczesne miejsce nie tylko z racji podeszłego wieku, który sam przez się dawał przywilej doznawania szacunku, ale również dla swojej atrakcyjności. Dziadek i babcia byli kopalnią wiadomości o dawnych czasach, o dziejach rodziny, o przeszłości, z którą ludzie młodsi czuli się związani w oczywistym przeświadczeniu, że z tej gleby wyrośli. Dzisiejszy człowiek, zafascynowany przemianami społecznymi, postępem techniki i wielością kontaktów ze światem, często traci poczucie tego zakorzenienia, nie zdając sobie sprawy, jakich sam siebie pozbawia wartości.

Współczesna rodzina, mimo że nie czuje się winna, przytacza wiele słusznych argumentów na swoją obronę. Osadzeni w trudnej rzeczywistości, walczą o byt. Walczą z zewnętrznymi warunkami, ze zmęczeniem, z brakiem czasu, osaczeni dziesiątkami pilnych konieczności. Argumenty Starego Człowieka — gdyby zechciał je wysunąć — nie mają żadnych szans w tej konkurencji. Czy można skutecznie przeciwstawić szept i uczucia przemożnym koniecznościom rzeczywistości? A z drugiej strony — czy będąc aktywną cząstką tej rzeczywistości można pojąć, że równolegle istnieje inna? Też niepomiernie trudna.

W pewnym momencie życia Stary Człowiek zdaje sobie nagle sprawę, że jest stary. Proces starzenia się postępuje na ogół niezauważalnie do chwili, gdy jakiś drobny nieraz fakt podsumowuje to wszystko, co już się dokonało, co jest nieodwracalne. Trzeba spojrzeć na siebie trzeźwo i zaakceptować w tej nowej postaci. Więcej — trzeba oswoić się z myślą, że może być już tylko gorzej. W tej przełomowej chwili szczególnie ostro odczuwa się własną obcość wśród ludzi. Niemal każdy bowiem był kiedyś chory, niemal wszyscy znają ból głowy, zęba, gorączkę, nudności. Nie trzeba wiele wysiłku, by współczuć z chorym. Wystarczy przypomnieć sobie własne przeżycia, nim powróciło się do zdrowia. Ale nikt nie był kiedyś stary. Z tego stanu nie ma powrotu. To w ludziach młodszych budzi lęk i odrzuca, bo ukazuje własną, nie tak już odległą przyszłość. A jednocześnie właśnie z braku doświadczenia zawodzi zdolność współczucia. Nie mówiąc już o tym, że obcując ze Starym Człowiekiem wyczuwamy obecność trzeciego partnera — śmierci. Czy nie z powodu lęku i niewiedzy staramy się zakląć Ludzi Starych w milczące przedmioty?

Znaczenie rodziny w życiu Ludzi Starych niewiele ustępuje znaczeniu jej w życiu dziecka. Natomiast w przeciętnym odczuciu rodziny jest ona niezbędna tylko dla dziecka. I tylko dziecko jest niezbędne dla niej. Stary Człowiek stopniowo staje się niepotrzebny, więcej — jest uciążliwy. Rodzice, którzy z rozczuleniem mówią, że Jasio stłukł filiżankę, bo taki był kochany, że chciał tatusiowi przynieść herbatę, w analogicznej sytuacji, gdy filiżankę stłucze matka tatusia, stwierdzają, że chwili spokoju nie ma w tym domu, bo babcia do wszystkiego się wtrąca, a ma dwie lewe ręce. Jeżeli dziecko boi się czegoś niespercyzowanego i szuka oparcia w rodzicach, jest to dowodem jego wrażliwości i spotyka się z czułą chęcią uspokojenia; ale dziadek ma po prostu starcze urojenia i mógłby nie zawracać głowy głupstwami. Niedostatek wyobraźni nie pozwala zdać sobie sprawy, że jedna z najdotkliwszych dolegliwości psychicznych podeszłego wieku jest lęk. Czy lęk ten jest uzasadniony? Zbędne pytanie. Wystarczy, że jest. Ale gdyby ktoś upierał się przy nim, odpowiedź brzmi: tak.

Już sama świadomość niesprawności, postępującej w stronę zniedołężnienia, wystarczy do powstania stałego uczucia zagrożenia. Uczucie to spotęgowane jest jeszcze obawą stania się ciężarem dla najbliższych, tak ze względu na nich samych jak i z uwagi na niepewność albo — przeciwnie — pewność, jak przyjmą ten nowy stan rzeczy. Tak więc przyszłość, z którą zawsze łączy się mniej lub więcej realne nadzieje, w Ludziach Starych budzi lęk nie tylko dlatego, że widzą nieuchronne zbliżanie się śmierci. Przeraża ich cała przewidywana sceneria poprzedzająca zwykle odejście z życia. Lęk budzi w nich również chwila obecna — ta rzeczywistość tak hałaśliwa, wirująca w coraz zawrotniejszym tempie, w miarę jak własne reakcje stają się coraz powolniejsze, rzeczywistość niezrozumiała i obca. Odrzucająca tych, co nie nadążają. Myśląc o swojej przeszłości — często bardzo aktywnej, której owoce służą jego dzieciom i wnukom — Stary Człowiek z trwożnym niedowierzaniem porównuje tamto życie ze stanem, w jakim znalazł się dzisiaj. Stanem zależności, skrępowania, nieżyczliwego tolerowania przez bliższe i dalsze otoczenie. (Wewnętrzne przekonanie o moralnym obowiązku otaczania opieką tych, którzy są słabi i niesprawni, znika z naszego życia coraz powszechniej, czego licznych przykładów dostarcza choćby potoczna obserwacja kolejek.) Do lęku dołącza się stałe uczucie fizycznego i psychicznego znużenia. Najprostsze czynności dnia codziennego, które ludzie młodsi wykonują mimochodem, dla Starego Człowieka stanowią problem, poczynając od powzięcia decyzji zrobienia czegoś, na wykonaniu tego kończąc.

Obok lęku i znużenia, Starego Człowieka gnębi smutek. Ta część życia, w której wiele można jeszcze zmienić, naprawić, okres, kiedy można jeszcze niejedno planować i spodziewać się niejednego — przeminął. Chwilowe zrywy aktywności, chęci nauczenia się czegoś, poznania nowego kończą się najczęściej powrotem do jeszcze głębszej niż poprzednio apatii.

Takie usiłowania, oprócz tego, że wymagają wielkiego wysiłku, nie spotykają się również z życzliwym przyjęciem rodziny. Bo i po co mu to? Siedziałby spokojnie w kącie, jak mu dobrze. Zdarzają się oczywiście wyjątki — ludzie odbarzeni dużą witalnością, ciekawością życia i świata potrafią do ostatnich chwil prowadzić intensywne życie umysłowe i nie dają się zniechęcić myśli, że być może do niczego im to nowo nabyte poznanie już nie posłuży.

Smutek Starego Człowieka ma też źródło w coraz większej pustce wokół niego. Umierają krewni, przyjaciele, znajomi. A nie ma ich kim zastąpić. W starszym wieku niełatwo nawiązuje się nowe znajomości, nie mówiąc o przyjaźni. W samotności swojej Stary Człowiek czuje się otoczony widmami, które nieraz zdają mu się realniejsze niż żywi ludzie.

Dla wielu oparciem w tym okresie życia jest wiara. „Nie odrzucaj mnie w czasie starości, gdy ustanie siła moja, nie opuszczaj mnie!" — ta przejmująca prośba rozbrzmiewa od wieków w każdym pokoleniu. Być może jednak nigdy nie było w niej tak powszechnie obecnego akcentu rozpaczy, jak dzisiaj. Stary Człowiek, pozbawiony społeczności z rodziną, często pozbawiony jest też więzi ze społecznością wierzących. Odległość od kościoła, trudności z chodzeniem, choroba, pogorszenie wzroku i słuchu, to najczęstsze przyczyny wyobcowania ze społeczności niekiedy równie bliskiej i ważnej, jak rodzina. Nierzadko, kiedy wzrok zawodzi, odjęta mu jest nawet pociecha codziennego bezpośredniego kontaktu z Biblią. Wszystko to wpływa na pogłębienie uczucia absolutnej samotności.

Świat Ludzi Starych — bardziej obcy niż egzotyczne kraje. Świat badany przez gerontologów uzbrojonych w szkiełko i oko. (Zalecenia: umiarkowana aktywność, higieniczny tryb życia, witaminy, dieta...) Omijany przez tych, którym niepotrzebny jest warsztat poznawczy, by przeniknąć dalej i głębiej w świat swoich własnych Starych Ludzi, tam, dokąd nie docierają i gdzie nie mogą pomóc witaminy. Gdzie trzeba tylko jednego: „... i choćbym miał pełnię wiary, tak żebym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym. I choćbym rozdał całe mienie swoje, i choćbym ciało swoje wydał na spalenie, a miłości bym nie miał, nic mi to nie pomoże" (I Kor. 13:2—3). Miłość, którą otrzymaliśmy niegdyś w rzetelnej walucie, zmieniła się w naszych rękach w „miedź dźwięczącą", którą Dziś odpłacamy za Wczoraj.

Stary Człowiek patrzy przez okno. Dwie osiedlowe alejki rozwidlają się w trójkąt. Jedna odchodzi kręto pomiędzy domami ku sklepom i autobusowym przystankom. Tędy powraca przeszłość. Ci, których kochał, przez których cierpiał, jawią się w mglistych zarysach pośród przechodniów, z upływem czasu coraz bardziej nieuchwytni. Zdarzenia, triumfy, klęski — czy były ongiś częścią prawdziwego życia? Wszystko traci swoją rzeczywistość, kształt i kolor, rozsypuje się pod dotykiem pamięci jak zleżały do cna materiał. Zamknięte w milczeniu — wspomnienia umierają. Po to, by żyły, muszą ujrzeć swoją postać odbitą w zwierciadle, w miłujących oczach słuchającego.

Druga alejka zmierza prosto ku widniejącym na horyzoncie polom. Prawie nikt tamtędy nie chodzi. Stary Człowiek widzi siebie niknącego w oddali, samotną postać odchodzącą w milczeniu na zawsze. Tak to sobie wyobraził godzinami patrząc przez okno, wytrącony ze wspólnoty, która za jego plecami tętni życiem. Druga alejka przejmuje go zgrozą. To uczucie — w przeciwieństwie do wspomnień — nabiera mocy i barwy w zamknięciu milczenia. Na to, by je złagodzić, potrzeba drugiego człowieka, z którym można by podzielić ten lęk. Podzielić się nim w miłości — jak chlebem.

Jeszcze o Peszke-Traugottach

W nr. 6/1984 „Jednoty" ukazał się mój szkic pt. „Popularyzator dziejów ojczystych", poświęcony postaci Ignacego Peszke. Jak sygnalizują Czytelnicy, pewne moje sformułowania dotyczące rodowodu rodziny Peszke są niejasne, dlatego czuję w obowiązku podać następujące uzupełnienie:

Peszkowie, rodzina pod koniec XVIII wieku jeszcze saska, używali podwójnego nazwiska Peszke-Traugott. Jako ostatni podpisywał się tak wspomniany w artykule Samuel Peszke, który pod koniec życia osiadł w Polsce. Jego synowie zarzucili w nazwisku człon „Traugott" i odtąd podpisywali się już tylko jako Peszke.

Wspomniałem także luźno, iż ciekawe jest, czy Traugottowie mogą mieć coś wspólnego z Trauguttami, gdyż wiadomo, iż w czasach dawniejszych, pewnie w XVII wieku, Trauguttowie przywędrowali na Litwę z Niemiec. Może wówczas pisali się nieco inaczej, właśnie Traugottowie, przez co powstałoby bardzo odległe pokrewieństwo między rodziną Trauguttów i Peszke. Ale, jak wspomniałem w swym szkicu, niestety nic więcej na ten temat nie wiemy.

Marek Ruszczyc

EWA POKORSKA

Dom Opieki w Dzięgielowie

Dom stoi na wzgórzu w Beskidzie Śląskim, kilka kilometrów od Cieszyna. Jest nowoczesny, jasny, czysty, i wygląda raczej jak hotel lub luksusowy ośrodek wypoczynkowy. Mieści się w nim od trzech lat Dom Opieki „Emaus", prowadzony przez siostry z diakonatu ewangelickiego „Eben-Ezer" (Kościół Ewangelicko-Augsburski). Nim został wybudowany, poświęcony i oddany do użytku ten nowy piękny obiekt, siostry prowadziły podobną placówkę na Szczukówce, niedaleko stąd. Tamta była przewidziana na 30 miejsc. W nowym — rozległym, dwupiętrowym — budynku mieszka 64 pensjonariuszy, są poza tym mieszkania dla pastorów-emerytów, a czasowo przebywają w nim również siostry z diakonatu, gdyż ich dom macierzysty jest w budowie; stary, drewniany, został niedawno rozebrany, czego siostry zdają się żałować. Były do swojego „drewniaczka" bardzo przywiązane.

Kiedy patrzyłam na twarze ich podopiecznych, zadawałam sobie pytanie — do czego i kogo oni byli przywiązani, co zostawili tam, skąd przybyli, czego żałują, do czego tęsknią? Spędziliśmy w Dzięgielowie zaledwie kilka godzin — to za mało, by nawiązać z nimi bliższy kontakt, poznać ich odczucia, pragnienia czy tęsknoty. Wśród 64 starych i bardzo starych ludzi (większość przekroczyła 80, a niektórzy 90 rok życia) są zupełnie samotni, ale są i tacy, którzy mają rodziny. Dlaczego tu się znaleźli?

Kryterium przyjęcia stanowi w zasadzie samotność lub trudne warunki materialne, przede wszystkim mieszkaniowe. Wnioski o przyjęcia kierują księża, siostry zaś starają się każdy przypadek zbadać osobiście, przeprowadzić wywiad, sprawdzić, czy nie wchodzi w grę wyłącznie chęć pozbycia się starego człowieka. Ale co robić, kiedy sytuacja rodzinna i materialna nie kwalifikuje go do przyjęcia, a jednocześnie wspólne mieszkanie z rodziną powoduje ciągłe napięcia i konflikty, grozi jej rozbiciem? Zdarza się — mówią siostry — że syn staje przed koniecznością wyboru: żona albo matka. Dramatyczny to wybór, ale co robić? Odstępuje się wtedy od zasady, by ratować zachwianą trwałość małżeństwa i dzieci, a matka trafia do domu opieki.

Siostry bardzo starają się o to, by człowiek, który ma spędzić resztę życia w ich Domu, odczuł tę istotną zmianę jak najmniej boleśnie. Ludzie starzy źle znoszą wszelkie, nawet drobne zmiany, i siostry o tym wiedzą. Już w czasie pobytu tutaj ludzie przyzwyczajają się do swojego pokoju, do sprzętów, nawet do takiego, a nie innego ich ustawienia. Siostra Daniela opowiada o kobiecie, która była niezadowolona z mieszkania w pokoju dwuosobowym i bardzo chciała przenieść się do pojedynczego. Ciągle o to prosiła, przypominała, a kiedy wreszcie, po jakimś czasie, możliwość taka powstała, przestraszyła się perspektywą zmiany i sama zrezygnowała. Inna, gdy siostra przestawiła jej łóżko, gdyż sądziła, że tak będzie lepiej i wygodniej, nie mogła się uspokoić do chwili, aż łóżko wróciło na swoje miejsce.

Większość pensjonariuszy pochodzi ze wsi, z regionu Śląska Cieszyńskiego. W świadomości ludzi z tego środowiska tkwi lęk przed „przytułkiem", który kojarzy im się z czymś najgorszym. Siostry zadają sobie wiele trudu, by tych, którzy mają tu zamieszkać, „oswoić" przedtem z tą myślą, a nawet umożliwić im wcześniejsze obejrzenie ich nowego miejsca pobytu i rozmowy z przyszłymi współmieszkańcami. Najlepiej jest, gdy człowiek sam tego chce, gdy jest to jego własna decyzja. Nawet takie decyzje są jednak, jak sądzę, rzadko decyzjami z wyboru, częściej jest to po prostu konieczność, z którą człowiek się godzi.

Dom, jako żywo, przytułku nie przypomina. Pojęcie to kojarzy się z ubóstwem, brzydotą, szarością. Tu zaś mamy coś wręcz przeciwnego. Nowoczesność, funkcjonalność, wygoda, estetyka. Większość pensjonariuszy mieszka w pokojach dwuosobowych, jest też kilka czteroosobowych i kilka pojedynczych. Przy każdym jest toaleta. Łazienki zlokalizowane są oddzielnie, wyłożone pięknymi kafelkami, lśnią czystością. W każdej znajdują się dwie wanny, z których jedna usytuowana jest tak, by był do niej dostęp z trzech stron. W tej siostry kąpią te osoby, które nie są w stanie zrobić tego same, i nadzorują jednocześnie samodzielną kąpiel w drugiej wannie. Do domu przyjmuje się w zasadzie ludzi w podeszłym wieku, ale w miarę jeszcze sprawnych i zdolnych do samoobsługi. I od tej zasady zdarzają się jednak odstępstwa, a poza tym z biegiem lat sprawność starych ludzi maleje, przychodzą choroby, następują nieodwracalne zmiany. Są więc tu i tacy, którzy wymagają opieki prawie pielęgniarskiej, a w każdym razie pomocy przy najprostszych czynnościach, jak mycie czy jedzenie. Od kolejnej zasady siostry nie odstępują bowiem nigdy — nie przekazują chorych i niesprawnych innym placówkom opiekuńczym. Ten Dom pozostaje ich domem do końca.

Na miejscu jest świetnie wyposażony gabinet lekarski i dentystyczny. Lekarz przychodzi regularnie dwa razy w tygodniu i dodatkowo na każde wezwanie, raz w tygodniu przyjmuje dentysta i raz w miesiącu okulista.

Pokoje wyposażone są standardowo — ładnie i wygodnie, ale trochę bezosobowo. Można tu jednak mieć jakiś własny, szczególnie ulubiony mebel (np. fotel), obrazy, fotografie bliskich i różne drogie sercu drobiazgi. Ale jest tego niewiele, i to raczej w pokojach pojedynczych.

O godzinie piątej po południu jest kolacja. Wcześnie, ale mieszkań-

Dom wygląda jak hotel albo luksusowy ośrodek wypoczynkowy (foto: J. S.)

cy Domu wcześnie wstają, prawie „z kurami" i wcześnie chodzą spać. Kolorowy telewizor przyciąga niewielu, większość rozchodzi się po pokojach, nieliczni spacerują.

Co robią przez całe dnie ci ludzie? Czym wypełniają czas? — Życie starego człowieka ma inny rytm — mówi siostra Daniela. Każda czynność wykonywana jest wolniej. Sama poranna toaleta — mycie, ubieranie się, słanie łóżka — zajmuje o wiele więcej czasu niż człowiekowi jeszcze młodemu, który robi to jakby mimochodem.

Chętnie widziana jest pomoc pensjonariuszy przy takich pracach, jak sprzątanie, pielęgnacja kwiatów, których jest tu sporo, obieranie ziemniaków czy lżejsze prace ogrodnicze. Niektórzy opiekują się mniej sprawnymi, ale chodzącymi współmieszkańcami, wszelkie czynności przy chorych leżących wykonują jednak siostry. Natomiast wszystkich, których stan zdrowia na to pozwala, obowiązuje zasada samoobsługi, bezczynność i bezruch są bowiem dla starych ludzi zabójcze. Sporo kobiet zatrudnionych jest przy darciu pierza, niektóre lubią tę pracę i wykonują ją przez kilka godzin dziennie. Jedna przędzie na własnym kołowrotku, kilka szydełkuje, robi na drutach.

Codziennie wszyscy spotykają się na wspólnych półgodzinnych rozmyślaniach, a dwa razy w tygodniu na wspólnej lekturze i śpiewaniu pieśni. Odbywa się to pod kierunkiem sióstr i osób świeckich, a w śpiewaniu prym wiodą niewidomi, bo jest tu kilkoro takich obdarzonych dobrymi głosami.

Słów nowych pieśni uczą się od innych, którzy im je powtarzają tak długo, aż zapadną im w pamięć. W każdą niedzielę odbywa się na miejscu nabożeństwo. Opodal, po drugiej stronie drogi znajduje się kaplica dla okolicznej ludności, wielu pensjonariuszy chodzi i tam na niedzielne nabożeństwa.

Poza siostrami, których jest dwanaście, w Domu pracuje kilka osób świeckich i kilka uczennic — dziewcząt, które ochotniczo wstępują tu na rok służby, przy czym nie wszystkie cały rok w niej pozostają — odchodzą wcześniej. Bezpośrednio przy pensjonariuszach zatrudnione są trzy siostry oraz siostra Daniela, która ma w swej pieczy całość spraw z tym związanych. Inne zajmują się sprawami administracyjnymi i gospodarczymi, sporo czasu pochłania też doglądanie budowy nowego domu macierzystego i prowadzenie punktu aptecznego.

Siostra Daniela opowiada o nocy, którą przed laty spędziła w jednym pokoju z trzema ciężko chorymi starymi kobietami. Próbowała sobie wtedy wyobrazić, że jest jedną z nich, próbowała się z nimi zidentyfikować, z ich starością, cierpieniem i osamotnieniem. Było to bardzo trudne, nie sposób tego trudu i tego wysiłku, i tej woli utożsamienia się z drugim człowiekiem opisać. Nigdy tej nocy nie zapomni, nie zapomni tego, czego wówczas doznawała... Siostra Daniela dużo i chętnie opowiada o swoich podopiecznych. Od dawna pracuje przy starych ludziach, przedtem była w Węgrowie. Tamten dom był dużo mniejszy, tu są 64 osoby, a każda inna. O wszystkich mówi z miłością, ale chyba pierwsze miejsce w jej sercu zajmuje Paweł.

Paweł jest niemową. W jego brzydkim, nieproporcjonalnym ciele kryje się niezależna, rogata dusza wiecznego samotnika. Siostry opiekują się nim od blisko trzydziestu lat, a on tę opiekę przyjmuje na tyle, na ile chce. Nie podporządkował się niczemu i nikomu. Na Szczukówce mieszkał w szopie ze stadem kotów. Tak chciał i siostry się z tym pogodziły. Kiedy nadszedł moment przeprowadzki do nowego domu, za nic nie można go było do niej nakłonić. Mając do wyboru zastosowanie przymusu lub pogodzenie się z jego wolą, siostry zostawiły go na starym miejscu, czuwając nad nim z daleka. Zmogły go wreszcie zimno i niepogoda, kiedy nadeszła zima.

Dostał pokój na parterze z drugim wejściem bezpośrednio z ogrodu, co mu pozwala na pełną niezależność. Jada sam, w kuchni, często sam sobie nawet gotuje. Mieszka tu, ale żyje obok całej zbiorowości. Uznaje tylko jedną z sióstr, reszta dla niego nie istnieje. No i kocha koty. Może dlatego, że jak on sam, chadzają podobno zawsze własnymi drogami? A może nie miał kogo pokochać? Nim go siostry przygarnęły, był bezdomny i samotny. W gruncie rzeczy pozostał samotny do dziś. Z wyboru czy z konieczności?

Potrzeba miłości i przyjaźni jest jedną z najsilniejszych potrzeb psychicznych każdego człowieka. Niektórzy ją tu realizują. 48-letni niedorozwinięty umysłowo Jarek znalazł tu przyjaciela, który ma lat 70. Są nierozłączni, czasem się wprawdzie pokłócą, ale w gruncie rzeczy świetnie się rozumieją. Nasi „chłopcy" — mówią o nich siostry. Wzruszająca jest przyjaźń pa-

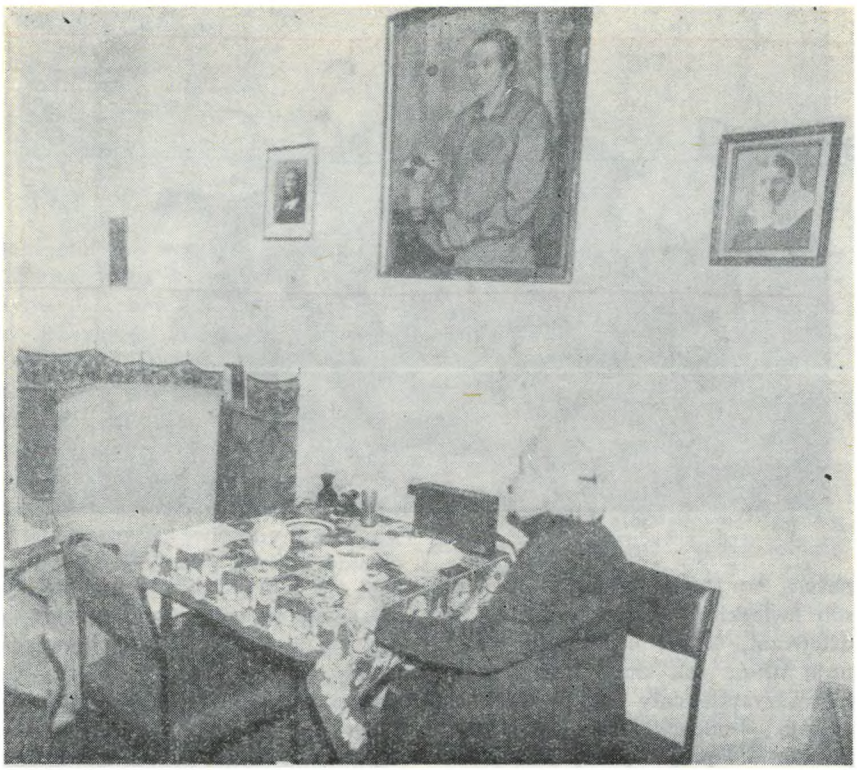

W pokoju można mieć własne meble, obrazy, fotografie i inne drogie sercu drobiazgi (foto: J. S.)

ry innych staruszków — on ma 80 lat, przed jej przybyciem tutaj ciężko chorował i wydawało się, że już z tego nie wyjdzie. Przyjaźń, a może jesienna miłość, postawiła go na nogi. Oboje sobie pomagają, wspierają się wzajemnie, wszędzie widzi się ich razem. A inni?

Wydaje się, że pensjonariusze Domu „Emaus" mają wszystko. Żyją w warunkach, które bez przesady można nazwać luksusowymi, otoczeni są serdeczną, troskliwą opieką sióstr, niczego im więc nie brakuje. Czy rzeczywiście niczego? Przez cały czas nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ci ludzie są tu nie na swoim miejscu. Że miejsce starego człowieka jest w rodzinie, wśród dzieci, wnuków — ludzi bliskich i w różnym wieku. Te babcie w chusteczkach na głowach chciałoby się widzieć w zupełnie innym otoczeniu. Tu są jak stare drzewa przesadzone z lasu i zgromadzone obok siebie w warunkach cieplarnianych, ale innych niż te, w których żyły przedtem.

W różnych kulturach istniał różny model stosunku do starców. W naszym kręgu kulturowym przeważał zawsze obowiązek szacunku dla siwej głowy, mądrości i doświadczenia związanych z wiekiem. Ci, którzy oglądali znakomity japoński film „Narajama", wstrząśnięci byli okrucieństwem pokazanego tam obyczaju, panującego niegdyś w północnej Japonii — z chwilą ukończenia 70 lat ojciec (także matka) wnoszony był przez syna na szczyt Narajamy i tam pozostawiany na śmierć z głodu i zimna. Było to podyktowane warunkami ekonomicznymi, panował głód i w ten sposób regulowano liczbę ludzi, eliminując tych, którzy żyli za długo. Każdy powie, że to bezwzględne i straszne. Ale wielu z tych, którzy to powiedzą, uzna za normalne i usprawiedliwione oddanie ojca lub matki do domu starców, bo mają nieduże mieszkanie, a dzieci dorastają i potrzebują więcej przestrzeni. Czy dom opieki, na który skazują swoich rodziców, nie jest w gruncie rzeczy jakimś szczególnym rodzajem japońskiej Narajamy?

Dzięgielów pozostawił we mnie uczucia mieszane. Dom jest prowadzony wzorowo, siostry oddane swoim podopiecznym całym sercem, i należałoby sobie życzyć, by inne tego rodzaju placówki miały podobny standard i zapewniały taką opiekę. Ale jednocześnie jest coś przygnębiającego w zbiorowości tworzonej wyłącznie przez starych ludzi. Nieodparcie narzuca się myśl, że otoczenie, w którym żyją, nie jest ich środowiskiem naturalnym. Wraca pytanie, dlaczego ci, którzy mają rodziny i są jeszcze dość sprawni, znajdują się tutaj, a nie wśród swoich bliskich?

Problem jest zapewne złożony. Domy opieki są bez wątpienia potrzebne, nawet konieczne. Są ludzie wymagający stałej opieki, której rodziny naprawdę nie są w stanie im zapewnić. Na wiele godzin wszyscy wychodzą do pracy, a babci czy dziadka nie można samego zostawić w domu. Spotkałam kiedyś wieczorem na ulicy staruszka, który zabłądził. Nie wiedział, gdzie jest, nie umiał podać

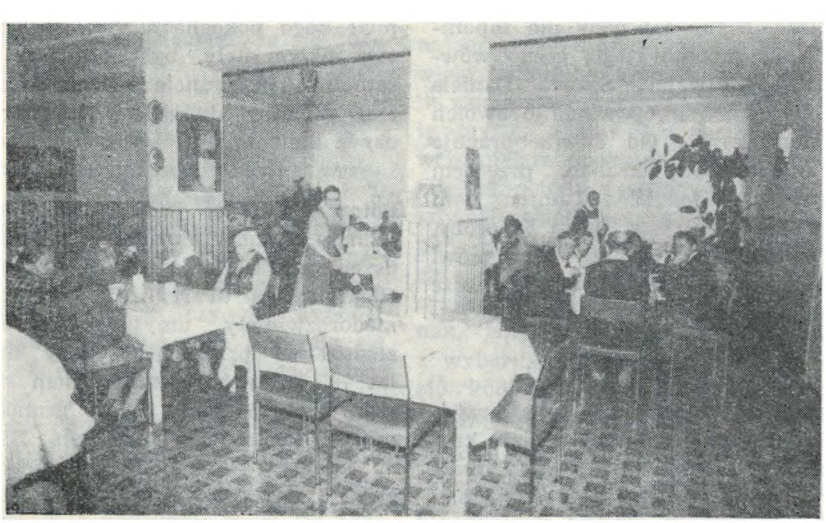

Pensjonariusze przy kolacji (foto: J. S.)

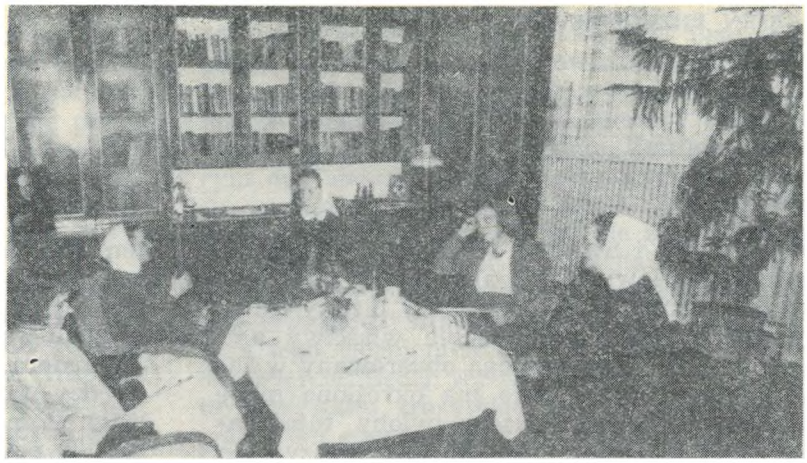

Siostry z miłością mówią o swoich podopiecznych; od lewej: s. Lidia (przełożona diakonatu), s. Daniela i s. Ruta (foto. J. S.)

nazwiska ani adresu. Szedł z trudem, więc należało domniemywać, że daleko od domu nie odszedł. Uliczka była niewielka i po kilkudziesięciu krokach zaczął rozpoznawać domy, wreszcie poznał i swój. Po drodze rozmawialiśmy. Mówił, że jest sam, że ma wprawdzie dwie córki, ale jedna mieszka aż we Wrocławiu, a druga sama jest chora i go nie odwiedza. Dotarliśmy do jego mieszkania i nim znalazł klucze, drzwi się otworzyły, a w progu stanęła... jego córka, która czekała zdenerwowana nieobecnością ojca. Okazało się, że mieszkają razem. Ona pracuje, i to daleko. Około 10 godzin dziennie ojciec jest w domu sam. Drży o niego, gdyż jest chory i traci pamięć. Przed wyjściem do pracy zakręca gaz, bo już raz omal się nie zatruł. Zostawia mu kanapki i herbatę w termosie, obiad przyrządza późno, po powrocie z pracy. Błaga ojca, by nie wychodził, gdy jej nie ma. On nie słucha. Kiedy go zamyka i zabiera klucze, ojciec ma żal, że traktuje go jak więźnia. Jeśli tego nie robi, skutki są takie jak dzisiaj — błąka się po ulicach, zdarzało się, że docierał do odległych dzielnic, wreszcie ktoś go przyprowadzał. Porusza się z trudem, a jeśli się przewróci, jeśli wpadnie pod samochód lub nikt się nim nie zainteresuje i przyjdzie mu spędzić noc na dworze? Ojciec broni się przed myślą o domu opieki, ale co ja mam robić? — pytała zrozpaczona kobieta.

Są również ludzie starzy autentycznie samotni, którzy do czasu jakoś sobie radzą sami lub z pomocą na przykład sąsiadów. Pomoc taka bywa jednak zawodna, a poza tym przychodzi wreszcie moment, kiedy takie doraźne świadczenia nie wystarczają. Trzeba opuścić swój dom i przenieść się do innego, w którym nie będzie się u siebie i w którym, w lepszych lub gorszych warunkach, wśród takich samych starych zniedołężniałych ludzi spędzi się resztę życia.

Nawet warunki bardzo dobre nie pozbawiają takiego domu piętna miejsca, które jest rodzajem getta i z którego nie ma powrotu. Starość „pojedyncza" jest czymś normalnym — powiedziała jedna z sióstr — „zmasowanie" starości odbiera jej tę cechę.

Czy nie ma innych rozwiązań? Są, ale trudno o nich mówić w naszych warunkach, skoro to, co jest, nie wystarcza w stosunku do potrzeb.

Oprócz „Emaus" ewangelicki diakonat żeński prowadzi jeszcze trzy domy: w Miechowicach, w Węgrowie i Dom „Tabita" pod Warszawą. Wszystkie razem mogą pomieścić 140—150 pensjonariuszy. W kolejce do „Emaus" czeka około 30 kobiet. A jak jest w innych placówkach opiekuńczych — i tych kościelnych, i państwowych? Wszędzie brak miejsc. Wiadomo zaś, kiedy miejsce się zwalnia. To brzmi brutalnie, ale taka jest prawda — ktoś czeka, aż ktoś inny umrze, a potem z kolei na miejsce po nim będzie czekał ktoś trzeci i tak dalej...

Wizja starości jest u nas raczej ponura, zwłaszcza starości samotnej. Ale samotność nie zawsze oznacza brak rodziny i bliskich. W rodzinnym domu stary człowiek też często żyje w izolacji i osamotnieniu. Problem nie polega tylko na brakach natury materialnej. Nie mamy rodzimej Narajamy i japoński obyczaj jest obcy naszej kulturze. Ale odchodzi też w zapomnienie model rodziny i społeczeństwa, w którym starość cieszyła się należnym jej szacunkiem, a młodość czerpała z jej źródła. W jakimś sensie zbliżamy się chyba do modelu Narajamy, uznając starych ludzi w pewnym momencie za niepotrzebnych, a tym samym wydając na nich wyrok, po którym ich życie staje się już tylko powolnym umieraniem. Dlaczego tak się dzieje, to zupełnie inna historia. Warto jednak, byśmy my, chrześcijanie, pamiętali o nakazie biblijnym: „Przed siwą głową wstaniesz i będziesz szanował osobę starca; tak okażesz bojaźń Bożą..." (3 Mojż. 19:32).

Te babcie w chusteczkach na głowach chciałoby się widzieć w innym otoczeniu (foto: J. S.)

MARCIN PRZECISZEWSKI

W słabości siła

Ruch „Wiara i Światło" wychodzi z założenia, że każdy człowiek, niezależnie od tego, czy jest biały czy czarny, bogaty czy biedny, zdrowy czy chory, posiada sobie właściwy dar. Że każdy został przez Boga obdarowany w inny sposób i wobec tego ma określoną misję do spełnienia. Paradoksem byłoby tutaj jakieś wartościowanie — ten jest lepszy, ten gorszy. Każdy jest po prostu inny i do czego innego powołany. Nie ma więc ludzi bardziej i mniej potrzebnych. W Bożym planie wszyscy są równi.

Cywilizacja, w której żyjemy, zmusza nas do oceniania ludzi zależnie od przyjętych, czy też odgórnie narzuconych, kryteriów. W jednych krajach ocenia się ludzi zależnie od posiadanej przez nich ilości pieniędzy, w innych natomiast według tego, ile pracy są w stanie wykonać. Wszędzie powstaje ogólnie akceptowana hierarchia społeczna, gdzie jedni są na górze, inni na samym dole. Zawsze jednak znajdą się ludzie, którzy nie zmieszczą się w takim modelu. W naturalny sposób wypadną poza margines życia społecznego. Będą to ci, którzy nie są w stanie zaofiarować wymaganych wartości. W naszym kręgu kulturowym należą do nich między innymi ludzie niepełnosprawni, a w szczególności upośledzeni umysłowo. Na pierwszy rzut oka są oni wręcz zaprzeczeniem powszechnie uznanego systemu wartości. Charakteryzuje ich przecież brak inteligencji, nieskuteczność w działaniu i zewnętrzna brzydota.

*

Mniej więcej dwadzieścia lat temu, dobrze zapowiadający się doktor filozofii, Jean Vanier, postanowił zerwać ze swoim dotychczasowym życiem i żyć odtąd w chrześcijańskiej wspólnocie. Porzucił więc katedrę uniwersytecką w Toronto i przeniósł się do Europy. Bardzo pragnął, aby jego wspólnota była mocno zakorzeniona w Ewangelii. Doszedł do wniosku, który był dla niego w pewnym sensie objawieniem, że prawdziwa wspólnota polega przede wszystkim na przyjęciu człowieka takim, jaki jest, wraz z tym wszystkim, co w nim dobre i złe. I że w gruncie rzeczy, bardziej niż szczęście i radość łączy ludzi wspólnie przeżywane cierpienie.

Pod wpływem swojego dawnego przyjaciela, starszego dominikanina ojca Thomasa Philippe, Jean Vanier postanowił założyć wspólnotę wespół z upośledzonymi umysłowo. Zakupił więc niewielki dom w miasteczku Trosly odległym o 70 km od Paryża. Zamieszkał tam razem z dwoma przyjaciółmi upośledzonymi w ten właśnie sposób. Dalszy rozwój tej małej wspólnoty był potwierdzeniem ewangelicznej prawdy, że „kamień odrzucony przez budowniczych stał się kamieniem węgielnym". Atmosfera wspólnoty, jaka zapanowała pomiędzy tymi trzema ludźmi, wkrótce przyciągnęła następnych. Jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać w sąsiedztwie następne, tak że po kilku latach prawie całe Trosly zostało przez nie opanowane. Analogiczne „ogniska" zostały przez Jeana Vanier zainicjowane w wielu innych krajach. Wspólnoty te przybrały nazwę „Arka" (l'Arche). Charakteryzują się tym, że żyje się tam pod jednym dachem z osobami upośledzonymi umysłowo w proporcji jeden do jednego.

Spośród upośledzonych trafiają tam najczęściej ci, którzy nie mają własnych rodzin, ci, którzy nie mają co ze sobą zrobić. Życie wspólnot l'Arche jest jak najbardziej zbliżone do normalnego. Wspólnie się mieszka, pracuje, przygotowuje i spożywa posiłki. Nie chodzi o to, aby tylko sprawować tam opiekę nad upośledzonymi, ale przede wszystkim o wzajemne partnerskie stosunki.

*

W końcu lat sześćdziesiątych pewne francuskie małżeństwo posiadające dwójkę upośledzonych umysłowo dzieci postanowiło wybrać się do słynnego sanktuarium Matki Boskiej w Lourdes. Mimo że jest to miejsce, gdzie dokonało się wiele uzdrowień, do którego ściągają chorzy z całego świata, rodzina ta nie została tam przyjęta. Obecność ich nadmiernie pobudzonych dzieci zakłócała podniosłą atmosferę odbywających się uroczystości religijnych. Przedstawiciel miejscowego duchowieństwa z pełną uprzejmości dyskrecją zaproponował rodzinie, aby nie opuszczała swojego pokoju w hotelu, gdzie regularnie będzie otrzymywać posiłki oraz wszystko, co jej potrzeba. Przerażeni rodzice z rozczarowaniem opuścili to miasto. Pojechali szukać pomocy do Jeana Vanier, gdyż słyszeli, że zupełnie inaczej traktuje on upośledzonych. Odpowiedź Vaniera była prosta: skoro nie chcą w Lourdes przyjąć waszej czwórki, pojedziemy tam w liczbie kilku tysięcy. Natychmiast przystąpiono do organizowania międzynarodowej pielgrzymki osób upośledzonych umysłowo. Na wieść o takiej „inwazji" całe Lourdes wyludniło się, sklepy zostały pozamykane w obawie przed ekscesami tych „niepoczytalnych". W pielgrzymce wzięło udział ponad 12 tys. osób upośledzonych, ich rodziców i przyjaciół. Żadne negatywne prognozy nie

sprawdziły się. Cały pobyt w Lourdes był czasem wielkiej radości i prawdziwym zesłaniem Ducha Świętego. Zawiązały się bardzo silne więzi. Grupy, które uformowały się podczas pielgrzymki, postanowiły nadal się spotykać w swoich miastach. Tak powstał ruch „Wiara i Światło".

*

W każdej wspólnocie „Wiary i Światła" znajdujemy ludzi upośledzonych umysłowo, ich przyjaciół i rodziców. Zazwyczaj każda z tych grup stanowi jedną trzecią członków. Wspólnoty „Wiara i Światło" w przeciwieństwie do L'Arche są tylko grupami spotykającymi się co jakiś czas. Ich członkowie żyją zazwyczaj we własnych rodzinach. Chodzi o tworzenie środowiska, dzięki któremu rodziny posiadające dzieci upośledzone mogłyby przezwyciężyć swoją izolację.
Znaczna większość rodziców ludzi upośledzonych nosi w sercu poczucie nieszczęścia i niezasłużonej krzywdy, że to akurat ich dziecko nie jest zdrowe. Otoczenie, poprzez negatywne reakcje lub obojętność, najczęściej wzmaga to poczucie. Nierzadkie są nawet wypadki, że rodzice przez całe lata nie wyprowadzają na ulicę swojego upośledzonego dziecka. Poczucie wyobcowania ze społeczeństwa pociąga za sobą wiele odchyleń osobowościowych, jak również często nawet powoduje negatywny stosunek do sprawcy tej sytuacji — samego upośledzonego. Rodziny takie żyją często w poczuciu winy, klęski życiowej, niezasłużonej kary. W takiej sytuacji często jakże trudno jest samym rodzicom zaakceptować upośledzonego syna lub córkę. Wspólnoty „Wiary i Światła" próbują być azylem dla takich rodzin. Celem działalności wspólnoty jest między innymi odkrycie rodzicom prawdziwej wartości ich dziecka. Gdy rodzice obserwują swoje, nieraz dorosłe już dzieci, na innej płaszczyźnie niż domowa, często zauważają w nich wiele wartości, których wcześniej nie dostrzegali. Niezwykle ważne jest również stworzenie więzi solidarności i przyjaźni pomiędzy samymi rodzinami.
Dużą część każdej wspólnoty stanowią przyjaciele. Są to zazwyczaj ludzie młodzi. Wbrew oczekiwaniom niezwykle rzadko spotyka się u nich nastawienie charytatywne. Zwykle twierdzą, że są w takiej grupie dlatego, że doznali niezwykłego przyjęcia ze strony upośledzonych. Często dodają, że było to pierwsze środowisko w ich życiu, gdzie zostali naprawdę przyjęci.
Rzeczywiście, osoby upośledzone umysłowo są zazwyczaj obdarzone szczególną wrażliwością uczuciową. Tak jak np. niewidomi mają nad wyraz rozwinięty zmysł dotyku, tak upośledzeni mają wyżej od przeciętnej rozwiniętą uczuciowość. Jedną z przyczyn jest zahamowanie rozwoju myślenia racjonalnego. Podchodząc do tej sprawy z chrześcijańskiego punktu widzenia, dochodzimy do wniosku, że otwarta uczuciowość jest szczególnym darem osób upośledzonych. Ma to bardzo duże znaczenie we wspólnocie. Człowiek upośledzony, jeśli znajdzie się w sprzyjającym środowisku, jest zwykle bardzo otwarty, szczery, okazuje każdemu bardzo wiele zaufania. Zaufanie, którym nas obdarza, wiąże się ze zobowiązaniem do wierności. Do tego, że twoja przyjaźń nie będzie jednorazowym aktem, ale że zostaniesz mu wierny. A to wcale nie jest takie proste.
W kontakcie z upośledzonym niezwykle ważne jest przyjęcie i zaakceptowanie go wraz z całym jego cierpieniem, które często jest bardzo wielkie. Będąc we wspólnocie, trzeba przede wszystkim zrozumieć, że upośledzenie nie jest tylko chorobą, ale nieuleczalnym stanem, którego nie da się zmienić. W tego typu kontakcie nie można oczekiwać sukcesu rozumianego jako powrót do pełnego zdrowia. Zrozumieć trzeba, że często największą pomocą, jaką możemy okazać upośledzonemu, jest po prostu bycie z nim i wejście w relację przyjaźni. Każdy przecież nawet bardziej niż zdrowia potrzebuje miłości, świadomości bycia potrzebnym i akceptowanym.

*

Każda wspólnota „Wiary i Światła" spotyka się co pewien określony czas. Niektóre grupy raz w miesiącu, niektóre dwa, jeszcze inne co tydzień. Miejscem spotkań jest sala przy kościele lub mieszkanie prywatne. Spotkanie grupy składa się zazwyczaj z trzech zasadniczych części: modlitwy, „święta" i „dzielenia się".
Wiele spotkań rozpoczyna się Mszą św. W tym momencie uwidocznia się, że ta wspólnota jest przede wszystkim wspólnotą w Chrystusie. Szczególne znaczenie dla ludzi upośledzonych ma liturgia, gdyż jest językiem gestów. Dla nich gest jest nieraz ważniejszy niż słowo. Często zaskakuje nas, jak głęboka jest ich religijność. Można powiedzieć, że wiara jest dla upośledzonych czymś pierwotnym. Tak jak każdy ma swojego ojca na ziemi, tak naturalne jest dla nich istnienie Ojca niebieskiego. W bardzo realny sposób przeżywają obecność Chrystusa. Ludzie upośledzeni niejako ze swej natury wykazują postawę ekumeniczną. Zupełnie nie rozumieją żadnych podziałów. Wszyscy są dziećmi jednego Ojca.
Tak zwane „dzielenie się" to czas, w którym każdy może powiedzieć coś o sobie, o tym, co u niego słychać. Nieraz bywają to rzeczy całkiem banalne: że ciocia miała imieniny, że popsuła się winda itd. Ważne nie jest jednak to, co zostało powiedziane, lecz fakt, że każdy został wysłuchany. Spotkanie jest zawsze wielkim świętem. Służy temu przygotowywane zazwyczaj przedstawienie teatralne czy inna zabawa. Chodzi o to, aby się wspólnie weselić, aby się dzielić przeżywaną radością. Doświadczenie pokazuje, że często o wiele łatwiejsza jest zabawa razem z upośledzonymi niż w jakimkolwiek innym środowisku. Fakt ograniczenia u nich myślenia racjonalnego ma tę pozytywną stronę, że są znacznie bardziej

spontaniczni, niejako uwolnieni od wielu barier i konwenansów, które hamują i ograniczają człowieka normalnego. Znacznie bardziej żyją w świecie emocji, co promieniuje na całą grupę.
Przebywanie z osobami upośledzonymi umysłowo uczy nas jeszcze jednej bardzo istotnej prawdy. Prawdy, która stwierdza, że słabość i cierpienie to nie tylko beznadziejna otchłań, ale że cierpienie ma swoją stronę pozytywną. Warunkiem jest jednak akceptacja i przyjęcie krzyża, który daje nam Pan. Tego uczy nas Ewangelia.

*

Pierwsza wspólnota „Wiary i Światła" w Polsce powstała wiosną 1978 r. we Wrocławiu. Następna niewiele później narodziła się w Warszawie. Obecnie jest ich dwadzieścia kilka w trzynastu największych miastach. Grupy te występują także pod nazwą „Muminki".*

Charakterystyczną cechą polskich grup jest fakt, że poza kilkoma wyjątkami, są to grupy głównie młodzieżowe, działające w środowisku studenckim. Słabością ich jest to, że do takiego modelu znacznie trudniej jest włączyć rodziców. Niekiedy funkcjonują oni tylko na obrzeżach grupy. Specyficzną cechą polską jest istnienie w ramach wspólnot małych kilkunastoosobowych grupek, które spotykają się znacznie częściej w prywatnych mieszkaniach. Odwiedza się po prostu kogoś z przyjaciół. Zapewnia to bardziej intymną atmosferę a jednocześnie znacznie bliższy kontakt.

---

* Nazwa ta pochodzi z literatury dziecięcej. Szwedzka autorka, Tove Jansson, napisała cały cykl książeczek o rodzinie Muminków i ich przyjaciołach: Paszczakach, Homkach, Filifionkach, Mimblach. Stworzyła cały, pełen uroku i poezji świat, w którym żyją te sympatyczne stworzonka. Są to dobre trolle — skandynawskie odpowiedniki naszych skrzatów. Opowiadania o Muminkach były wydane w Polsce przez „Naszą Księgarnię" (m.in. „W dolinie Muminków", „Lato Muminków", „Zima Muminków"), a potem dodatkowo spopularyzowane przez telewizyjne „Dobranocki". Terminem „Muminki" nazwano nie tylko polskie wspólnoty „Wiara i Światło". W języku tych wspólnot nieładny, oschły termin „upośledzony umysłowo" zastąpiono miłym i ciepłym „muminek", a opiekunów „muminków" nazwano „paszczakami". Red.

O pełne uczestnictwo

Dokończenie ze s. 13

obecność osoby słabej, poprzez komunię z nią, dojrzewa i może zaowocować prawdziwą miłością, prawdziwym zjednoczeniem w Chrystusie. Stąd też musi napawać niepokojem zjawisko odsunięcia osób upośledzonych na margines aktywnego życia Kościoła. Zamiast wciągania niepełnosprawnych parafian w nurt życia wspólnoty obserwujemy zjawisko odwrotne: usuwania ich sprzed oczu zdrowych wiernych. Organizowanie rekolekcji przeprowadzanych w domach chorych (język duszpasterski w terminie „chorzy" mieści przede wszystkim pojęcie osób niepełnosprawnych) przez kleryków lub młodych, odbywających praktykę księży; Msze św., na które zaprasza się i zwozi tylko chorych i to jedynie z okazji największych świąt kościelnych, tj. dwa, trzy razy do roku; wreszcie sprowadzanie do domu chorego księdza z Najświętszym Sakramentem i Mszą św. dla wygody, choć często można takiego chorego zaprosić do udziału w ogólnym, niedzielnym nabożeństwie — to są z reguły wszystkie formy „udziału we wspólnocie parafialnej", proponowane osobom niepełnosprawnym przez Kościół. Jest to objaw zatracenia poczucia podstawowych wartości, które zawiera w sobie pojęcie chrześcijańskiej wspólnoty ludzkiej.

Problemom, które tu można, z konieczności, poruszyć jedynie powierzchownie, poświęcony jest Raport o sytuacji ludzi niepełnosprawnych w Polsce. Sporządzony przez grupę młodych, nie związanych zawodowo z omawianym problemem ludzi, jest pierwszą w naszym kraju próbą pokazania sytuacji osób niepełnosprawnych widzianej z innej niż zwykle strony. Jego główna część składa się z ułożonych tematycznie fragmentów wypowiedzi samych zainteresowanych. Ta obszerna, bo ponad dwustustronicowa, praca ma za zadanie przedstawić zwykłemu czytelnikowi — a nie, jak bywało do tej pory, tylko specjalistom — obraz autentycznego życia, odczuć i oczekiwań ludzi niepełnosprawnych oraz problemy, na jakie nie trafi ani ankieter GUS, ani pracownik instytucji badającej życie inwalidów. Duża część pracy omawia miejsce osoby niepełnosprawnej w społeczeństwie, opisuje postawy wobec niej, zagubienie i bezradność w trudniejszych momentach życia, wreszcie tytaniczną czasem walkę ze swoim kalectwem, ze znieczulicą społeczną, z brakiem zrozumienia i niefrasobliwością ludzi podejmujących się nieść pomoc i służyć drugiemu. Jeden z rozdziałów poświęcony jest sytuacji osoby niepełnosprawnej w Kościele. Końcowa część raportu zawiera propozycje rozwiązań mogących zmienić obecny stan rzeczy, adresowane przede wszystkim do władz, instytucji i organizacji mających za zadanie działać w interesie ludzi niepełnosprawnych. Raport ma się ukazać nakładem Instytutu Wydawniczego Związków Zawodowych, prawdopodobnie w przyszłym roku.
Rok 1981 był ogłoszony przez ONZ rokiem osoby niepełnosprawnej. W Polsce nie zmieniło się nic. Często nasuwa się nam pytanie, co przyniosą lata następne? Wydaje się, że odpowiedź może być tylko jedna: wszystko zależy od nas.

Adam Paszkowski

Widziane od kuchni

Spędziłam dwa tygodnie jako podkuchenna, szofer i zaopatrzeniowiec letniego obozu muminków*. Tylko dwa tygodnie, dlatego proszę moje uwagi traktować jako wrażenia, a nie próbę poważniejszego opisu. Wszystko, o czym piszę, jest moim subiektywnym odczuciem w spotkaniu z grupą w pewnym sensie wybranych muminków. Wybranych, bo tylko tacy mogli uczestniczyć w obozie. Chcę po prostu możliwie wiernie pokazać, co czuje przeciętna kobieta, mająca zdrowe dzieci, kiedy styka się z dziećmi, a może raczej ludźmi specjalnej troski.

*

Wiadomo było od kilku lat, że Tadeusz, syn Teresy, ma muminki. A nad łóżkiem Krysi stał na półce cały komplet przygód muminków i bardzośmy je lubili. Były sympatyczne, choć trochę inne, miały własny świat pełen dziwności i zwyczajności. A tu Tadeusz też ma muminki. Dom Teresy jest zawsze pełen młodzieży i tam zobaczyłam Antka. To był mój pierwszy spotkany muminek. Wysoki, bardzo szczupły, jakby lekko kulejący, z pasją kręcił kostką Rubika i z radością pokazywał ułożoną, zwykle nie w całości, planszę. Mówił trochę niewyraźnie, choć logicznie, chętnie się śmiał, chętnie i dużo jadł. Przychodził czasami kilka razy dziennie. Nie raził, ale był inny, inny w sposób trudny początkowo do zdefiniowania. Dziś wiem, że było to jego reagowanie na poziomie 6—8 letniego dziecka.

A potem była druga pielgrzymka do Częstochowy. W trzeciej grupie szło, a raczej jechało na wózkach lub wlokło się, kilku muminków. Była to grupa mocno zróżnicowana, zresztą głównie fizycznie. Ja byłam obok. Szłam ogarnięta litością, zażenowaniem i trudnym do opisania skurczem wewnętrznym i nie mogłam oderwać od nich oczu, choć się tego wstydziłam. Nie wiem dlaczego (może dlatego, że sama mam dzieci zdrowe, a w każdej ciąży bałam się tylko jednego — żeby nie było tak upośledzone), nie mogłam po prostu podejść i coś pomóc, jak gdyby przytłoczona wielkością ich tragedii. Toteż tym bardziej podziwiałam opiekunów — paszczaków tak wesołych i ofiarnych. Jak oni mogą być weseli przy takiej biedzie? A oni nie tylko byli weseli, ale traktowali muminków normalnie. Opiekuńczo, lecz normalnie, tak jak młodszych, bardziej kochanych braci czy siostry. Karmili (część), żartowali, wieźli na wózkach, myli, wysadzali. A czasami trochę zapominali, a czasami karcili. Wszystko to robili ze spokojną czułością starszego rodzeństwa. Podziwiałam, ale nic nie rozumiałam. Nie rozumiałam, jak tak można. Chciałam coś dla nich zrobić, tylko nie umiałam, bałam się reakcji swojej i ich.

A potem coraz częściej ich spotykałam i coraz więcej o nich wiedziałam. Zaczęłam dostrzegać różnice w poziomie rozwoju i w poziomie przystosowania do życia, coraz częściej nie zwracałam uwagi na widoczne fizyczne zniekształcenia; to, co początkowo najbardziej rzucało się w oczy, przestało być najważniejsze. Znikło uczucie zażenowania i litości. Zamieniło się w sympatię. Pozostała chęć pomocy.

*

Wiedziałam, że paszczaki organizują letnie i zimowe obozy. I że mają kłopoty z jedzeniem, bo nie wszędzie można dostać pełne u-

* Patrz przypis na s. 42.

trzymanie, a poza tym kalkuluje się to coraz drożej. I oto w taki sposób zostałam kucharką, a właściwie podkuchenną i kierowcą-zaopatrzeniowcem, bo szefową była moja siostra, lepiej do tego zawodowo przygotowana. Tak więc, dwa tygodnie spędziłam z muminkami i paszczakami w cudownej podgórskiej wsi. Wszystko, co dalej opiszę, wynika z doświadczeń tych dwóch tygodni.

Tadeusz wynajął dwa domy w cofniętym od drogi przysiółku. Piękne, drewniane, mieściły około 50 osób — paszczaki i muminki, mniej więcej pół na pół. Jest to reguła, że każdy paszczak ma swojego muminka, którym się opiekuje i jest za niego odpowiedzialny. Obie społeczności były bardzo zróżnicowane. Paszczaki, licealiści i studenci, od kilku lat związani z ruchem lub debiutanci liczyli sobie (z jednym wyjątkiem) od 16 do 30 lat. Dwóch z nich było klerykami. Organizował wszystko świeżo wyświęcony ksiądz, do którego wszyscy mówili po imieniu, nie wyłączając kucharek. Dziewcząt było nieco więcej. Kierunki studiów zróżnicowane, z wyraźną przewagą humanistycznych. Kilkoro grało na gitarach i skrzypcach, co ogromnie ułatwiało i uatrakcyjniało śpiew. Wszyscy lubili mówić i mieli wyraźną łatwość kontaktu. Z jednym wyjątkiem byli ludźmi gorliwie wierzącymi.

Znacznie bardziej zróżnicowana była grupa muminków. Najłatwiej pomylić się co do ich wieku: z reguły są znacznie młodsi z wyglądu niż z metryki. Trzydziestoletnia dziewczyna wygląda na 18 lat, 27-letni chłopak na osiemnaście. Jak gdyby wraz z zatrzymaniem rozwoju umysłowego zwalniał się i proces starzenia fizycznego. Fizycznie — duże zróżnicowanie: od znakomitego stanu (rzadko) do licznych ułomności, powłóczeń nogami, częstego braku koordynacji ruchowej, aż po niedowład nóg uniemożliwiający poruszanie się inaczej niż na wózku. Większość ma w pewien sposób upośledzoną mowę, co szczególnie początkowo sprawia kłopoty ze zrozumieniem. Często powtarzają wypowiedzianą frazę. Z reguły bardzo lubią rozmawiać, nawet jeśli sprowadza się to do wypowiadania kilku, stale tych samych, słów. Ale i to nie jest regułą, bo niektórzy mówią bardzo poprawnie, inni wypowiadają się tylko w bezpośredniej rozmowie, i to najchętniej w małym gronie, jeszcze inni nie mówią wcale. Byli dwaj chłopcy prawie bez kontaktu słownego, jeden nigdy nic nie mówił, drugi histerycznie wrzeszczał, kiedy był niezadowolony. Ten drugi to dla mnie klasyczny przypadek, a raczej ofiara, bariery ochronnej stworzonej przez rodziców. Do tego tematu wrócę później.

W większości są bardzo weseli, chętnie się śmieją z dowcipów, czasami je rozumiejąc, a czasami dla samej radości śmiania się razem. Bardzo lubią śpiewać, szczególnym powodzeniem cieszą się piosenki o powtarzających się refrenach, np.: „...bo sopelki są różne, kwadratowe i podłużne". Z zapałem tańczą, uczestniczą w przedstawieniach i żywych obrazach. Oczekują na oklaski, szczegółowo i bez zażenowania dopytują się po zakończeniu, jak im się udało. Chętnie rysują i malują naiwne dziecięce obrazki.

Bardzo różnie wyglądała możliwość pomocy w kuchni. Część muminków robiła to znakomicie, wyraźnie wciągnięta przez dom do codziennych zajęć. Na przykład Halka była wręcz mistrzynią prania, doskonale sobie organizowała

pracę. Wystawiwszy pralkę przed dom, oprała cały obóz. Namiętnie za to zbierała wszystko — od pustych opakowań zaczynając. Wyrazy uznania za dobre wykonanie pracy, nawet tak prostej jak wytarcie stołu, są oczekiwane, a często po prostu prowokowane. Muminki pomagają chętnie, nawet wózkowicze z zapałem wozili na kolanach pojemniki z kubkami.

Właściwie najwięcej zależy od rodziców, od ich mądrości nie mającej zresztą nic wspólnego z wykształceniem. Prawie bezbłędnie, niezależnie od stopnia rozwoju muminka, można powiedzieć, jacy są jego rodzice i jaki jest ich stosunek do dziecka. Jeden z najbardziej upośledzonych muminków, pochodzący z podmiejskiej wsi, codziennie bez przypominania sam ścielił swoje łóżko, zamiatał pokój, porządkował swoje rzeczy, mimo że praktycznie mógł się poruszać tylko na wózku. Bardzo też serdecznie i uprzejmie, choć prawie niezrozumiale, witał się codziennie z własnej inicjatywy ze wszystkimi i dziękował za każdy posiłek. Wszystkiego tego nauczyła go bardzo mądra matka. A wspomniany wyżej rozhisteryzowany chłopiec, otoczony najtroskliwszą osłoną opieki matki, nie umiał zrobić nic i oczekiwał na pełną obsługę, łącznie z krajaniem chleba na drobne kęsy. I to nie dlatego, że nie umiał, ale po prostu nikt od niego tego nie wymagał. Nawet sam się nie rozbierał, nie zapinał guzików, nie zdejmował butów.

*

Moje doświadczenia są ubogie, sprowadzają się do dwutygodniowej obserwacji jednej grupy muminkowej, i z tej racji nie mogą być uogólnione. Są to obserwacje od kuchni, nieco spoza grupy, z pozycji człowieka, który uważnie patrzy, ale nie uczestniczy czynnie. Ponadto każda grupa ma swoją specyfikę i swoje własne osiągnięcia. Kilkuletnia współpraca przynosi efekty nie tylko organizacyjne, ale i we wzajemnych kontaktach.

Co mnie osobiście dały te dwa tygodnie? Myślę, że bardzo wiele, począwszy od spraw całkiem prozaicznych do istotnych. Zniknęło uczucie zażenowania i litości. W to miejsce powstało uczucie inne — sympatii, może wręcz miłości. Bo muminki można bardzo łatwo pokochać za ich pełną naturalności szczerość i brak udawania czegokolwiek. Oni są tacy, jacy są. I to jest wspaniałe. Nikt niczego nie udaje, a nawet jeżeli ktoś jest mitomanem, to jakby obok swego prawdziwego „ja". Sama przez te dwa tygodnie wykonywałam najprostsze czynności, ale miały one jakiś głębszy sens. Czuję się tym wzbogacona. Największe jednak wrażenie wywarł współudział w modlitwie z muminkami. Oni jak żyją bez udawania, tak modlą się całym sobą. Ich spontaniczne, choć czasami mało zrozumiałe modlitwy, gorliwość, z jaką uczestniczyli w codziennej mszy św., pozwalały nareszcie zrozumieć, że naprawdę „takich jest Królestwo Boże" i że „ktokolwiek nie przyjmie Królestwa Bożego jak dziecię, nie wejdzie do niego". Czy wobec tego trzeba być człowiekiem wierzącym, żeby opiekować się i pomagać muminkom? Myślę, że nie, ale człowiek wierzący znacznie więcej od nich się uczy i zyskuje dla siebie. I jeszcze jedna obserwacja. Wieś nie jest tolerancyjna dla inności. Pierwszy kontakt był trudny. Byliśmy nieufnie obserwowani d/ chwili pierwszego publicznego spotkania. Wprawdzie spotykaliśmy się codziennie na mszy św., ale lody prysły dopiero po pierwszym pogodnym wieczorze. Tak nazywano wspólne wieczorne tańce, śpiewy, występy. Wspólne, bo zaproszono mieszkańców okolicznych domów. Odczuwalnie po tym wieczorze zmienił się stosunek miejscowej ludności do grupy. Zespół góralski dał wspaniały darmowy występ (kto zna realia miejscowości podgórskich, nastawionych na drenaż kieszeni wczasowiczów, ten doceni wymowę tego faktu), muminki gorliwie podpatrywały kroki taneczne, żeby je potem z dużym powodzeniem, a raczej z dużym zadowoleniem, naśladować. Właściciele sąsiedniego pensjonatu, widząc nasze kłopoty z pieczeniem ciasta, sami upiekli nam olbrzymią miednicę pączków i wiele doskonałych ciast. Pomagali też w dowożeniu ogromnych ilości żywności. Wszystko za przysłowiowe „Bóg zapłać". A sąsiadki przynosiły w prezencie mleko i zgłaszały krzaki owoców do obrania. W czasie ostatniej mszy św. jedna z wiejskich uczestniczek prosiła Pana Boga, żeby nam było tak dobrze z nimi, jak im jest z nami. To tylko kilka przykładowych aktów ofiarności i zrozumienia obrazujących fakt, że muminki dały coś z siebie nie tylko uczestnikom obozu, ale i obserwatorom.

A co same zyskały poza pobytem na świeżym powietrzu? Chyba najważniejsze było i jest poczucie równości z innymi uczestnikami grupy. Muminki bardzo silnie odczuwają wyobcowanie społeczne, to zażenowane milczenie, kiedy wchodzą do jakiegoś pomieszczenia... Mają ogromnie silnie rozwiniętą potrzebę być razem i na równi z innymi. Tu wszyscy jedli razem, bawili się razem, spali razem, pracowali razem. Drugi zysk to znaczne uspołecznienie, szczególnie tych muminków, którzy posiadają nadopiekuńczych rodziców. Dwukrotnie już wspomniany chłopiec po pobycie na obozie i półrocznym uczestnictwie w spotkaniach grupy, sam poprosił dziewczynkę do tańca na balu karnawałowym. To był ogromny postęp w przystosowaniu do życia w społeczeństwie.

Pewność, że dzieci są pod dobrą opieką, pozwalała rodzicom na odpoczynek. To bardzo ważna sprawa, żeby choć przez jeden miesiąc w roku mogli odpocząć ci, którzy opiekują się nimi na co dzień i praktycznie nie uzyskują w tym ciężkim, czasami wręcz ponad siły, zadaniu żadnej pomocy społecznej, ci, którzy muszą walczyć o szkoły życia, ci, którzy nie mogą znaleźć miejsc pracy dla swoich dzieci, ci, których pozostawiliśmy całkowicie samych, z ich troskami i nieszczęściem, my, którzy mamy zdrowe i pełnosprawne dzieci.

Moja subiektywna relacja nie może zostać zakończona bez kilku zdań na temat paszczaków. Ogromnie chwyta za serce ta młodzież, tak różna, ale myśląca o innych, ofiarowująca swój czas — nie tylko w czasie wakacji, ale w ciągu całego roku — tym najmniejszym. Wiele złych słów powiedziano i napisano o skomercjalizowaniu młodego pokolenia, a oni w czasie swoich wakacji pracują 24 godziny na dobę, wykonując czasami prace wręcz odrażające, piorąc, myjąc i traktując czule. Niezależnie od wieku są odpowiedzialni, ofiarni, weseli i rozśpiewani. A jednocześnie coraz bardziej pogłębieni w swojej duchowości opartej o Tego, który powiedział: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych braci moich, mnie uczyniliście".

Barbara — Kucharka

GRZEGORZ POLAK

Terapia przez miłość

Jest w Ewangelii taka scena, kiedy Chrystus uzdrawia ślepego od urodzenia. Przedtem postawili Mu pytanie uczniowie: „Mistrzu, kto zgrzeszył, on czy rodzice jego, że się ślepym urodził? Odpowiedział Jezus: Ani on nie zgrzeszył, ani rodzice jego, lecz aby się na nim objawiły dzieła Boże" (Jn 9:2—3).

Przypominam sobie tę scenę, kiedy myślę o rodzicach wychowujących dzieci upośledzone, kalekie. Zastanawiam się, czy nie mamy w sobie czegoś z postawy owych uczniów, czy nie ulegamy pokusie, aby tak właśnie interpretować podobne, znane nam przypadki. Nie chodzi mi o to, że posiadanie przez kogoś dziecka upośledzonego uznajemy jako konsekwencję jakiegoś grzechu — bo tak mogą uważać tylko ludzie prymitywni — ale o to, że bardzo trudno nam dostrzec w takim człowieku dziecko Boże, trudno zrozumieć, że i ten człowiek przyszedł na świat, „aby się na nim objawiły dzieła Boże".

Oto jestem po raz pierwszy w życiu świadkiem niezwykłej sceny. Obserwuję, jak matka karmi swego 27-letniego, upośledzonego umysłowo syna. Czyni to cierpliwie, z miłością, mimo że on wierci się bez przerwy, wydaje jakieś niezrozumiałe dla mnie dźwięki, gładzi matkę po twarzy, dotyka jej włosów. Wreszcie ciężkie, słusznego wzrostu chłopisko siada na kolanach małej, filigranowej kobiety. Jest jakaś trudna do opisania więź między matką a jej nienormalnym synem. Obserwuję to nie bez wzruszenia. „Jacuniu, powiedz tramwaj!" — prosi matka. Jacek mówi coś, czego ja nie rozumiem, ale ona zadowolona jest z odpowiedzi, odczytując nieomylnie, że chłopiec wypełnił jej polecenie. I tak toczy się ten dziwny dialog przeplatany pieszczotami i czułymi, pełnymi ciepła i serdeczności słowami matki.

Wiele czasu upłynęło, zanim Jacek postawił swój pierwszy w życiu krok. Pewien światowej sławy lekarz oświadczył jego matce, że włosy mu wyrosną na dłoni, jeśli Jacek będzie chodził. Pani Krystyna nie załamała się jednak. Z półtorarocznym dzieckiem zaczęła kursować do Łodzi, gdzie dr Szymański poddawał je zabiegowi tzw. kręgowania, czyli masażu według metody jogów hinduskich. Matka z synem jeździli tam przez siedem lat. Wyruszali z domu dwa razy do roku, aby pozostać w Łodzi przez trzy miesiące, zabiegi były bowiem niezwykle żmudne i mogły przynieść sukces tylko w przypadku długotrwałego, systematycznego ich stosowania. W tym okresie Jacek dostawał często ataków epilepsji, trzy razy znajdował się w stanie śmierci klinicznej. Pierwszy krok zrobił w wieku czterech lat, a dla jego rodziców była to jedna z najpiękniejszych chwil w życiu. Gdy miał 9 lat, zaczął chodzić samodzielnie. Rychło jednak doznał zwichnięcia stawów kolanowych i na pół roku powędrował do szpitala.

Pani Krystyna niechętnie mówi o swoich doświadczeniach z lekarzami. Spotkało ją z ich strony zbyt wiele przykrości. Kiedy Jacuś jako 5-letni chłopiec był w stanie śmierci klinicznej, zrozpaczonej matce pani ordynator z Instytutu Matki i Dziecka potrafiła powiedzieć z wyrzutem: „Pani zachowanie mnie zadziwia. O kogo pani walczy, o wariata?". Nieraz lekarze dawali jej odczuć, że nie warto poświęcać się dla takiego dziecka, bo i tak żadnej pociechy z niego nikt mieć nie będzie. Unikali wręcz pani Krystyny, kiedy pojawiała się z Jackiem.

Również w miejscu zamieszkania państwo Dębscy rzadko doświadczają ludzkiej życzliwości i zrozumienia. Kiedy, na przykład, pani Krystyna wychodzi do sklepu zostawiwszy Jacka samego w domu, ludzie mimo że ją znają, nie pozwalają zrobić zakupów bez kolejki. Ogólnie rzecz biorąc, nie jest chyba najlepsze nastawienie społeczeństwa do rodziców mających upośledzone dzieci. Wiąże się to między innymi z błędnym i szeroko rozpowszechnionym przekonaniem, jakoby przyczyną upośledzenia umysłowego dziecka było poczęcie go przez rodziców pozostających pod wpływem alkoholu. Niesłuszny ten pogląd rozpowszechniają także kaznodzieje. Jest to bardzo przykre zwłaszcza dla tych rodziców, którzy podobnie jak Dębscy w ogóle nie piją alkoholu. Tymczasem już dawno udowodniono naukowo bezzasadność tego powszechnie panującego przekonania. Dr Danuta Stomma w książce pt. „Jak przygotować do życia dziecko umysłowo upośledzone?" stwierdza autorytatywnie: „Niesłuszny jest pogląd, że upośledzenie umysłowe dziecka może być spowodowane poczęciem przez rodziców będących pod wpływem alkoholu. Bowiem do uszkodzenia komórek rozrodczych rodziców potrzeba by wtedy tak dużej ilości alkoholu w organizmie, że spowodowałaby ona u nich śmiertelne zatrucie".

Utrzymanie Jacka jest o wiele kosztowniejsze niż człowieka normalnego. Państwo Dębscy mają trudności z kupnem odpowiedniego pożywienia dla syna będącego na diecie wysokobiałkowej. Nie można wywalczyć dla niego dodatkowych kartek żywnościowych — takie obowiązują, niestety, przepisy — nie pozostaje więc nic innego, jak kupować mięso czy drób po czarnorynkowych cenach. Kłopoty są także z ubraniem. Wszystko musi być dla niego specjalnie szyte, ale żaden krawiec nie chce się tego podjąć, bo Jacek swoim zachowaniem uniemożliwia jakąkolwiek przymiarkę. Poza tym jest wiele innych problemów. Na przykład Jacek uwielbia jazdę samochodem, trudno mu nieraz usiedzieć w domu. Ojciec gotów by go wozić nawet codziennie, ale, wiadomo, są kłopoty z benzyną. Starał się o jej dodatkowy przydział, lecz bezskutecznie.

Pani Krystyna tuż po urodzeniu Jacka przestała pracować zawodowo, postanowiła bowiem całkowicie poświęcić się jego wychowaniu. Sytuacja finansowa Dębskich była wówczas nie do pozazdroszczenia. Kiedy pani Krystyna rozpoczęła starania o rentę dla Jacka i udała się w tej sprawie do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, pewien ważny urzędnik oznajmił jej, że Polska Ludowa nie będzie finansować wariatów. Żeby poprawić nieco budżet domowy (oprócz

Jacka państwo Dębscy mieli jeszcze na utrzymaniu starszą córkę), pani Krystyna podjęła pracę chałupniczą. Dziś (początek roku 1984) za 11 lat pracy dostaje 4050 zł renty oraz 1070 zł na Jacka (dodatek pielęgnacyjny plus 70 zł (!) rodzinnego). Zresztą od kilku miesięcy ZUS nawet i tej, śmiesznie niskiej sumy nie przysyła. Widocznie zapomniano o Jacku albo uznano, że taka kwota i tak nie poprawi Dębskim budżetu rodzinnego. Matka nie kryje swego rozgoryczenia: „Jak ktoś wpadnie po pijanemu pod tramwaj, to dostanie rentę, a takiemu dziecku, które ma pierwszą grupę inwalidzką, nawet bezpłatne lekarstwa nie przysługują. Nic oprócz skromnego zasiłku. Tak jakby to nie był człowiek". Najbardziej przygnębiająco działa na nią właśnie świadomość, że Jackowi odmawia się praw, z których korzystają inni ludzie. Przekonała się, że nie ma co liczyć na pomoc żadnej instytucji państwowej i że są wraz z mężem osamotnieni.

Pan Stanisław zorientował się już dawno, że z gołej pensji nie utrzyma 4-osobowej rodziny, rzucił przeto państwową posadę i wziął się za drobną wytwórczość. Wzorem dla niego jest biblijny Hiob. Ostatnio dużo skorzystał z lektury listu apostolskiego papieża Jana Pawła II „Salvifici doloris", ukazującego wielką wartość i chrześcijański sens ludzkiego cierpienia. „Nie buntuję się przeciwko Bogu — mówi. — Jestem z Nim pogodzony. Mam pełną świadomość istnienia Jego zbawczej mocy. I dzięki temu doświadczeniu, jakim mnie obdarzył, jeszcze bardziej pogłębiam tę świadomość w sobie. Myślę, iż jesteśmy w różny sposób obdarowywani przez Boga i że to moje doświadczenie jest także wielkim, wyjątkowym darem. Pozwala mi to być coraz bliżej Boga". Ojciec Jacka nigdy nie zadawał sobie pytania, dlaczego on i jego żona zostali tak ciężko doświadczeni. „Jestem świadom wypełniania zadania, jakie zostało mi powierzone. Przyjmuję je z wiarą i ufnością. Modlę się do Boga nie o cudowne uzdrowienie syna, ale o siły, abym mógł unieść swój krzyż".

Pan Stanisław uważa, że fakt, iż wychowuje wraz z żoną upośledzone dziecko, jest również ważny ze względów społecznych. Ich postawa może poruszyć sumienia tych rodziców, którzy swoje zdrowe dzieci umieszczają w zakładach.

Niektórzy krewni dziwią się Dębskim, że się tak męczą. Nie potrafią zrozumieć, dlaczego poświęcają się całkowicie dziecku, które nie rokuje żadnych nadziei na uzdrowienie. Nawet ich córka, aczkolwiek odnosi się do postawy rodziców z wielkim szacunkiem, wyraża swoje wątpliwości, czy ich wysiłek ma sens, skoro efekty są tak niewielkie, właściwie niezauważalne. Bo rzeczywiście: życie całej rodziny podporządkowane jest Jackowi, a konieczność ciągłego z nim przebywania wyniszcza rodziców, a zwłaszcza matkę, psychicznie i fizycznie. Taka jest cena miłości rodzicielskiej, miłości, która ma w tym wypadku wyjątkowo bezinteresowny wymiar, skierowana jest bowiem ku osobie nie mogącej w zamian zbyt wiele ofiarować.

Nie można jednak powiedzieć, że rodzice Jacka, dając wiele, nic w zamian nie otrzymują. Między nimi a synem istnieje silna więź uczuciowa, wszyscy oni potrzebują wzajemnego kontaktu z sobą. Chłopak kocha ich na swój sposób, na przykład nie może się wprost doczekać powrotu ojca z pracy. I on potrafi dostarczyć rodzicom trochę radości. Gdyby było inaczej, nie okazywaliby mu tyle ciepła i serdeczności. Kochają go po prostu taką samą miłością, jaką kocha się zdrowe, normalne dzieci. „Niech pan powie, czy on nie jest piękny?" — zapytała mnie pani Krystyna pokazując w albumie zdjęcie przedstawiające Jacka jako bobasa.

Dzięki heroicznemu wysiłkowi rodziców Jacek poczynił pewne postępy. Obecnie znajduje się na poziomie 2-letniego dziecka, nauczył się chodzić, nie susia w majtki (a robił to do 15 roku życia), reaguje na wiele słów, jest nawet zdolny do wykonywania pewnych poleceń. Nie ulega wątpliwości, że gdyby trafił do zakładu, nie osiągnąłby tego, co obecnie umie. Państwo Dębscy nigdy zresztą nie brali pod uwagę takiej możliwości. Przecież Jacek wymaga nieustannej opieki, niemal nie można spuszczać go z oczu. Czy byłoby w ogóle możliwe, aby ktoś obcy mógł mu poświęcić tyle czasu, co oni, czy by mógł obdarzyć go takim ciepłem i miłością? Państwo Dębscy nie mogą zrozumieć, że do zakładów dla upośledzonych oddawane są dzieci niemal zdrowe. „To niesamowite — mówią. — Gdyby nasz Jacuś był taki, my bylibyśmy szczęśliwi".

*

Wielu znajomym opowiadałem ostatnio o rodzinie Dębskich, wspaniałych ludziach, którzy z godnością, po bohatersku dźwigają swój krzyż. W trakcie tych rozmów dowiedziałem się o istnieniu innych, podobnych im rodzin, które wychowują upośledzone dzieci. Opowiedziano mi na przykład o małżeństwie, które wzięło na wychowanie porzucone przez rodziców dziecko, a ono po pewnym czasie okazało się upośledzone umysłowo w stopniu najwyższym. Myślę, że przykład takich głębokich ludzkich postaw jest bardzo ważny i budujący dla tych, których życie wolne jest od tak ciężkich doświadczeń.

Nazwisko i imiona członków rodziny występujących w artykule zostały zmienione.

OFIARY NA WYDAWNICTWO

Stanisław Miernowski — zł 100, ks. prof. Jan Sergiusz Gajek — zł 230, Jerzy Polaczek — zł 70, Nicky Crane — zł 1280, Helena Kawecka — zł 500, Barbara Ciechanowicz — zł 1000, Zenona i Zenon Niewieczerzałowie — zł 1000, Przyjaciele z Wapienicy — zł 500.

Wszystkim Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy. Przypominamy, że ofiary na wydawnictwo „Jednota" przekazywać można na konto: **PKO VIII OM Warszawa, Nr 1586-3854-136** bądź przesyłać przekazem pieniężnym pod adresem: **Administracja miesięcznika „Jednota", al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa.**

HALINA BORTNOWSKA

Chrześcijański sens cierpienia

Zobojętnieliśmy wobec bardzo wielu ważnych słów, których znaczenie uległo inflacji. Zobojętnieliśmy także wobec słowa „ewangelia". Gdy się je tłumaczy mówiąc: „Dobra Nowina", nie często czujemy, nie często zastanawiamy się, co dobrego, co radosnego człowiek znajduje w Ewangelii.

Pierwsza, wszystko w sobie zawierająca, odpowiedź na to pytanie mieści się w jednym słowie: Zmartwychwstanie. Jezus żyje, żyje wiecznie, żyje teraz po prawicy Ojca i z nami. To znaczy, że nie zginęła i nie zginie dobra sprawa; historia ludzka nie zdołała i nie zdoła nigdy odrzucić wplatającej się w nią historii świętej. Ukrzyżowali i pogrzebali Jezusa, lecz ponad ziemską siłą krzyżowania i zamykania w grobie jest najwyższa moc Życia i Chwały, i przez tę moc „Król życia, zabity, panuje żywy". Bez tej prawdy wszystko inne, cała nasza wiara byłaby próżna; co więcej — i o tym rzadziej pamiętamy — bez tej wiary przykazania życia i miłości łatwo stać się mogą martwym prawem, zabijającą literą. Bez tej najżywszej wiary — rozwijany poza nią czy obok niej — religijny dyskurs o cierpieniu staje się pusty, jak przemówienia przyjaciół Hioba; już lepszy wydaje się świecki stoicyzm, imperatyw moralny nakazujący godną postawę, zaciskanie zębów, solidarność z innymi — „bo takie są moje obyczaje".

Nie jest łatwo uczynić Zmartwychwstałego obecnym wewnątrz naszego cierpienia (to znaczy przyjąć naprawdę dar Jego obecności). Mało też kto z chrześcijan potrafi pisać o cierpieniu, szanując jego tajemnicę i jednocześnie przekazując E w a n g e l i ę c i e r p i e n i a — dobrą nowinę o sensie cierpienia i jego zbawczej mocy. Dlatego tak wielkie znaczenie dla każdego chrześcijanina może mieć list, jaki niedawno otrzymaliśmy, list o zbawczym bólu. Zbyt jest długi, by się na tych łamach zmieścił; streszczę go więc, cytując wybrane fragmenty w przekonaniu, że są one w tym numerze „Jedności" potrzebne. Ważna jest najpierw treść, potem dopiero osoba autora. Wystarczy tylko wiedzieć, że pisze do nas człowiek, który wiele cierpiał, od osieroconego dzieciństwa do dzisiaj; cierpiał i cierpi ból duchowy i fizyczny, zna świat cierpiących i zarazem przeżywa sam to onieśmielenie wobec cierpienia, które jest warunkiem tak pożądanej i tak rzadkiej delikatności. Lecz — jak pisze on w liście — „potrzeba serca każe przezwyciężać onieśmielenie, a imperatyw wiary (...) dostarcza treści, w imię której i mocą której ośmielamy się dotknąć tego, co w każdym człowieku wydaje się być tak bardzo nietykalne: człowiek w swoim cierpieniu pozostaje nietykalną tajemnicą" (4).

„W głębi każdego z osobna cierpienia doświadczanego przez człowieka, a zarazem u podstaw całego świata cierpień nieodzownie pojawia się pytanie »dlaczego?«. Jest to pytanie o powód, o rację, zarazem pytanie o cel (po co?), w ostateczności zaś zawsze pytanie o sens (...). Człowiek nie stawia tego pytania światu, jakkolwiek cierpienie wielokrotnie przychodzi do niego od strony świata, ale stawia je Bogu, jako Stwórcy i Panu świata" (9). Odpowiedzią na to pytanie jest Ewangelia cierpienia, dobra nowina o cierpieniu, zmieniająca nasze życie. Jedną z pierwszych jej prawd, przynoszącą ulgę w udręce, jest przezwyciężenie niejako naturalnego założenia, jakie cierpiący tak często przyjmuje, a mianowicie, że c i e r p i e n i e m u s i b y ć k a r ą, że tylko jako kara może ono posiadać sens i cierpiący tak je powinien zaakceptować. „Jeśli prawdą jest, że cierpienie ma sens jako kara wówczas, kiedy związane jest z winą — to nie jest prawdą, że każde cierpienie jest następstwem winy i posiada charakter kary" (11). „Aby móc poznać prawdziwą odpowiedź na pytanie »dlaczego cierpienie?«, musimy skierować nasze spojrzenie na objawienie Bożej miłości, ostatecznego źródła sensu wszystkiego, co istnieje. Miłość jest też najpełniejszym źródłem sensu cierpienia, które pozostaje zawsze tajemnicą; zdajemy sobie sprawę, że wszelkie nasze wyjaśnienia będą zawsze niewystarczające i nieadekwatne. Chrystus pozwala nam wejść w tajemnicę i odkryć »dlaczego cierpienie?«, o ile jesteśmy zdolni pojąć wzniosłość miłości Bożej" (12). Kluczem jest wcielenie Syna, życie Jezusa, Jego posłuszeństwo, męka: „Mierząc się z całym złem odwrócenia od Boga, jakie zawiera się w grzechu, Chrystus poprzez Boską głębię synowskiego zjednoczenia z Ojcem doznaje w sposób po ludzku niewyrażalny tego cierpienia, jakim jest odłączenie — odtrącenie od Ojca, zerwanie z Bogiem. Ale właśnie przez takie cierpienie dokonuje odkupienia — i może konając powiedzieć: »Wykonało się« (Jn 19:30). (...) Cierpienie ludzkie osiągnęło swój zenit w męce Chrystusa. Równocześnie weszło ono w całkowicie nowy wymiar, w nowy porządek: zostało związane z m i ł o ś c i ą — z tą miłością, o jakiej mówi Chrystus Nikodemowi, z tą miłością, która tworzy dobro, wyprowadzając je również ze zła, wyprowadzając poprzez cierpienie tak, jak najwyższe dobro odkupienia świata zostało wyprowadzone z krzyża Chrystusa i stale z niego bierze swój początek" (18).

„Cierpienie ludzkie zostało też odkupione (...). Odkupiciel cierpiał za człowieka i dla człowieka. Każdy człowiek ma udział w odkupieniu. Każdy też jest wezwany do uczestnictwa w owym cierpieniu, przez które odkupienie się dokonało. Jest wezwany do uczestnictwa w tym cierpieniu, przez które każde ludzkie cierpienie zostało także odkupione" (19).

Dlatego „...cierpieć — to znaczy stawać się jakby szczególnie podatnym, szczególnie otwartym na działanie zbawczych mocy Boga, ofiarowanych ludzkości w Chrystusie. W Nim Bóg potwierdził, że chce działać szczególnie przez cierpienie, które jest słabością i wyniszczeniem człowieka — i chce w tej właśnie słabości i wyniszczeniu objawiać swoją moc" (23).

„Zmartwychwstanie Chrystusa objawiło »chwałę przyszłego wieku«, a równocześnie potwierdziło »chlubę Krzyża«, ową chwałę, która zawiera się w samym cierpieniu Chrystausa i która wielokrotnie odzwierciedliła się i odzwierciedla w cierpieniu człowieka jako wyraz jego duchowej wielkości. Trzeba dać świadectwo tej chwały nie tylko męczennikom, ale także wielu innym ludziom, którzy — nieraz bez wiary w Chrystusa — cierpią i oddają życie dla prawdy i słusznej sprawy" (22).

„W tajemnicy Kościoła jako swojego Ciała Chrystus niejako otworzył właśnie odkupieńcze cierpienie na

każde cierpienie człowieka. O ile człowiek staje się uczestnikiem cierpień Chrystusa — w jakimkolwiek miejscu świata i czasie historii — na swój sposób dopełnia to cierpienie, przez które Chrystus dokonał odkupienia świata (...). Odkupienie, dokonane mocą zadośćuczyniającej miłości, jest stale otwarte na każdą miłość, która wyraża się w ludzkim cierpieniu. W tym wymiarze — wymiarze miłości — odkupienie, które do końca się dokonało, stale się niejako od nowa dokonuje. Chrystus dokonał odkupienia bez reszty, do końca, równocześnie go nie zamknął. (...) Zdaje się należeć do istoty odkupieńczego cierpienia Chrystusa, że pragnie ono stale być dopełniane" (24).

Oto więc Ewangelia cierpienia, która: „...oznacza zarazem objawienie zbawczej mocy i zbawczego sensu cierpienia" (25).

„Ewangelia cierpienia mówi naprzód na wielu miejscach o cierpieniu »dla Chrystusa«, »z powodu Chrystusa«" (25), a więc o cierpieniach i wierności prześladowanych wyznawców, świadków-męczenników.

„Jeżeli pierwszy wielki rozdział Ewangelii cierpienia piszą przez pokolenia ci, którzy cierpią prześladowania dla Chrystusa, to w parze z tym idzie przez dzieje drugi wielki rozdział tejże Ewangelii cierpienia. Piszą go wszyscy ci, którzy cierpią wraz z Chrystusem, jednocząc swoje ludzkie cierpienia z Jego cierpieniem odkupieńczym" (26).

„Wewnętrzna dojrzałość i wielkość duchowa w cierpieniu z pewnością jest owocem szczególnego nawrócenia oraz współpracy z łaską ukrzyżowanego Odkupiciela. To On sam działa pośród ludzkich cierpień przez swego Ducha Prawdy, przez Ducha — Pocieszyciela. To On przetwarza niejako samą substancję życia duchowego, wskazując człowiekowi cierpiącemu miejsce koło siebie (...). Wobec swego cierpiącego brata lub siostry Chrystus stopniowo otwiera i roztacza horyzonty Królestwa Bożego. Nie zawsze ten proces wewnętrzny przebiega jednakowo (...). Można jednakże przyjąć, że prawie każdy wchodzi w cierpienie z typowo ludzkim sprzeciwem oraz pytaniem »Dlaczego?«. Pyta o sens cierpienia i szuka na to pytanie odpowiedzi na swoim ludzkim poziomie. Niejednokrotnie zapewne stawia to pytanie również Bogu — i stawia wobec Chrystusa. Nie może przy tym nie dostrzegać, że Ten, wobec kogo stawia swe pytanie, sam cierpi — a więc, że chce mu odpowiadać z Krzyża, z pośrodka swego własnego cierpienia. Trzeba jednak nieraz czasu, nawet długiego czasu, aby ta odpowiedź zaczęła być wewnętrznie słyszalna. Chrystus bowiem na ludzkie pytanie o sens cierpienia nie odpowiada wprost i nie odpowiada w oderwaniu. Człowiek słyszy Jego zbawczą odpowiedź w miarę, jak sam staje się uczestnikiem cierpień Chrystusa" (26). Chrystus mówi: „Weź udział swoim cierpieniem w tym zbawieniu świata, które dokonuje się przez moje cierpienie" (27).

„Cierpienie nie tylko wyniszcza człowieka w nim samym, ale zdaje się czynić go ciężarem dla drugich. Człowiek czuje się skazany na ich pomoc i opiekę, a równocześnie sam zdaje się sobie niepożyteczny. Odkrycie zbawczego sensu cierpienia w zjednoczeniu z Chrystusem przeobraża to przygnębiające poczucie. Wiara (...) niesie w sobie tę wewnętrzną pewność, że człowiek cierpiący »dopełnia braki udręk Chrystusa«, że w nowym wymiarze dzieła odkupienia służy, podobnie jak Chrystus, zbawieniu swoich braci i sióstr. Nie tylko więc jest pożyteczny dla drugich, ale — co więcej — spełnia służbę niczym niezastąpioną. (...) W owym kosmicznym zmaganiu się duchowych mocy Dobra i Zła, o jakim mówi List do Efezjan (6:12), cierpienia ludzkie zjednoczone z odkupieńczym cierpieniem Chrystusa stanowią szczególne oparcie dla mocy dobra, torując drogę zwycięstwu tych zbawczych mocy (...). Uczestnicy cierpień Chrystusa przechowują w swoich własnych cierpieniach najszczególniejszą cząstkę nieskończonego skarbu odkupienia świata i tym skarbem mogą się dzielić z innymi" (27).

W całej swej historii chrześcijaństwo spotyka się raz po raz z zarzutem, a co najmniej podejrzeniem, iż gloryfikując cierpienie propaguje cierpiętnictwo i odwraca uwagę i siły ludzkie od tego, co naprawdę się liczy, to znaczy od walki z przyczynami cierpienia. Skoro cierpienie ma sens i tak wielką wartość, to zmniejszanie go nie jest dla chrześcijan sprawą najwyższej wagi. Ten zarzut nie jest jednak słuszny. Cierpiętnictwo zawsze było uznawane za groźne zniekształcenie chrześcijańskiej ascezy, za odejście od Ewangelii cierpienia, „do której przynależy również — i to w sposób organiczny — przypowieść o miłosiernym Samarytaninie". Wskazuje ona, „jaki winien być stosunek każdego z nas do cierpiących" (28). „Świat ludzkiego cierpienia przyzywa niejako bez przestanku inny świat: świat ludzkiej miłości" (29).

„Objawienie zbawczego sensu cierpienia przez Chrystusa nie utożsamia się żadną miarą z postawą bierności (...). Chrystus nauczył człowieka równocześnie świadczyć dobro cierpieniem oraz dobro cierpiącemu. W tym podwójnym aspekcie odsłonił sens cierpienia do samego końca" (30).

List, który tak obszernie cytowaliśmy, zaadresowany jest przez autora, papieża Jana Pawła II, „Do biskupów, kapłanów, rodzin zakonnych i wiernych Kościoła katolickiego". To wydaje się niepotrzebnym zawężeniem posłannictwa; ten właśnie list jest w swej treści najgłębiej otwarty, dostępny dla wszystkich i dla wszystkich ważny i aktualny, a więc ekumeniczny. Sprzyja temu tak wyraźny charakter osobistej medytacji. Każdy chrześcijanin znajdzie w tym liście pokarm duchowy, a ludzie spoza chrześcijaństwa — przejmujące świadectwo o jego istocie zawartej w Ewangelii.

Numery podane w nawiasach odnoszą się do tekstu Listu apostolskiego Jana Pawła II *Salvifici Doloris* opublikowanego 11 lutego 1984 r.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 76a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83 — Redakcja, 31-45-22 — Administracja. Od 1983 r. prenumerata w kraju: roczna — 360 zł, półroczna — 180 zł. Zagraniczna roczna — 720 zł. Cena numeru pojedynczego — 30 zł.
Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3854-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 60 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch". Zakł. Graf. W-wa. z. 1203-84/O. T-55. Nakład 3.000 egz